

Okładkę i obwolotę
projektowa!
MIECZYŚLAW KOWALCZYK

N

inw- vv.....li.tQ

Redaktor: BLANKA KOSCIUKOWA Redaktor techniczny: SABINA RIDER Korektor:
JOZEFA MICHAŁOWSKA

PRINTED IN POLAND

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa lu71 r. Wydanie I. Nakład 30 000+260 egz.
Ark. wyd. 9,6. Ark. druk. 12,25+1 arkusz wkładek rotogr. Papier druk. mat. III ki. 70 g,
82X104. Druk ukończono we wrześniu 1971 r. Łódzka Drukarnia Dziełowa, Łódź, ul.
Rewolucji 1905 r. nr 45 Zam. nr 459/A/71. Cena zł 15.— U-90

Śpiewakiem

czy kasjerem kolejowym...

Czy zapowiadałem się na cudowne dziecko? Nie sędzę. Chociaż w spojrzeniach moich rodziców pewno można było wyczytać zachwyt, gdy już jako pięcioletni brzdąc potrafiłem — podobno nie bardzo fałszując — odśpiewać popisowo przed gośćmi sławetne Góralu, czy ci nie żal. To był mój pierwszy wielki szlagier.

Śpiewałem Góralu często na dwa głosy z siostrą Połcia, starszą o cztery lata. A trzeba wiedzieć, że to nasze rodzinne audytorium było wcale liczne. Ojciec miał ośmiu braci i jedną siostrę. Razem ze swoimi dziećmi stanowili trzon potencjalnych słuchaczy, zawsze wtedy, gdy w większe święta cały ten rodzinny „pluton” zwał się w nasze gościnne progi. Zdarzyło się, że któregoś roku w święta wielkanocne ojciec nie pozwolił mi wystąpić w rodzinnym koncercie. Nie dlatego, żebym nie był „przy głosie” i by obawiał się rodzinnej kompromitacji. O, nie!

Była to kara za mój podobno karygodny postępek. Przyznam się od razu: któregoś dnia wpadłem na pomysł sprzedawania gazet. Bynajmniej nie chodziło o zarobek, ale o przyjemność. Polegała ona na tym, że gazeciarski buszujący po tramwaju z plikiem gazet nie płacił za bilet. A był to właśnie początek tramwajów elektrycznych. Jazda elektrycznym wozem — cóż to była za przyjemność!

Dotychczas jeździłem tylko tramwajem konnym —

5

na Pragę do ciotki. Korba hamulcowa była połączona z dzwonkiem. Stangret posługiwał się tym dziwnym urządzeniem bardzo sprawnie. Pamiętam jak dziś: gd dojeżdżało się do końcowego przystanku po drugiej stronie Wisły, nie odwracano wozu, a tylko przepręgano konie w kierunku jazdy, wewnątrz zaś przestano opierać się o oparcia.

Nauczyłem się wskakiwać w bieżący do tramwaju elektrycznego bezbłędnie — tyłem i przodem; podobnie opanowałem wyskakiwanie. Tę ryzykowną ekwilibrystykę uprawiałem na trasie „trójki”, która rozpoczynała swój kurs na pi. Krasińskich, jechała ul. Miodową do Krakowskiego Przedmieścia, a następnie dalej.

Wchodząc między pasażerów z plikiem gazet wykrzykiwałem: — Kuuurier poora... — Dzienniki otrzymywałem od kolegi z podwórka, syna gazeciarki z rogu Długiej i Freta. Oddawałem mu całą należność, uważając, że darmowa przejażdżka „elektrycznym” stanowiła wystarczającą rekompensatę za moją fatygę. Oczywiście w godzinach, kiedy uprawiałem gazeciarski proceder, zmieniałem się nie do poznania! Zrzucałem mundurek szkolny, wkładając podniszczone ubranie syna gazeciarki i cyklistówkę na głowę.

Pewnego dnia wsiadł do „trójki” kontroler z sumiastym wąsem. Zdrętwiałem: był to dobry znajomy ojca, częsty gość w naszym domu. Mimo kamuflażu i próby ukrycia się za pasażerami, kontroler dostrzegł mnie. Podeszedłszy, podniósł daszek cyklistówki i zapytał w

najwyższym stopniu zdumiony: — Cóż to, Mięciu, ty gazety sprzedajesz? Oblałem się rumieńcem wstydu i korzystając z tego, że tramwaj zbliżał się do przystanku, umknąłem bez słowa gdzie pieprz rośnie... Przez najbliższe dni pewny, że kontroler naskarzył na mnie, oczekiwałem reakcji ze strony ojca. Rodzic był bardzo surowy i w takim

6

dku mogłem się spodziewać zasłużonych batów. Ky jednak dni i tygodnie, a tu nic... W duchu dziękowałem kontrolerowi za jego dyskre-jednak zawiodłem! Tramwajarz wszystko

cję. Jakże się wypaplał ojcu by mnie

ten czekał tylko na stosowną okazję, ukarać. I właśnie nadeszła taka okazja — owe święta wielkanocne. Ojciec zabronił mi produkować się, wiedząc, że będzie to dla mnie gorsza kara niż tradycyjne wymierzenie batów surową rodzicielską ręką.

Moja dziecięca słabość, mój pęd do śpiewania, wynikała niewątpliwie z faktu, że zdradzałem sporą muzykalność, miałem dobry słuch (bez większych trudności potrafiłem zanucić usłyszaną melodię), byłem wrażliwy na dźwięki.

Reagowałem na trąbkę pogotowia czy straży pożarnej nie tylko dlatego, że była to zapowiedź czegoś dramatycznego. Frapował mnie sam dźwięk.

Pamiętam, jak bardzo fascynowały mnie jako nastolatka dzwonki, kotły i śpiewy pielgrzymów wyruszających świtem sprzed kościoła Paulinów na Długiej do Częstochowy.

Prosiłem wówczas rodziców, żeby pozwolili mi spać w sionce domu przy ul. Długiej 2 (połączonego w jeden obiekt z posesją przy ul. Freta 1) na sienniku, bym mógł się zbudzić wraz z pierwszymi pątnikami, nocującymi w tejże sionce bądź na ulicy przed kościołem, i później towarzyszyć przez kilkaset metrów owej rozśpiewanej, rozdzwonionej kolumnie.

Pociągał mnie wszelki rodzaj „sztuki podwórzowej” Już gdy miałem siedem—osiem lat.

Należałem do naj-wdzięczniejszych widzów na występach piosenkarzy akompaniujących sobie na gitarze. Nosili kapelusze z dużym rondem i długą peleryną. Zawsze miałem przy sobie kopiejkę, dwie, aby wesprzeć przedstawiciela śpiewającej bohemy podwórzowej.

Melodie łatwo wpa-aty w ucho, więc próbowałem naśladować śpiewaków.

7

Gorzej było z przyswojeniem sobie sztuki akrobatycznej którzy z całą powagą rozbiegali się do sportowych JM stiumów w kącie podwórka, koło klozetu, rozkład* dywanik i z namaszczaniem przystępowali do fikał koziołków. Były to przeważnie rodziny: ojciec, mafl i dzieci.

Minął okres chłopięcego pośpiewywania, a ja tylko nie straciłem moich zainteresowań, ale cc mocniej pragnąłem zostać prawdziwym śpiewakit. Niestety w oczach mojego ojca, maszynisty kolejowej pierwszej klasy (prowadził nawet ekspresy do Pete, burga!), próżno było teraz szukać dawnego aprobuty) cego spojrzenia. W miarę jak dorastałem, potężniał w nim wola uczynienia ze mnie inżyniera, i to oczyw; ście dróg i komunikacji. — Mietek będzie budował nowe szlaki kolejowe -j lubił mawiać — a ja tamtędy poprowadzę pociąg.

Niemile brzmiały dla mnie te ojcowskie rojenia] skoro moim właściwym pociągiem był... pociąg do śpie-j wania. Zresztą byłem pod tym względem prawdziwie wyrodnym dzieckiem. Nikt bowiem z rodzeństwa —i ani siostry, Stefcia i Połcia, ani młodszy brat Wacek —J dorastając 'nie objawiał najmniejszego zainteresowania] profesją śpiewaczą, która dawała wówczas tak niepew-j ny chleb. Nie mieli zresztą w tym kierunku uzdolnień. A ja w te uzdolnienia u siebie święcie wierzyłem.

W domu panowała zresztą aura przychylna dla śpiewającej muzy. Mieszkając na Freta przy Długiej, byliśmy bliskimi sąsiadami Operetki, a takie sąsiedztwo zobowiązywało. Rodzice chętnie chodzili do Operetki, a nierzadko zabierali także mnie — najczęściej na popołudniówki. Nic dziwnego, że już jako nastolatek znałem sporo arii operetkowych i potrafiłem je na swój sposób zaśpiewać.

Któregoś dnia ojciec kupił mi doga koloru mysiego
m krawatem, który ze szczeniaka wyrósł na psa białym
moja

z czasem i jemu udzieliła się

PTkości cielaka. Z czasem i jemu

TtS^dcToperetek. otóż tak go wytresowałem, że zawsze gwizdaną przeze mnie melodię Lat
dwadzieścia miał mój dziad czworonożny pupil, prowadzo-r przez gosposię przez ulicę,
wrywał się i wskakiwał

- na ramiona, merdając na dowód muzykalności mi ^^ ogonem.

Mając jakieś piętnaście lat, nim jeszcze sypnął mi

się wąs, uświadomiłem sobie po raz pierwszy w pełni, że chcę i będę śpiewał, że w śpiewie
widzę moją przyszłość. Oczywiście nie zdawałem sobie wówczas sprawy, i jakie milowe kroki
dzieliły młodzieńczą zapalczliwość od wstąpienia na drogę prawdziwej kariery śpiewaczej. A
jednak nie było takiej ofiary, której nie byłbym zdolny ponieść dla zrealizowania swojego
zamysłu.

Rodzice często wysyłali mnie po bilety do Operetki. Tam właśnie, w pobliżu kasy i przed
budynkiem, widywałem osobliwą postać. Był to średniego wzrostu szczupły mężczyzna o
ryżej czuprynie. Nosił zawsze lśniąca białą koszulę i starannie zawiązany krawat. Gdy
zabrakło biletów, a zdarzało się to dosyć często, on właśnie stanowił ostatnią deskę ratunku
dla zawiedzionych miłośników Operetki. Zawsze miał parę biletów, które odprzedawał po
nieco wyższej cenie.

Nie był to jednak jakiś pospolity „konik” w dzisiejszym znaczeniu, spekulujący na biletach.
Ów osobnik, a nazywano go „Rudym Bronkiem”, miał ceny stałe, pobierał tylko niewielki
procent z tytułu „pośrednictwa”.

Rudy Bronek był prawdziwym koneserem: sprzedając bilet lubił poinformować, jaka jest
obsada, w jakiej formie znajdują się ulubieńcy publiczności, rzucał nawet kilka niedyskrecji
zza kulis. Kupowanie biletów u Rudego Bronka było dodatkową atrakcją. Sam kilka

9

razy brałem u niego bilety dla rodziców, nie przecZ wając wtedy, że los zetknie mnie z nim
w zgoła innycl okolicznościach...

Rudy Bronek trudnił się bowiem głównie klakiej
stwem. Był przedstawicielem profesji dzisiaj już u nagi
nieznanej *. Na czym ona polegała? Na usługach świadi
czonych artystom, oczywiście za wynagrodzeniem. Kła-ł
kier rezydował na widowni i pobudzał publiczność m
bicia braw, wznoszenia okrzyków zachwytu pod adr<<
sem aktora, dla którego pracował, wreszcie rzucał ni
scenę do jego nóg bukiety kwiatów z wyjątkową celi
nością. Bywał też niekiedy wynajmowany do wygwizł
dania konkurenta. Przedstawiciele tego zawodu potra-4
fili pracować bardzo precyzyjnie. Inicjując na przykład!
aplauz po kończącej się arii, klakier umiał „wśliznąć]
się” z brawami w ostatnią nutę utworu i zaraźliwie]
pobudzał widownię do oklasków.

Rudy Bronek, król warszawskich klakierów, był przez wiele lat klakierem m. in. tak słynnych
artystów] Operetki i Opery, jak Messalka, Kawecka, Redo, Szcza-' wiński, Dygas i
Gruszczyński.

Lubiłem chodzić pod Operetkę, przystawać przed wejściem dla artystów, których znałem
doskonale z nazwiska, by pogapić się na odświętnie ubraną publiczność (cylindry, turniury,
zwiewne szale), wkraczającą dostojnym krokiem do operetkowej świątyni.

Wolałem godzinami sterczeć przed Operetką niż dotrzymywać towarzystwa rówieśnikom, którzy parę razy w tygodniu ciągnęli mnie do gry w palanta; odbywała się ona wzdłuż bocznej ściany kościoła Paulinów od ulicy Długiej, gdzie ruch był niewielki. Koledzy uważali swoje zainteresowanie dla palanta za coś wyższego niż moja słabość dla Operetki. W ich bowiem po-

Instytucja klakiera istnieje do dzisiaj między innymi we Włoszech. 10

ta kreowała ich na prawdziwych mężczyzn. J5C1U otrzymania mojego prestiżu uczestniczyłem za-1 od czasu do czasu w palantowych rozgrywkach temiel°okrotnie udawało mi się wykazać niezłą klasę. ^Moje życie zamykało się jednak właściwie w trójką- . . dom _ gimnazjum realne (na pobliskiej ulicy Jezuickiej) — Operetka. Uczyłem się średnio, za to byłem prymusem w śpiewie. Śpiewałem przy każdej okazji: w domu, w szkole, na wieczorku u znajomych. Nie zrezygnowałem z pośpiewywania nawet w koszarach, gdy jako osiemnastoletni młodzieniec znalazłem się w wojsku. Raczyłem wówczas wieczornymi „koncertami” utrudzonych żołnierzy (zanim zasnęli w piętrowych pryczach), którzy nie zawsze byli melomanami i czasem rzucali we mnie czym popadło.

Gdy wróciłem do cywila, zgodnie z wolą ojca zacząłem się sposobić, acz bez najmniejszego entuzjazmu, do studiów na Politechnice. Równocześnie przyjąłem pracę — tak, tak! — w kasie miejskiej PKP, gdzie prowadziło się przedsprzedaż biletów, sporządzało frachty przesyłek kolejowych itd. (mieściła się ona na rogu Miodowej i Koziej — dzisiaj jest tu kawiarnia „Ali-Baba”). Przydzielono mnie do wypisywania listów przewozowych. Jakże prozaiczne zajęcie w porównaniu z urokami pracy śpiewaka operetkowego czy operowego! W domu się jednak nie przelewało, a poza tym miałem nadzieję, że moje zarobki w placówce PKP pozwolą mi odłożyć trochę grosza na naukę śpiewu. Wypisując frachty marzyłem bezustannie o karierze śpiewaka, co stawało się prawdziwą obsesją. Pewnego dnia we marzenia tak mną owładnęły, że wyekspediowa-em wagon z maszynami do szycia do Biłgoraja zamiast °r> ania' Dostało mi się dobrze z tego powodu... yłem jednak sumiennym pracownikiem, więc po

11

kilku latach awansowałem na głównego kasjera. W rozstawałem się też z placówką PKP nawet wtedy, I już zacząłem występować na estradzie. Sprzedawał więc nadal bilety kolejowe i odliczałem skrupułaM resztę, nie miałem przecież pewności, czy się na esfl dzie przyjmę na dłużej, a stała praca w PKP dayJ bądź co bądź gwarancją egzystencji. Ale wróćmy M lat, kiedy to przygotowywałem się do studiów politeł nicznych, pracując równocześnie w charakterze zvl kłego frachtowego skryby.

Przechodząc pewnego dnia koło kościoła Sw. ArM na Krakowskim Przedmieściu, usłyszałem głośnie wpra. wki chóru. Przystanąłem i przez chwilę nasłuchiwałemfl Nawet nie wiem, kiedy przekroczyłem próg kościem i znalazłem się przy krętych schodkach prowadzących na antresolę. Dostrzegł mnie tam organista, wysoki, szpakowaty mężczyzna. Gdy mnie zagadnął, powB działałem po krótkim wahaniu, że moją pasją jest spił i że chciałbym...

Organista przerywając w pół zdania kazał mi przyja nazajutrz, aby mnie przesłuchać. Egzamin wypadł poJ myślnie:

— Ma pan ładny głos — orzekł — może pan u nas śpiewać.

Wobec ówczesnego niedoboru szkół muzycznych roz-1 począć edukacji w chórze kościelnym mogło być pierwszym krokiem na drodze do laury śpiewacze. Wkrótce rozpocząłem pod kierunkiem organisty Szycha lekcje solfeżu. Po pewnym czasie na jednej z tych lekcji mój nauczyciel ustawił mnie w chórze między barytonami. Idąc za słuchem i znając już wartość nut, zacząłem, razem z nimi śpiewać. Początkowo wydobywałem głos nieśmiało, przez respekt dla partnerów, którzy legitymowali się dłuższym stażem w chórze i byli ode mnie starsi (miałem wtedy 21 lat); po prostu

12

. ich))Przekrzykiwać". Nawiasem mówiąc nie wyPa @z°onków cnóru stanowili zapaleńcy, mania-większosc ^^ poza kościołem nie mieli gdzie po-cy śPieWpoczątkowo śpiewałem więc na pół głosu. Po ŚpieWhmiesiącach nabrałem pewności siebie i... poszed-dW0° a całego. Koledzy byli zaskoczeni siłą mego głosu, tchórze śpiewało się tylko w niedzielę, natomiast dwa lub trzy razy w tygodniu odbywały się próby w j^u organisty. Pewnego dnia na próbę przyszedli — co stwierdziłem ze zdziwieniem — dwaj artyści Operetki. Rozpoznałem w nich tenora Stanisława Stasiaka i Ludwika Kierskiego, znanego dziś pod nazwiskiem — Sempoliński. Organista dorabiał jako... sufler w Operetce i miał dobre koneksje z solistami, których udawało mu się pozyskiwać na świąteczne nabożeństwa.

Zbliżało się właśnie Boże Narodzenie i pan Szych prowadził pośpiesznie próby z chórem i obydwoma solistami. Na pierwszej próbie artyści z Operetki śpiewali refren kolędy: — Bracia, patrzcie jeno..., a chór odpowiadał: — Jak niebo goreje. Byłem tego dnia świetnie dysponowany, no i śpiewałem — jak zawsze — z sercem.

Po próbie podszedł do naszej grupy chórzystów Ludwik Sempoliński i zapytał:

— Który z tych młodych ludzi ma taki dźwięczny głos?

Pokazano na mnie. Odciągnął mnie na bok i powiedział:

Powinien się pan wziąć poważnie do nauki śpiewu. Będą z pana ludzie.

Polecił mi profesora Jana Łysakowskiego, u którego sam ciągle jeszcze się uczył.

Fakt, że znany aktor Operetki zwrócił na mnie uwagę, dodał mi bodźca do podjęcia poważnej edukacji. Otwierały się przede mną — jak mi się zdawało —

13

nowe perspektywy, a myśl o tym uskrzydlała iraM gdy nazajutrz w najlepszym garniturze i w białej j| śnieg koszułi pędziłem na ulicę Senatorską 31, gfa mieszkań ów profesor śpiewu.

Stanałem przed ciężki™ dębowymi drzwiami na parterze, z wypiekami na twj, rzy i walącym sercem. Tak, tak, kiedyś młody człowiek podchodził do nauki śpiewu z entuzjazmem i przeje. ciem...

Po drugiej stronie dębowych drzwi ktoś wyśpiewyJ wał gamy. Jeszcze chwila deliberacji u progu profe.

sorskiego mieszkania i... dałem pośpiesznie drapaka.:

Obleciał mnie strach, że zacny pedagog każe mi za«| śpiewać i że prośba ta może przynieść rozczarowanie.

Błąkałem się bez celu po mieście i dopiero pod wie-j czór wróciłem do domu. Czekało mnie parę niespokoj-' nie przespanych nocy.

Po kilku dniach „hamletyzowania" przerwałem udr kę: powiedziałem sobie twardo — „iść!".

I poszedłem Profesor Łysakowski, wysoki mężczyzna o sarmackie twarzy, z sumiastym wąsem, przyglądał mi się z min lekarza lustrującego wstępnie pacjenta i potem kazał zaśpiewać kilka gam. Wsłuchiwał się w mój głos uważ-1 nie, po czym po słowie „dziękuję" nastąpiła chwila ciszy,] która wydawała mi się wiecznością. I

Czekałem w największym napięciu na „wyrok", zda-' jąc sobie sprawę, że słowa, które teraz usłyszę, mogą mieć bez przesady decydujące znaczenie dla całego dalszego mojego życia.

— Masz, przyjacielu, ładny gatunek głosu — powiedział prof. Łysakowski. — Będzie z pana chyba tęgi śpiewak operowy. Nie wiem tylko jeszcze, czy podciągniemy głos do góry na tenora, czy pozostaniemy przy barytonie. Uprzedzam — dodał pedagog na pożegnanie — że droga na scenę operową to praca, praca

14

ca — Było to stwierdzenie, którym 1 ^f^nSgł mnie tylko ucieszyć.

' ierwszą lekcję miałem przyjść już pojutrze. \Pt0 zaczęła się moja edukacja śpiewacza, która

tek °potrwać dwadzieścia dwa lata. Uczyłem się k1 wiem i wtedy, gdy byłem już znanym piosenkarzem. Nazywano mnie wiecznym studentem.

Początkowo profesor Łysakowski przez kilka lekcji chciał ze mnie zrobić tenora. Otwierałem usta do wysokich tonów jak ryba łaknąca wody i... nic mi nie wychodziło. Wspinałem się niemal na palce, aby sięgnąć po wysokie rejestry, ale nawet ta ekwilibrystyka nie dawała efektu. Profesor zawyrokował więc ostatecznie:

— Będziesz pan barytonem.

Za każdą lekcję płaciłem ulgowo pięć złotych. Profesor wiedział, że jestem skromnym urzędnikiem PKP, i dlatego ustalił tak niską stawkę. Przy trzech lekcjach tygodniowo wydatki na edukację i tak pochłaniały jedną trzecią mojej pensji.

Do profesora Łysakowskiego przychodził na lekcje śpiewu także późniejszy świetny aktor operetkowy i wodewilowy Wojciech Ruszkowski (po wojnie osiedlił się w Krakowie). On również należał do tych, którzy połknąwszy bakcyła śpiewu zrezygnowali dla sceny z obranej już kariery. Ruszkowski, oficer armii, przychodził na lekcje w mundurze podporucznika. Znakomity pedagog pozwalał mi też czasami zostawać na kontrolnych ćwiczeniach, jakie odbywał u niego wspaniały bas Opery Warszawskiej, Aleksander Michałowski. Był to dla mnie wielki zaszczyt. Siedziałem wtedy pełen respektu i pokory w jednym z kątów po-°]U i starałem się jak najwięcej podpatrzeć u mistrza. Czułem całą swoją małość...

ojciec był wyraźnie zmartwiony, że taką wybrałem

15

*0

drogę życiową. Nie wierzył w moje uzdolnienia kalne.

— Prędzej wyrośnie mi lasak bielański na dłoni 1 mawiał.— niż ty zostaniesz śpiewakiem.

Niestety, ojciec nie doczekał się debiutu nie docenij nego syna. Zmarł młodo, gdy miałem dwadzieścia czte, ry lata. Mój debiut na estradzie odbył się w cztery lata później.

Dopiero mój syn Andrzej spełnił marzenie dziadka -J ukończył studia inżynierskie. I chociaż ma wcale ładny głos (baryton!) nigdy nie była mu bliska myśl podtrzy. mania ojcowskiej tradycji. Za to matka, która szczęśliwie dożyła dziewięćdziesięciu lat (zmarła w 1967 r.J odnosiała się z aprobatą do moich aspiracji śpiewaczych. Jeszcze w ostatnich latach życia żywo interesowała się moimi występami, repertuarem i nawet sugerowała, że powinienem włączyć do niego więcej... nowoczesnych piosenek.

Oczywiście ojciec jeszcze za życia miał możliwość prze-' konać się, że moja nauka śpiewu niezupełnie poszła w las... bielański. Ucząc się bowiem, zacząłem po jakimś czasie — dla zdobycia środków na edukację — śpiewać na ślubach i pogrzebach. Dostawałem za taki występ piętnaście do dwudziestu złotych. Jeżeli miałem śpiewać po włosku, kosztowało to o pięć — dziesięć złotych drożej.

Wiele lat później, zaraz po wojnie, zadzwonił do mnie jakiś miły pan, wymieniając nic nie mówiące nazwisko i prosząc o spotkanie. Gdyśmy się zobaczyli, przypomniał mi, że przed dwudziestu pięciu laty śpiewałem na jego ślubie. Wyznał, że marzy o tym, abym to uczynił także teraz z okazji srebrnego wesela. Próbowałem tłumaczyć, że bardzo dawno już nie produkowałem się w kościele, ale nic nie pomogło. W końcu 16

rośbom dawnego „klienta" i ze wzruszeniem uległem P młoczenie lata, zaśpiewałem u Wizytek, wspominaj ^^ OjCiec przyszedł do domu i z miejsca

Z3^°Skoro jesteś tak wielkim artystą, to zechciej za-ŚDiewać na pogrzebie kolegi, maszynisty. Zaśpiewałem. Po opuszczeniu kaplicy ojciec podszedł

do mnie i powiedział:

_ Masz naprawdę ładny głos, Mięciu. Chyba jednak będzie z ciebie artysta.

Od tamtego dnia zaczął się odnosić do moich aspiracji artystycznych z większą tolerancją.

Znacznie surowszy w ocenie tych aspiracji był profesor Łysakowski. Rzadko słyszałem słowo

pochwały, ale gdy już takie słowo padło, znaczyło ono w ustach zacnego pedagoga wiele. Profesor był bardzo wymagający, nie rozpieszczał mnie. Uczyłem się u niego przez trzy lata. Miałem w tym czasie okresy załamania — do rezygnacji z kariery śpiewaka włącznie. Z jednej strony chciałem już być na scenie, z drugiej — przytłaczał mnie fakt, że im dłużej trwa edukacja, tym mniej umiem... W tej sytuacji nauka śpiewu zaczęła mnie męczyć. Robiłem przerwy trzy-czterotygodniowe, ale jednak potem zawsze wracałem do profesora Łysakowskiego, spragniony śpiewania. Bakcył siedział już zbyt głęboko... Z dużą wyrozumiałością traktował moją artystyczną edukację szef stacji miejskiej PKP, gdzie wciąż jeszcze trwałem na posterunku. Toteż pozwalano mi w ciągu dnia pracy wyskoczyć na lekcję. Pośpiewałem przez trzy kwadransy gamy, a na koniec wykonywałem arię 1 "-alki lub pieśni Leoncavalla. Odrodzony duchowo macałem do wypisywania uprzykrzonych frachtów i sprzedawania biletów kolejowych.

I rozpocząłem naukę śpiewu, coraz częściej ciąg-

1 palanta do belcanta

17

nęło mnie do Opery. Był okres, że zjawiałem się m niemal codziennie. Oczywiście nie stać mnie było 5. kupno normalnego biletu, więc wciskało się w pr^ jazną garść woźnego (bodaj pana Feliksa) pięćdziesiąt, ciogroszówkę i ten wpuszczał mnie i podobnych nieJo. manów-zapaleńców- na galerię.

Pan Feliks nie był jakimś zwykłym woźnym. Ten stróż operowego przybytku, człowiek o surowym obij. czu (ozdobionym sumiastym wąsem) i złotym sercu cieszył się opinią konesera. To właśnie on, po debiucie koncertowym Kiepur, zawyrokował: — Tego młodzieńca czeka duża przyszłość. Kiepurę spotykałem często na galerii. Studiów^ prawo i jednocześnie uczył się w tym czasie śpiewu u profesora Wacława Brzezińskiego. Profesor posiadał piękny baryton, jednakże z powodu wady serca musiał zrezygnować z kariery artystycznej. (Syn profesora, także Wacław, jest do dzisiaj również profesorem śpiewu. Córkę Brzezińskiego-seniora, Hankę, pamiętam; jako popularną piosenkarkę). Kiepura, podobnie jak ja, wchodził do Opery „n; pięćdziesiątciogroszówkę". Ojciec Janka był w Sosnowcu podobno niezłe prosperującym piekarzem, ale to nie odbijało się jakoś specjalnie na zawartości portfela Kiepur-juniora. Jasio chodził ubrany dość skromnie i żył skromnym żywotem studenta. Był wesoły, pogodny, sympatyczny i... bardzo pracowity.

Wśród warszawskich melomanów, którzy byli zapa miętąłymi miłośnikami sztuki operowej, wyróżniał się ksiądz dr Detkens. Malownicza postać, dobrze znana wszystkim śpiewakom i przyszłym adeptom sztuki wokalne. Był wytrawnym znawcą opery i stałym jej bywalcem. Wsławił się m. in. tym, że obejrzał kilkanaście razy przedstawienie Carmen i za każdym razem,

13

encie zabijania bohaterki przez don Josego, °TMst wydobywał się przejmujący długi jęk...

Z }mr Detkens został rozstrzelany w czasie wojny przez

^Pieniądze na naukę śpiewu trzeba było zdobyć za eiką cenę. Więc kiedy jeszcze nie miałem możliwości zarabiania występami na ślubach, urodzinach i pogrzebach przez pewien czas byłem — klakierem. Moim szefem został nie koronowany król warszawskich kła-kierów Rudy Bronek, ten sam, u którego — o czym była już mowa — jeszcze jako nastolatek kupowałem przed Operetką na Długiej bilety dla rodziców. W wiele lat później, gdy doszedłem już do rangi solisty, sam korzystałem z usług nieocenionego Bronka — najpierw w „Qui pro quo", później w „Bandzie". Po raz ostatni Rudy Bronek klakierował mi w 1939 roku, w teatryku rewiiowym „Ali Baba" na Karowej, w słynnej rewii satyrycznej na III Rzeszę Orzeł czy rzeszka. Produkowałem się tam jako postać (śpiewającego!)...

Chamberlaina. W rewii pojawiały się takie postaci, jak Hitler,-Mussolini, Goebbels.

Ostrogi klakiera zdobywałem głównie w Operze. Do moich zadań należało na przykład zajęcie „warty” w loży prosceniowej, skąd w odpowiednim momencie — gdy soliści wychodzili po skończonym akcie lub po finale pokłonić się publiczności — musiałem rzucić w kierunku Bronkowego klienta bukiet kwiatów lub też goździki czy róże luzem. Trzeba było być dobrym „strzelcem”, aby tym pachnącym dowodem adoracji trafić z odległości ośmiu—dziesięciu metrów prosto w ręce adresata. Początkowo moje oko nowicjusza zawodziło, toteż zdarzało się, że kwiaty wpadały do orkiestronu i szef musiał je spisać na straty. Rzucając naręcza kwiatów, musiałem jednego dnia Wołać: — Brawo Dygas, brawo! — a nazajutrz wykrzy-

19

kiwać to samo pod adresem Gruszczyńskiego. Inny* moim obowiązkiem było rozpoczynanie — w odpo. wiednim momencie — oklasków. Zarówno na wejściu solisty, który miał u Rudego Bronka abonament na brawa, jak też po zapadnięciu kurtyny, gdy należało wzmożonym klaskaniem i odpowiednimi okrzykami zarazić publiczność aplauzem i sprowokować wywołanie przed kurtynę śpiewaka obsługiwanego przez Bronka. Jego klaszcząca i pokrzykująca „piąta kolumna” była odpowiednio rozmieszczona na widowni. A jak wyglądały popisy z okazji „rodzinnych”? Były to najczęściej zaimprovizowane występy, które można by dzisiaj określić tak nie lubianym przeze mnie słowem — chałtura. Pewnego dnia trafiła mi się taka właśnie suta i zaszczytna chałtura. Miałem zaśpiewać za dobrą stawkę w chórze — w kościele na placu Teatralnym — na ślubie jakiegoś krezusa. Ceremonię uświetniał wy- < stępem sam wielki Ignacy Dygas (artyści tej rangi też godzili się na chałtury, tyle że za duże pieniądze). Gdy nadszedł moment zaśpiewania przez Dygasa solowej pieśni, odsunąłem się dyskretnie od balustrady ustępując z respektem frontального miejsca mistrzowi, aby był lepiej widoczny. Znakomity artysta objął mnie wówczas za ramiona i postawiwszy przed sobą powiedział z szelmowskim uśmiechem:

— Stój tu, synku, jeśli wypadnie źle, pomyślą, że to ty śpiewałeś.

Tak się złożyło, że Dygas miał zostać w przyszłości moim nauczycielem. Uczyłem się u niego przez jakiś rok. Był świetnym pedagogiem. I co godne uznania: uczył z czystej pasji, a nie dla pieniędzy, których z tego źródła nie potrzebował. Oczywiście do Dygasa trafiłem przez protekcję — mistrz nie każdego chciał uczyć. Uważałem Dygasa za jednego z najlepszych technicznie

20

ków na świecie. Chyba nikt tak pięknie nie prze-iTdzTł od tonów otwartych do zakrytych. W okresie mojej edukacji miałem kilku profesorów, zącymi się śpiewu to trochę tak jak z chorymi na

U° lekłą chorobę. Zmieniają ustawicznie lekarzy

"śląc, że ten następny zapewni lepsze rezultaty. Gdy TMd uczących się kolegów usłyszałem, jaki to wspaniały pedagog ten czy ów profesor, chciałem zaraz do niego biec. Ktoś mi kiedyś powiedział, iż według jego profesora najlepszym sposobem na wyrobienie sobie odpowiedniej przepony jest stosowanie następującego ćwiczenia: trzeba położyć się na podłodze i obciążać brzuch książkami dokładanymi w coraz większej liczbie. Robiąc w tej sytuacji wdechy i wydechy, ćwiczy się mięśnie brzuszne, aby było na czym „oprzeć” kolumnę powietrza, którą się uderza przy śpiewaniu na tzw. maskę.

Nazajutrz pożyczyłem od znajomych Trylogią Sienkiewicza (mój ulubiony pisarz pewno nigdy nie przypuszczał, jakiemu prozaicznemu celowi posłużą jego tomy!) oprawną w skórę i rozpocząłem z zapalem trening. Byłem zresztą (podobnie jak wielu innych kolegów) tak zbzikowany na punkcie nauki śpiewa, że gdyby ktoś powiedział, iż dla dobra strun głosowych należy płukać gardło rozcieńczonym witriolem, pewno i przed tym bym się nie zawahał. Każdy z moich profesorów wniósł coś do mojej edukacji. Pierwszym był wspomniany profesor Łysakowski. Od niego przenieśliem się do słynnego barytona i jednocześnie

pedagoga Eugeniusza Mossakowskiego. Płaciłem sporą stawkę, bo dziesięć złotych za lekcję (nie dawał żadnych ulg), a w dowód szacunku i wdzięczności robiłem mu jeszcze w Operze bezpłatnie klakę.

Mossakowski miał potężny, nośny głos, a gdy mówił —

21
wił — swoim sposobem, technicznie na masce — sły chać go było z odległości kilkudziesięciu metrów.

Po dwóch latach nauki u Mossakowskiego rozpocząłem półtoraroczną edukację u profesora Ardattiego a następnie przez bardzo krótki okres czasu pobierałem lekcje u pani Floriani-Zbierzchowskiej, matki znanego lwowskiego poety. Była ona nader solidnym pedagogiem, ale dziwnie brzmiały dla mnie wprawki demonstrowane sopranem... Potem przeniosłem się do Stefana Beliny-Skupiewskiego. Był to świetny śpiewak (studia kończył w Petersburgu, występował m. in. w La Scali) i dobry pedagog. Uczyłem się u niego aż do chwili, gdy dług za lekcje urósł do (apokaliptycznej!) sumy pięciuset złotych. Moje barki ugięły się wówczas pod brzemieniem obowiązków: byłem już od pewnego czasu żonaty, urodził mi się syn, a przy tym koszt edukacji był poważnym uszczerbkiem dla zarobków kasjera PKP (wciąż trzymałem się kurczowo tej posadki!).

Pewnego dnia Skupiewski, znecierpliwiony odwlekaniami zapłaty, powiedział:

— Może lepiej będzie, jeśli zacznie się pan dokształcać w karierze urzędniczej, a porzuci kosztowną naukę śpiewu.

Opuszczałem gabinet profesora oszołomiony i ze łzami w oczach. Zbikcwałem na punkcie śpiewania, a tymczasem nie starczało środków na naukę. Co gorsza, do rozpoczęcia kariery, która mogła mi przynieść także pieniądze, była jeszcze daleka droga. Gdy w wiele lat później zacząłem nieźle zarabiać w Chórze Dana, pierwszą rzeczą było oddanie długu za naukę. Skupiewski kiwał ze zdziwieniem głową. — Mój drogi — powiedział — zdolniejszych uczniów od ciebie miałem, ale uczciwszych nie.

Gdy po ostatniej wojnie Belina-Skupiewski został dyrektorem Opery Śląskiej, a ja rozpocząłem nowy

etap ma'
w swojej

_____ karierze śpiewaczej, dawny pedagog

Xi nie bez satysfakcji:

__ Fogg to mój uczeń.

sWój debiut estradowy mógłbym właściwie uwa-• '^występ Uakże nieudolny!) na koncercie na cele dobroczynne, który odbył się na Solcu. Było to w okre-• nauki u Mossakowskiego, a miałem wtedy dwadzieścia pięć lat.

Jestem urodzonym tremiarzem, trema towarzyszy nieodmiennie i dzisiaj każdemu mojemu występowi. Ale. najgorszy smak miała dla mnie trema debutanta! W dodatku nieprzewidziana okoliczność walnie przyczyniła się do całkowitego fiaska debiutu.

Właściwie byłem do występu znakomicie przygotowany: słowa pieśni umiałem „na blachę”, a liczne próby pozwoliły ustawić utwór wokalnie. Przyszedłem na występ w pośpiechu prosto z biura i w ostatniej niemal chwili, pełen drżenia, stanąłem za kotarą oddzielającą kulisy od sceny. Miał mi akompaniować kolega z klasy fortepianu, który właśnie rozsunął kotarę i wszedł na podium. Ja podążyłem nieśmiało za nim.

Kolega zajął miejsce przy instrumencie, którym była fisharmonia. Zamiast fortepianu! Nieoczekiwana zamiana instrumentu zaskoczyła mnie do tego stopnia, że po prostu zapomniałem tekstu. W mózgu — pustka!

Ukłoniłem się publiczności, której obecność raczej wyczuwałem, niż mogłem ją ogarnąć zamglonym wzrokiem, i oniemiały wykrztusiłem' tylko dwa słowa: —

ajcze mi... Tyle bowiem zapamiętałem z pełnego tytułu pieśni, który brzmiał: Dajcie mi światło dnia białego.

Bąknąwszy „przepraszam”, wróciłem za kotarę i tam próbowałem gorączkowo przypomnieć sobie cały tekst. y mi się zdawało, że to osiągnąłem, podreptałem polownie na scenę i... znowu ta fatalna pustka w głowie.

23

Wyrzekłem tylko śpiewnie — Dajcie mi — po czym ponownie wycofałem się z rozpaloną twarzą za kotaj i powtarzałem słowa utworu niczym modlitwę. ZM wało mi się, że pamięć szczęśliwie wróciła, więc tyj szedłem po raz trzeci, ale i teraz publiczność usłyszała] z moich ust tajemnicze dla niej słowa: — Dajcie mŁ Wtedy na scenę wpadł ktoś z organizatorów kon. certu, przeprosił publiczność, a mnie odciągnął za kuj lisy. Wróciłem do domu całkowicie złamany.

Niełatwe początki

Zabrałem się z zapałem do dalszej nauki. Kolejnym moim profesorem był wybitny pedagog i znakomity baryton Wacław Brzeziński. Najdroższy ze wszystkich dotychczasowych pedagogów, dawał zniżki tym swoim uczniom, w których wierzył jako przyszłych śpiewaków. Do tego pocztu zaliczył i mnie. Notabene u profesora Brzezińskiego uczyłem się jeszcze wtedy, gdy śpiewałem już w Chórze Dana.

Wśród uczniów Wacława Brzezińskiego znajdowali się m. in. Kiepura oraz przyszły mąż Smosarskiej, Pro-tasewicz, który już jako inżynier budował Kiepurze w kilka lat później krynicką „Patrię”. Ucząc się śpiewu, Protasewicz studiował równocześnie na Politechnice. Ostatecznie zdecydował się na zawód inżyniera jako dający pewniejszy chleb.

Jednym z uczniów profesora Brzezińskiego był pewien subiekt. Zarabiał na życie (i lekcje!) pracując w restauracji „Narcyz” na rogu Kruczej i Żurawiej. Ja i inni koledzy uczący się śpiewu u Wacława Brzezińskiego mieliśmy w „Narcyzie” dzięki protekcji subiekta repetę za darmo. (Określenie subiekt, kojarzące i? właściwie ze sprzedawcą sklepowym, odnosiło się wówczas do dzisiejszego bufetowego, który rezydował za kontuarem i podawał kieliszek wódki oraz gorącą zakąskę gościom konsumującym na stojąco).

* y już mowa o maniakach śpiewu, to jedynym

aa

w swoim rodzaju był w Warszawie Stanisław Kem* który dla śpiewu stracił zupełnie, nomen omen, g}o\ye I nie tylko głowę. Jego kosztowna edukacja wokale pochłoneła nieduży dom bankowy ojca, zamożnego handlowca. Zwariowany na punkcie śpiewu, Kopf. -junior jeździł na naukę do najlepszych profesorów w Rzymie i Mediolanie. Poszukując ideału techniki wokalne i ucząc się bardzo intensywnie śpiewu, przeczzył się i... stracił głos. Został więc pedagogiem. By} zresztą świetnym profesorem-cyzelatorem, nie darującym delikwentowi ani jednej źle ustawionej czy „połkniętej” nutki.

Gdy na rok z górą przed wojną płynąłem do Ameryki, spotkany na „Batorym” znakomity polski baryton Jerzy Czaplicki namówił mnie na lekcje u Kopfa. Po powrocie do kraju zacząłem uczyć się u tego profesora i skorzystałem wiele.

Lekcje u Kopfa brałem jeszcze w czasie okupacji. Przychodził do mnie z getta trzy-cztery razy w tygodniu na obiady, odwiedzał mnie również po likwidacji getta. Ukrywał się w Warszawie pod nazwiskiem Głowiński. Bywał moim gościem aż do Powstania, później ślad po nim zaginął.

W swojej opowieści wybiegłem znacznie w czasie, wróć więc do wydarzeń poprzedzających założenie Chóru Dana, który przyczynił się do późniejszej mojej kariery solisty. Zanim jeszcze spróbowałem sił w zespole rewelersów, marzyłem — rzecz jasna — o występowaniu na scenie operowej, co było przecież koroną kariery śpiewaczej.

Po kilku latach nauki przygotowałem dwie partie operowe — ojca w Traviacie i Tonią w Pajacach. Pojechałem z tym do Poznania. Dyrektorem tamtejszej Opery był Stermitsch-Valcrociata, człowiek przyjaźnie usposobiony wobec młodych adeptów wokalistyki. Z 28

i •, odrobiną nadziei czekałem na ocenę przewiem, ale

Słuchnoda mi się pana głos — orzekł dyrektor Ope-___ proponuję występy przyszłą jesienią — dodał. — W międzyczasie doszlifuje pan obie arie.

Uskrzydłony radością wracałem do Warszawy, ale tam świadomość mojej nader kiepskiej sytuacji materialnej oddaliła wizję poznańskiego etapu kariery. Bo i skąd miałem wziąć pieniądze na dalszą, i to jeszcze bardziej intensywną niż dotąd, edukację?

Toteż gdy w moim mieszkaniu zjawił się Leon Badowski i przedstawił swą propozycję, gotów byłem widzieć w jego osobie anioła przeznaczenia. Badowski, członek chóru Opery Warszawskiej, dorabiał sobie pośrednictwem w angażowaniu operowych chórzystów i młodych ludzi uczących się śpiewu na różne okolicznościowe występy, np. z okazji ślubów i pogrzebów. Otóż tym razem pan Leon zakomunikował, że teatr „Qui pro quo” potrzebuje niedużego chóru do akompaniowania solistom (było to przed jesiennym sezonem 1928 roku). Oprócz Badowskiego zespół miało zasilić dwu innych śpiewaków i ja. Przystałem na propozycję z wielką radością.

Wkrótce rozpoczęliśmy w teatrze „Qui pro quo” na Senatorskiej 29 próby dwóch piosenek. Początkowo prowadził je Wacław Lachman, dyrektor chóru „Harfa”, potem zastąpił go młody człowiek Władysław Daniłowski, syn poety Gustawa. Pan Władysław wrócił wieżo z Paryża, z krótkiego uzupełniającego studium muzycznego (przedtem skończył konserwatorium w Warszawie i studia prawnicze na UW), i dość ostro j ał się z nanii do roboty. Wyuczyliśmy się obu pio-

. w niecały miesiąc i teraz czekaliśmy niecierplim16 na Probę generalną programu przed NIM. Kogo 1 na myśli? Oczywiście słynnego dyrektora „Qui

27

pro quo” Jerzego Boczkowskiego. Był to surowy ja dzo wymagający człowiek teatru, z którym liczyfyj nawet największe gwiazdy „Qui pro quo”.

Boczkowski namiętnie palił fajkę, toteż gdy s^, długim korytarzem w kulisach teatru, od garderoby! garderoby niosła się wieść podawana cichym głose,

— „Faja” idzie... — Właśnie z ulubioną fajką w us siedział teraz w drugim rzędzie i gdy nadeszła na nasz numer, wysłuchał obu piosenek. Kamień twarz Boczkowskiego nie zdradzała absolutnie niczą

Po próbie zostaliśmy zaproszeni do dyrektorski gabinetu. Prawdę mówiąc byłem z siebie zadowolom W myślach już widziałem owe osiemnaście złotychfl które miały przypaść na każdego z nas za dwa przea stawienia dziennie. Stały zarobek w teatrze pozwoli -cieszyłem się — na podjęcie częstszych regularnyct lekcji śpiewu.

Dyrektor Boczkowski milczał przez chwilę, pykając! fajkę i wypuszczając kłęby dymu, który zapachw przypominał kościelne kadzidło. Potem wyrzekł słów które przypawiły mnie o zimny pot na skronzach.

— Może panowie i ładnie śpiewają na pogrzebać!! czy w chórze kościelnym. Robicie to przecież z tak™ namaszczeniem. Ale coś takiego w kabarecie? Nie, fl kabaretu panowie niestety się nie nadają...

Opuszczałem gabinet zdruzgotany, spojrzawszy! przedtem ukradkiem na Leona Badowskiego, który I wydał mi się teraz aniołem ze zwiędłymi skrzydłami-1 W każdym razie — odrzucając wzniosłą metaforę -m był mocno zafrasowany.

Zrozpaczony, zamiast do domu (mieszkałem wtedy przy placu Trzech Krzyży) poszedłem bez celu przed siebie. Tak znalazłem się w... Wilanowie. Szedłem p^o grążony w myślach wzdłuż szpaleru topoli, które wtedy*

28

- wiele wyższe ode mnie, wysadzały tę ulubioną dawną, nieWłczesnych automobilistów arterię spacerową. P^ord^o zdążyłem trochę ochłonać (zasługa pewno chłodnego jesiennego wieczoru), pomyślałem w dro-
I owtrotnej, że jednak nie wolno mi się poddawać. uT biurze też' wiedzieli o moich próbach. Co sobie teraz o mnie pomyśla? Może pójde do tego Daniłowskiego — zastanawiałem się — i sprowadzę mu paru kolegów, z którymi byłem dobrze ześpiewany. Kwartet który spotkał się z taką krytyką Boczkowskiego, był tylko przypadkowym zlepkiem ludzi, którzy nie potrafili uchwycić nastroju nowoczesnej piosenki. A sam Ivo Wesby, świetny kapelmistrz „Qui pro quo”, powiedział mi przecież mijając mnie na progu gabinetu:
— Niech pan się nie martwi i nie poddaje. Ma pan ładny głos. Na pewno czeka pana kariera artystyczna.

Wesby nie mógł się mylić. Tak! Pójde do Daniłowskiego! Przecież wrócił dopiero co z Paryża, poznał „nowalijki” kabaretowe, zgłębił arkana nie znanego u nas śpiewania w stylu rewelersów. Ten rodzaj produkcji małych chórków był mi osobiście znany z posiadanej płyty nagranej przez słynny w tym czasie angielski kwartet wokalny „The Revellers”. Czułem instynktownie, że taki rodzimy chór rewelersów miałby u nas przyszłość.

Na szosie z Wilanowa do Warszawy powziąłem więc mocne postanowienie, że pójde zaraz jutro do Daniłowskiego z konkretną propozycją.

Jak też zrobiłem. Poszedłem z czterema wybranymi

kolegami do Daniłowskiego, który po wysłuchaniu mojej propozycji i przesłuchaniu kolegów (mój głos już

u Zgodził się na poprowadzenie chóru. zrealizowaliśmy na warsztat dwie bardzo modne wówczas piosenki argentyńskie (śpiewane po hiszpańsku) Plega-lempre cerida z repertuaru znanej orkiestry ar-

29

fotJ :ceJ |

argentyńskiej Bixio. Uczyliśmy się tych dwu utworów przeszło... pół roku! (W uzyskaniu właściwego akcentu hiszpańskiego pomagała nam znajoma ten język^_ współwłaścicielka znanej fabryki bielizny „Asco”). qJ tego tak długo, że Daniłowski chciał pokazać zesJ w zupełnie nowym wydaniu. Miał to być kwintet J weltersów, produkujących się w piosenkach o nowym czesnym aranżu.

Ten nowy styl był dla mnie (podobnie jak dla reszty kolegów) czymś niemal szokującym.

Nawyknęliśmy do śpiewania przede wszystkim w chórach kościelnych (z gregoriańskimi chorałami . włącznie) albo (klasycznego pośpiewywania operowego, a tu nagL trzeba się było produkować w piosence wymagając! bezbłędnej dykcji i odpowiednio spointowanej treści trzeba było śpiewać w sposób lekki i nowoczesny, j

Z czasem praca nad dwoma wspomnianymi utworami zaczęła mi bardzo przypadać do gustu. I dzisiaj z perspektywy lat, stwierdzam, że piosenkarstwo było moim właściwym przeznaczeniem. Nowy wówczas styl wykonywania piosenki trafił na solidny fundament mojej klasycznej edukacji wokalne. To w efekcie pozwoliło mi przetrwać jako piosenkarzowi do dzisiaj. Zaiste, nie byłoby to możliwe bez gruntownego wykształcenia. Przecież dzisiaj każdy niemal piosenka* śmiem twierdzić, nie mający za sobą solidnej nauki,

już po paru latach żegna się z estradą, zmuszony do tego zmęczeniem i nieracjonalną eksploatacją — w sensie technicznym — głosu.

Po sześciu miesiącach prób Daniłowski zaproponował nasz zespół kilku warszawskim teatrykom. Nikt jednak nie chciał zaangażować nieznanych wykonawców, śpiewających w dodatku niezgodnie z kanonami obowiązującego stylu. Dodam, że dla wzbogacenia oprawy muzycznej zakupiliśmy banja i przy ich akompania'

- orodukowaliśmy się od szeregu tygodni na różnie "Ciem*prezach, szlifując formę przed próbą ogniową latrze zawodowym. (Notabene, żeby nabyć banjo W ^łem zrezygnować z kupna nowych spodni i bu- m tów.

A swoją drogą nie ma to jak dzisiaj, ledwo zawiąże się jakiś pobrzękujący zespół, na przykład fabryce, już zakład wyposaża go w kosztowne nieraz instrumenty!).

Władysław Daniłowski, zirytowany tym, że żaden teatryków nie chce nas zaangażować, poszedł wprost do „jaskini lwa”, czyli do dyrektora „Qui pro quo” Boczkowskiego.

— Panie dyrektorze — zwrócił się do niego — zaśpiewamy na premierze darmo! Jeżeli przypadniemy publiczności do gustu, zatrzyma pan nas, jeżeli będzie kłapa, wrócimy do domu i przestaniemy zwracać sobie głowę śpiewaniem.

Boczkowski przesłuchał nas i — postanowił zaryzykować. Nadszedł dzień premiery. Ubrano nas w jedwabne spodnie, koszule z żabotami, namalowano nam baki, głowy ozdobiono lśnącymi sombreroami i... kurtyna poszła w górę. Nazwano nasz chór (żeby zaintrygować i zwabić snobistyczną warszawską publiczność!) z hiszpańska — „Córo Argentino V. Dano”. Zaśpiewaliśmy (oczywiście po hiszpańsku) obie śliczne piosenki argentyńskie na tle dekoracji, wyobrażającej zatokę w... Rio de Janeiro. (Czyżby geografia nie była mocną stroną znakomitego dekoratora Józefa Galewskiego?). Po zapadnięciu kurtyny — na sali wybuch entuzjazmu! Publiczność była więc nasza. Również Prasa dobrze przyjęła występ „Córo Argentino V. Da-no i pochwaliła dodatkowo inicjatywę dyrektora Boczkowskiego, który nie szczędząc kosztów sprowadził taki znakomity zespół z Argentyny...

Nawiasem mówiąc argentyński „haczyk” połączył na-

31

wet ktoś z dyplomatycznego przedstawicielstwa Argei, tyny. Przechodziłem akurat korytarzem, gdy po przecj. stawieniu za kulisami zjawił się brunet z baczka™ i zagadnął mnie po hiszpańsku. Zakrywszy usta ręką zacząłem pokasływać (udając przeziębienie) i czyn prędkiej umknąłem do garderoby.

Dyrekcja wyjawiała Argentyńczykowi prawdę, ale udało się rzecz utrzymać w tajemnicy przed dziennikarzami i publicznością. Po dwu bodaj miesiącach na scenę „Qui pro quo” wszedł nowy program — a z nim nasz kwintet. Przed premierą dyrektor Boczkowski powiedział: — Trzeba by was teraz spolszczyć. Nazwano nas Chórem Dana. A więc „bomba” pękła! Z czasem z Chóru Dana zaczął się pomaleńku wykluwać solista — Mieczysław Fogg, który naprzykrza się publiczności swoimi piosenkami do dzisiaj...

A swoją drogą chyba nikt wtedy nie przypuszczał, że ze skromnej czeredki rewelersowych amatorów wyrośniemy na zespół zawodowy, który z czasem znajdzie się, mówiąc językiem sportowym, w pierwszej piątce i chórów tego rodzaju na świecie. Taką właśnie lokatę dawał nam słynny amerykański impresario Sol Hurok, który sprowadził Chór Dana do USA.

Po nader udanym debiucie dyr. Boczkowski zaangażował nas do następnego programu. W drugim spektaklu Chór Dana śpiewał m. in. góralską piosenkę w... jazzowej aranżacji. To, co zwykliśmy uważać dzi- j siaj za rewelacyjne odkrycie zespołów młodzi ezo- J wych — owo muzyczne połączenie folkloru z nowo-ł czesnością jazzowej aranżacji — Chór Dana prezento- J wał już przed blisko czterdziestu laty! W podobny I sposób, na kanwie

jazzowej, wykonywaliśmy również piosenki łowickie w zabawnym numerze muzycznym 1 Łowickie — amerykańskie.

32

jednym z naszych występów przyszedł za kulisy pewU dobrotliwie uśmiechnięty widz. Bardzo mi się podobały ludowe piosenki śpiewa-a iazzowo — powiedział z uznaniem. Był to Karol Szymanowski! Chór Dana zagościł na scenie „Qui pro quo”. Po sukcesie naszego kwintetu w drugim programie „Qui pro quo” przestałem marzyć o karierze operowej, zdobyły mnie bez reszty piosenki. Zwłaszcza że zacząłem praktykować w tym gatunku u tak świetnego majstra sceny estradowej, jak Boczkowski (z profesji kompozytor), i miałem możliwość występowania z takimi znakomitościami polskiego kabaretu (ileż można się było od nich nauczyć!), jak Ordonówna, Pogorzelska, > Terne, Zimińska, Górską, Dymśza, Krukowski, Lawiń-~ski, Jarossy, Tom i inni.

Wróćmy jednak do moich początków w kwintecie „Daniłowski”. Wstępując do zespołu miałem za sobą Lj już siedem lat nauki śpiewu. Uczyłem się nadal i nadal \G pracowałem w PKP, a oba te zajęcia musiałem pogo-, dzieć z występowaniem w „Qui pro quo” (dwa przedsta-- wienia każdego wieczoru — o 19,15 i 21.30). Pracowałem więc od świtu do nocy! 5— Nie narzekałem jednak na swój los. Przeciwnie. Da-_3 m sie- Porwać tej radości i pasji pracy, jaka panowała w >, „Qui pro quo”. Boczkowski potrafił zarazić wszyst-ich bez reszty swoim entuzjazmem, natchnąć do twór-zego wysiłku. Wpoił nam niezłomną zasadę solidności rzemiosła artystycznego. Aktor nie śmiał w żadnym Przedstawieniu, czy to pierwszym, czy ostatnim, obni-Zyc walorów wykonawstwa. Boczkowski był w tym Względzie niezwykle czujny! Obowiązywały też: ścisła ,cyplinaj punktualne przychodzenie na próby i obec-m°eSe ° °znaczonej godzinie w teatrze przed przedst ' m- Uchybienia w tym względzie nie chroniły,

3 —

°d Palanta do

belcanta

<^

OD

T

konsekwencjami największych gwiazd. Za każde srM nienie płacono się kary pieniężne (pięć — dziesięć zjl tych) na ZASP, a nazwisko delikwenta wędrowało J tablicę wiszącą na korytarzu za kulisami. Pamiętaj. jakoś niedługo po przyjsciu do „Qui pro quo” widzia.' łem, jak na tablicy „wisiła” Ordonówna ukarana za niewielkie spóźnienie „grzywną”.

W zespole „Qui pro quo” obowiązywała odpowiednia hierarchia uzależniona od tego, czy artysta grał role pierwszoplanowe, drugoplanowe czy trzeciorzędne, a także od okoliczności, czy był nowicjuszem, czy też aktorem o pewnym stażu. Nie mówiąc już o przepaści, jaka dzieliła od gwiazd „Qui pro quo” takich początkujących amatorów, jak rewelersi Chóru Dana. Nigdy się nie odważyłem — nawet już jako solista — powiedzieć do takiego Jarossyego „panie Fryderyku”. Zwraçałem się doń per „panie dyrektorze” bądź „panie reżyserze”.

Stałych etatów w „Qui pro quo” nie było: aktora angażowano do programu lub na sezon. Zresztą kontrakt z teatrem nie oznaczał jeszcze stuprocentowej pewności regularnego otrzymywania gaży. Dyrekcja operowała zaliczkami (obecnie aktor ma w tym względzie pewniejszą, spokojniejszą egzystencję), przy czym nie czyniono wyjątku nawet wobec czołowych wyknB nawców (wynagrodzenie takich gwiazd, jak OrdonówH na, Pogorzelska czy Zimińska, wynosiło po sto pięćdziesiąt złotych za wieczór). Zdarzało się, że teatr przez jakiś czas zalegał z wypłatą gaży, ale artyści na ogół nie mieli o to pretensji, doceniając dążenia dyl rekcji do tworzenia ambitnego programu, który był magał zwiększonych nakładów.

Jeśli idzie o mnie, dykcja „Qui pro quo” przez pierwsze trzy lata była mi winna niemałą jak na moją kieszeń sumę (jednak etat w PKP był w tym czasie

34

iejszym źródłem zarobku), ale nie czułem się pe*™ pOWodu pokrzywdzony. Byłem przecież wdzięcz-Z kierownictwu „Qui pro quo” za umożliwienie mi "racy w teatrze, który dał mi szlif estradowy i artystyczne otrzaskanie się ze sztuką kabaretową na najlepszej tego rodzaju scenie w Polsce i bez wątpienia jednej z najlepszych w Europie. „Qui pro quo” to był uniwersytet kabaretu!

W zespole znajdowało się kilku kawalarzy, którzy swoim poczuciem humoru i talentem do robienia wymyślnych żartów ubarwiali atmosferę po naszej stronie rampy. Największym kawalarzem był bezsprzecznie Adolf Dymśa, czego miałem kilkakrotnie doświadczyć również na własnej skórze.

Zacząłem właśnie odnosić pierwsze sukcesy jako solista (oczywiście niezależnie od występowania w Chórze Dana), mianowicie nagrywając piosenki na płyty dla firmy Parlofon. Dyrektorem przedstawicielstwa tej wytwórni na Polskę, z siedzibą w Warszawie, był niejaki Leon Gerzwolf. Odnaczał się on charakterystycznym głosem i sposobem mówienia.

Poznałem ten głos natychmiast, gdy pewnego wieczoru Gerzwolf zadzwonił do teatru i poprosił mnie do telefonu. Dyrektor Parlofonu proponował mi nagranie Płytowe.

Podziękowawszy za ofertę, spytałem:

— A jakie piosenki mam śpiewać?

- To nie będą żadne piosenki •— oświadczył Gerzwolf. _ Zaśpiewa pan arię Jontka z Halki.

Mocno zdziwiony odpowiedziałem:

- Pan wybaczy, dyrektorze, ale ja jestem barytonem, a Jontek to partia tenorowa.

°n na to:

~~ Nic nie szkodzi, my to stransponujemy. ył to oczywisty nonsens! Jakby tego było jeszcze

°» Gerzwolf informował, że na moją partnerkę jako

3»

35

Halkę wybrał Niusię Nobisównę (nawiasem mówij późniejszą żonę Daniłowskiego, mieszkają do dzisiaj w USA). Jeszcze jeden zupełny nonsens! — pomyśla. łem. Nobisówna była aktorką o małym głosiku, n;e nadającym się do śpiewania arii.

Różnymi drogami chadzają kaprysy zamożnych lu. dzi! — zreflektowałem się. — Może Gerzwolf zadurzył się w Nobisównie i chce ją lansować jako śpiewaczkę operową, nie mając pojęcia o jej głosie? Przy ignorancji przedstawiciela Parlofonu było to całkiem możliwe. Ten skądinąd uroczy człowiek był laikiem handlującym płytami i nieraz dawał dowód nieznamośności podstawowych kanonów muzyki i piosenki.

Kiedyś uczestniczyłem w nagraniu piosenki dla Par- j lofonu w obecności tegoż Gerzwolfa, przysłuchującego się akompaniującej orkiestrze. W pewnej chwili puzonista, który miał ileś tam taktów pauzy, odłożył instrument. Wtedy Gerzwolf przerwał próbę i zwracając się do dyrygenta, zapytał:

— Panie, dlaczego ten człowiek z długą trąbą nie gra?

— Bo ma pauzę — odpowiedział nie bez irytacji za-« gadnięty.

— Co mnie to obchodzi, ja za pauzę też płacę! -! uniósł się Gerzwolf na takie dictum. (Płacił orkiestrze za pełną godzinę grania).

W czasie rozmowy telefonicznej z Gerzwolfem dojB znałem czegoś w rodzaju małego szoku. Odpowiedzią-łem „parlofoniście”, że co do nagrania z Nobisówna j arii — dam znać za kilka dni. Natomiast na żadne I „transponowanie” głosu się nie godzę. Wytracony z I równowagi chodziłem od garderoby do garderoby, rozpowiadając o dziwnej propozycji Gerzwolfa. W pewnej chwili spojrzałem na Dymśę i nagle coś mnie tknęło. 36

!;00n talent do naśladowania głosów i zmysł Znaiąc Je& .. .

do kawałów, wypaliłem wprost:

_ Panie Dodku, czy to przypadkiem pan do mnie nie dzwonił?

Dymsza zrobił taką niewinną minę, że zawstydziłem się moich podejrzeń. Dopiero po przedstawieniu Dodek nuścił farbę": wzięwszy mnie przyjaźnie pod ręką, przyznał się do kawału.

Kiedyś ofiarą imitatorskiego talentu Dymyzy i jego ogromnego zmysłu do kawałów padł znakomity aktor komediowy Józef Orwid.

Było tak. Pewnego dnia Dymsza, Orwid i ja wpadliśmy na zakąskę do restauracji przy ul. Sienkiewicza. Rozmawiało nam się miło, toteż czas szybko płynął. W pewnej chwili Orwid zaczął się nerwowo wiercić w krześle, a następnie kilkakrotnie podnosił się do wyjścia, ale Dymsza za każdym razem go zatrzymywał. Orwid, który bał się niesłuchanie swojej żony, miał „nakazane”, żeby zawsze być punktualnie na obiedzie. Toteż wprost urywał się nam od stolika.

Był już spóźniony o ładne parę minut, gdy wybiegł w popłochu z restauracji. W tym samym momencie Dodek pospieszył do telefonu. Połączył się z mieszkaniem Orwida i dając jeszcze raz próbkę fantastycznych umiejętności imitatorskich, głosem Orwida powiedział, iż nie przyjdzie dziś na obiad, a następnie zaczął krytykować połovicę aktora za jej złe gotowanie. Odpowiedzią był szloch i nieledwie samobójcze groźby, które nie zostały spełnione prawdopodobnie tylko dlatego, że właśnie wszedł do mieszkania prawdziwy Orwid... Fakt ten został przyjęty przez rozmówczynię Dymyzy najpierw ciszą, a następnie głośnym okrzykiem, w którym było tyleż zaskoczenia, co radości.

Na orbicie sukcesu

Oczywiście Dymsza nie miał monopolu na robienie kawałów. Rywalizował z nim m. in. Ludwik Lawiński. Za kulisami warszawskich teatrów i teatrzyków zjawiał się dosyć często młody człowiek Stefan X, który był zbikowany na punkcie Melpomeny, ówczesne teatrzyki miały sporą liczbę wiernych totumfackich; znajdowali się wśród nich i tacy, którzy sami marzyli o karierze scenicznej, ba! byli przekonani o swoim artystycznym powołaniu i talencie.

Tę ich słabość do teatru wykorzystywali ochoczo zawodowi aktorzy wymyślając różne często niewinne kawały, a czasem niemiłosiernie naigrawając się ze swoich ofiar.

Bohaterem jednego z takich niewinnych a uciesznych kawałów był wspomniany Stefan X. Miał on jedną wielką słabość: był przekonany, że posiadał sztukę łudzącego przeistaczania się w różne postacie. Uważał się nieledwie za „człowieka o stu twarzach”.

Pewnego dnia, gdy przyszedł do „Qui pro quo” za kulisy, Ludwikowi Lawińskiemu strzeliło właśnie do , głowy zabawić się kosztem Stefana X.

Posadził go na krześle w swojej garderobie i charakteryzator Konrad Narkiewicz (również tęgi kawalarz) zabrał się do dzieła. Nałożyli przybyszowi na głowę węg perukę tysego mężczyzny, a twarz jego zwieńczyły

kobrody a la cesarz Franciszek Józef. Dzieła odpowiedni makijaż.

Tak ucharakteryzowanego wysłali Stefana X do Opery — takiego samego kawalarza jak Lawiński — barona Franciszka Freszla. W międzyczasie z „Qui pro quo” zadzwonili do śpiewaka, informując, że w drodze

) niego jest już Stefan X, znany dobrze artystom Opery z kilku poprzednich wizyt.

Po wejściu za kulisy Stefan X poprosił o zaprowadzenie do Freszla. Portier, nie zdradzając się, iż zna przybysza, spełnił jego prośbę. Gdy ten zjawił się w garderobie Freszla, ów wstał wolno z krzesła i zaczął się przyglądać badawczo rzekomemu nieznanemu. Po chwili zapytał:

— Z kim mam przyjemność? Czym mogę panu służyć?

Na to przybysz (uradowany!)

— To mistrz mnie nie poznaje? Jestem Stefan X! Teraz z ust Freszla zaczęły padać pełne zachwyty

„achy” i „ochy”. I koronny komplement:

— Pan jest mistrzem maski!

Co stwierdziwszy znany baryton zaprowadził Stefana X do pokoju charakteryzatora, gdzie fryzjer operowy z kolei nadał „mistrzowi maski” wygląd Eleazara z Żydówki. Z długą siwą brodą Stefan X podążył teraz dostojnym krokiem do „Morskiego Oka”, gdzie Eugeniusz Bodo, uprzedzony telefonicznie, znakomicie udawał wobec przybysza, że go nie poznaje. I po chwili znowu te same komplementy, te same słowa uznania Pod adresem „człowieka o stu twarzach”. Stefanowi X rosło serce z radości, a aktorzy bawili się znakomicie.

w „Morskim Oku” przebrano delikwenta za gimnazjalistę — w krótkie spodnie i czapkę z dekle od Orskiego. W swoim nowym wcieleniu Stefan X wra-

39

cał do „Qui pro quo”, gdzie w pierwszej chwili nikt go nie poznał...

Tak to aktorzy „Qui pro quo” urozmaicali sobie gn dżiny forsownej pracy. Grało się bowiem dwa razy dziennie przez okrągły rok (wyjąwszy tylko pięć sześć dni przypadających na największe święta). Ja („pracę (przedstawienia i próby!) musiałem jeszcze jażyć z posadą kasjera PKP. No, i nadal uczyłem się śpiewu. W tej sytuacji moje życie rodzinne zredukowało się do absolutnego minimum.

Najbardziej ucierpiały na tym kontakty z synkiem. Wracałem przecież do domu często grubo po północy (nieraz po teatrze wstąpiło się jeszcze gdzieś z kolegami), a wychodziłem do biura PKP wcześniej rano. Żebyśmy z moim pierworodnym wzajemnie nie zapomnieli, jak wyglądamy, prosiłem żonę, aby dwa — trzy razy w tygodniu przyprowadzała pięcioletniego wówczas Jędrusia do teatru.

Malec zdążył się już jednak na tyle ode mnie odzwyczaić, że zjawiwszy się za kulisami „Qui pro quo” z miejsca biegł do garderoby Żuli Pogorzelskiej, omijając ojcowską. Synek zapałał wielką, zresztą odwzajemnioną sympatią do tej znakomitej artystki. Wszyscy w teatrze wiedzieli o tej obopólnej słabości. Ilekroć („miotany zazdrością!”) szukałem Jędrusia za kulisami wywołując jego imię, zawsze odzywał się z garderoby Pogorzelskiej: — Tu jestem. Hanka Ordonówna, chcąc kiedyś wystawić na próbę I przyjaźń syna do Pogorzelskiej, zaproponowała, że obie sfingują w obecności dziecka sprzeczkę, w czasie której Ordonka zrobi zamaszysty ruch, jakby chciała uderzyć koleżankę. Stała zakład: Ordonka była zdania, że Jędrus nie zareaguje, by bronić swej sympatii, Pogo-

40

twierdziła coś wręcz przeciwnego. Ta, która TZLra, miała postawić szampana. przegrała oczywiście inicjatorką zakładu. Jędrus rzysłuchiwał się z rosnącym niepokojem głośnej wypanie zdań, a w chwili gdy Hanka Ordonówna zamierzyła się na Pogorzelską, Fogg-junior doskoczy* i... ugryzł „agresorkę” — na szczęście lekko! — w nogę.

Po teatrze prawie nikt z aktorów nie szedł do domu. Ja od czasu do czasu także wpadałem do jakiegoś lokalu. Najczęściej był to mój ulubiony bar „Pod Bukietem”, przy Nowym Świecie 5, mający wśród stałych bywalców także wielu popularnych artystów. Wpadało się na zakąskę zakropioną kieliszkiem jakiegoś trunku. Prowadziło się przy tym z kolegami wesołe pogawędki okraszone gęsto anegdotami i dowcipami, które często tam właśnie się rodziły i stamtąd „szły w miasto”.

Aktorzy mieli swoich admiratorów i mecenasów, którzy czuli się zaszczytzeni, gdy ich ulubieniec czy ulubienica, zwłaszcza jakaś znakomitość aktorska lub popularna gwiazda, przyjmowali zaproszenie na kolację w eleganckim lokalu. Z propozycją mecenasi i wielbiele występowali ceremonialnie na kilka dni naprzód. Do częstych rozrywek aktorów po przedstawieniu należały zamknięte nocne pokazy filmowe, zwykle specjalnie dla nich urządzone. Warszawscy przedstawiciele agranicznych wytwórni filmowych prezentowali

na 7ch pokazach najnowsze filmy, nawet te obrazy, które e zostały zakupione do eksploatacji w Polsce. Pokazy 7 okraszone głośnymi, często bardzo dowcipnymi komentarzami aktorskiej widowni na temat odtwórców r^ol i akcji.

wrócę jeszcze do Chóru Dana, żeby przypomnieć c ad osobowy kwintetu w jego początkach. Kierowni- j^1". artystycznym był, jak wiemy, Władysław Dani- l> zarazem akompaniator (fortepian i akordeon)

41

i twórca aranżacji. Daniłowski, absolwent konser[^]J torium, komponował również liczne piosenki dla » społu.

Pierwszym tenorem w Chórze Dana był nieżyją*,. już Wincenty Nowakowski, urzędnik Ubezpieczeń Społecznej; drugi tenor, Zachariasz Papiernik, służy} j randze ogniomistrza w 1 pułku artylerii przeciwlotni-czej. Zginął w czasie okupacji, rozstrzelany na Palmi-rach, jako jeden z pierwszych kolporterów prasy pod. ziemnej.

Jeszcze jeden drugi tenor, Aleksander Kruszewski był urzędnikiem kolejowym (niestety, nie wiem nic

o jego powojennych losach). Czwarty członek zespołu Tadeusz Bogdanowicz również służył we wspomnianym

1 pułku artylerii przeciwlotniczej jako starszy ogniomistrz. Zginął w Powstaniu. Listę kwintetu zamykałem ja-

Wszyscy pracowaliśmy zawodowo w różnych dziedzinach, a uczyliśmy się równocześnie z wielkim zapałem śpiewu i marzyli o karierze artysty operowego. Wszyscy zdobywaliśmy — jako amatorzy — śpiewacze ostrogi w chórze warszawskiej katedry, wszyscy byliśmy początkowo uczniami tego samego profesora (Łysakowskiego).

Wspomniałem, że dwaj moi koledzy z Chóru Dana służyli w stopniu ogniomistrzów w 1 pułku artylerii przeciwlotniczej. Otóż bakcył śpiewania osiągną! także zawodowego oficera wysokiej rangi w teże jednostce-i Sam jej dowódca pułkownik Baranowicz uczył się śpiewu u profesora Łysakowskiego. Miało to dla śpiewających, podkomendnych pułkownika, ten dobroczynny skutek, że odnosił się on z dużą tolerancją do później-i szych występów naszych „mundurowych" kolegów ' Chórze Dana. Z czasem obu tym kolegom trudno jednak było pogodzić służbę wojskową z pracą na scenie

43

próby!)- Zwłaszcza gdy zaczęły się wyjazdy kon- (pITwe na prowincję. Stojąc wobec wyboru — zacho- f^o dotychczasowy zawód czy pójść na niepewny W*fh artysty__zdecydowali się na karierę wojskową.

^Pierwsi opuścili Chór Dana Papiernik i Kruszewski. . h miejsce wszedł bardzo uzdolniony student konserwatorium Adam Wysocki. Wkrótce rozstał się z chórem — z tych samych pobudek, co jego dwaj poprzednicy — Wincenty Nowakowski. Rozłąka z nami, jak się okazało, wcale nie oznaczała jego rezygnacji ze śpiewania. Nowakowski, pracując w Ubezpieczalni, produkował się w chórze Opery Warszawskiej. Pozostał wierny temu chórowi do końca życia, śpiewał w nim jeszcze parę lat po wojnie.

Nowakowskiego zluzował w Chórze Dana Tadeusz Jasłowski, obdarzony ładnym tenorem student weterynarii ze Lwowa, równocześnie uczący się śpiewu. W tym uzupełnionym składzie doczekałem dziesięciolecia Chóru Dana.

W ciągu dziesięciu lat przechodziliśmy kolejno z „Qui pro quo" do innych popularnych teatrów i teatrzyków. Skryształizował się charakter zespołu — a w nim i ja. Oprócz śpiewania w kwintecie Chóru Dana zacząłem występować coraz częściej jako solista. W tym charakterze zaprodukowałem się na scenie teatru „Banda" w ślicznej piosence Dana do słów Tuwima Melodia. Właśnie Tuwim, który lubił i świetnie czuł styl Chóru

ana, pisał najczęściej słowa do naszych piosenek. Nawiasem: popularny autor posłał mi tekst Melodii z do-Plskiem: „Ładne, co? Julian Tuwim”.

w końcu przeszedłem na chleb solisty. Na moje jsce Daniłowski wprowadził świetną piosenkarkę ę Brzezińską i jej brata Wacława, cenionego 0M'Cnie profesora śpiewu.

i debiut w charakterze profesjonalnego solisty
43

nastąpił wkrótce po zdaniu egzaminu do ZAsp (Związek Artystów Scen Polskich), kiedy to uzyskałem prawa zawodowego artysty. (Przewodniczącym t ZASP-u w „Bandzie” był Kazimierz Krukowski).

Do egzaminu przygotowywałem się sumiennie pr, szereg miesięcy, gdyż ZASP stawiał kandydatowi u zawodowca bardzo wysokie wymagania. Mimo uzyskałem ostróg artysty zawodowego, wciąż jeszcze nie miałem odwagi zrezygnować z pracy w PKP.

A przecież miałem już pewną popularność zarówno jako członek Chóru Dana, jak i solista. Popularność ta rosła szybko, i to w skali krajowej, wraz z nagraniem pierwszych szlagierów na płyty i gdy zacząłem występować przed mikrofonami radia. Nawiasem mówiąc pierwsze płyty nagrywałem dla wytwórni Syrena Re-cord, a te z Chórem Dana w... konkurencyjnej wytwórni Odeon. Notabene w każdym koncercie Chóru Dana, czy to w Warszawie, czy na prowincji, byłem reklamowany jako solista wypełniający oddzielną część programu.

Pierwszą własną płytę nagrałem dość szybko, bo w niecały rok po debiucie Chóru Dana w „Qui prd quo”. Studio wytwórni Syrena Record mieściło się w „Dolinie Szwajcarskiej”. Moja pierwsza płytowa piosenka Zawiodły me sny, synku mój pochodziła z ról pertuaru amerykańskiego pieśniarza Al Jonsona.

Ale tak naprawdę pierwszą płytę nagrałem znacznie wcześniej, jeszcze w czasie, gdy uczyłem się śpiewu. Płyta ta nigdy jednak nie została wyprodukowana. Ukazała się w jednym egzemplarzu. Przechowywałem ją wstydliwie przez kilkanaście lat aż do Powstania (kiedy to między innymi stała się łupem szabrowni*; ków) i tylko czasem puszczałem ją sobie w samotności. Nikt w domu nie śmiał jej słuchać! Dodam, że na „dziewiczej płycie” znalazła się arJS

44

a z opery Carmen. Nagrałem ją w firmie Pol-i0Vea-pT*a która mieściła się w podwórzu domu na Małkowskiej przy placu Unii Lubelskiej. Pokoik, którym nagrywano piosenki, nazywany szumnie diem, był małą kłitką o wymiarach 5X4 m. Z jed-

• ze ścian wystawała dziurkowana trąba; do jej TeLa — w sąsiednim pomieszczeniu — była przymo-Koncd " ->

cowana membrana nagrywająca utwór na wosk. Ot, cała „machina”. Właściciel wytwórni, a jednocześnie mój protektor, zaaplikował mi w czasie nagrywania arii swoistą... gimnastykę. Mianowicie trzymając jedną rękę na moim brzuchu, a drugą na plecach, odchyłał mnie od dziurkowanej trąby głęboko do tyłu, to znów wyprostowywał. Ta pierwsza pozycja była konieczna przy wysokich nutach, kiedy to siła głosu mogła spowodować zbyt dużą wibrację urządzenia nagrywającego.

Nagrałem tedy arię toreadora — posłuszny ruchom pryncypała — dosłownie kiwając się. Ale nawet ten „techniczny” zabieg nie uratował dzieła. Płyta okazała się kompletnym niewypałem.

Jakimi wspinałymi śpiewakami musieli być tacy artyści, jak Caruso, Battistini czy Szalopin, których nagrania z tamtych czasów (oczywiście po pewnych udoskonaleniach technicznych) produkuje się dzisiaj i są chętnie słuchane.

w ciągu czterdziestoletniej kariery śpiewaczej nagrałem około dwóch tysięcy płyt. Jako datę płytowego startu wymienię rok 1930. Wtedy to i w następnych a ach podpisywałem kontrakty na sto piosenek rocznie. c dy,m roku limit ten przekraczałem z reguły o :rdziesci-pięćdziesiąt płyt (nazywano mnie „śpiewającą mrówką”).

w tU muszS wyjaśnić, że produkcja płyt przypominała czasie po trosze wypiek bułek w piekarni. Wła-

45

ściciel piekarni, przepraszam, wytwórni płyt, wrp<w, mi jednorazowo dziesięć—piętnaście piosenek (Oc wiście musiał mieć na nie moją aprobatę, gdyż sk/" łem się unikać utworów kiczowatych). Teraz szedł-, do dyrygenta, gdzie szybko przygotowywało się pi0SeŁ ki do nagrania (sześć „sztuk” w ciągu kilku godzin) Jakoż i niebawem następowało samo nagranie. Jjgj uchem stawał Henryk Gold czy inny skrzypek i p0(j. grywał mi daną melodię...

To były piosenki śpiewane solo. Niezależnie od owych stu czterdziestu—stu pięćdziesięciu utworów nagry. wanych na płyty w charakterze solisty, naśpiewałem na płyty jeszcze około trzydziestu do pięćdziesięciu piosenek rocznie z Chórem Dana. Wspomniałem, że jako solista utrwaliłem na ebonitowym krążku w ciągu czterdziestolecia około dwóch tysięcy piosenek. Część ich nagrałem wkrótce po wojnie we własnej wytwórni — Fogg Record. Naśpiewałem je trochę z musu, nie mając pieniędzy na innych solistów.

Studio mieściło się w moim mieszkaniu na Koszykowej 69; cały stołowy pokój obwieszony był wełnianym materiałem, od sufitu do podłogi. Tego wymagały wtedy nakazy akustyki.

Aparatura nagrywająca mieściła się w... sypialni. Niekiedy pomieszczenie to przypominało sypialnię tylko z nazwy, jako że nagrania przedłużały się nieraz do drugiej po północy.

Nakłady płyt nagrywanych w mojej wytwórni były niskie. W 1951 r. zwinąłem interes. Ot, niemowlę, które nie urosło.

Jakie piosenki nagrywane w moim studio miały największe powodzenie? Przede wszystkim piosenki p°" wstańcze. Ze szlagierów — Kwiat paproci i Nasza jest noc. Tę drugą piosenkę do słów Tuwima skomponowała bodaj na początku lat trzydziestych Stef ci a Górską, dzisiaj artystka Teatru Syrena.

46

bene Górską zaczęła karierę w „Qui pro quo” ' a, z „Taczanek” (tak nazywano tancerki z ze-^ł* "Taczanny Wysockiej) i wkrótce dała się poznać ja-|f"świecna artystka estrady, łącząca umiejętność tańca ° śpiewem i aktorstwem. Górską objawiła nadto talent kompozytorski. Jeżdżąc w okresie powojennym po Polsce słyszałem nieraz w restauracjach graną rzewnie piosenkę Noszą jest noc.

Przed wojną jedna z moich płyt — Ta ostatnia niedziela — osiągnęła nakład przeszło stutysięczny. To był szlagier, który utrzymał się przez okrągły rok! Właściciel wytwórni zrobił na tym tangu kokosy. Jako premię otrzymałem od niego złote spinki do fraka z brylantami, które później w ciężkich i smutnych latach okupacji spieniżyłem.

Chór Dana zyskiwał coraz większe sukcesy estradowe, płytowe i radiowe. Wkrótce doszła do tego wokalna próba sił w filmie, a zarazem pierwszy wyjazd zespołu za granicę. Zostaliśmy zaangażowani do podłożenia piosenki Flisacy w filmie Dziesięciu z Pawiaka, którego udźwiękowienie było realizowane w Berlinie. Śpiewałem wspomnianą piosenkę solo przy akompaniamencie Chóru Dana.

W czasie pobytu w Niemczech zapragnęli nas posłuchać dyrektorzy największego w Europie berlińskiego music-hallu — „Scali”. Zostaliśmy wysoko ocenieni i wkrótce potem podpisano z nami dwukrotnie kontrakt na miesięczne występy gościnne na scenie „Scali”. Wo-Dec

dużego powodzenia w Berlinie, zaangażowano nas Później na koncerty także w innych miastach niemieckich. W kilku następnych latach odbywałem z Chórem saną podróż do Estonii, Łotwy, ZSRR, Finlandii, Szwecji, Norwegii, Austrii, Czechosłowacji, Rumunii, Francji, Włoch i Ameryki.

° Pierwszym kontakcie ze sztuką X Muzy wystą-

47

piłem wkrótce w filmie Biała trucizna z Jaraczem t& solowym występie śpiewałem piosenkę Melodia.

Z wielkim Jaraczem zetknąłem się także późni- w programie kabaretu „Banda”, w rewii noszącej tytuł Jaracz i banda. Artysta wystąpił w skeczu Szczęść wcielając się w postać człowieka, któremu dopiero nJ łożenie kajdanków na ręce uświadomiło, jaki był przedtem szczęśliwy. W tym nieco filozoficznym skeczu w stylu Grand Guignolu, choć przyszło mu się pokazać w niepozornej rólce, Jaracz wykazał całą moc swego wielkiego talentu.

Wykonawcy z „Bandy” odnosili się do Stefana Jaracza z ogromnym respektem. Artysta był dla swoich kolegów z kabaretu uprzejmy, choć zwykle mało rozmowny i raczej zamknięty w sobie, co zdawało się być charakterystyczne dla jego usposobienia. Opowiadano mi, w jaki sposób Jaracz znalazł się w „Bandzie”. Było to wynikiem niejako „transakcji wiązanej”. Otóż kierownictwo „Bandy” oddało na pewien czas swoją salę zespołowi Teatru Ateneum — któremu dyrektorował Jaracz — pod warunkiem jednak, że znakomity aktor wystąpi w programie „Bandy”, na co Jaracz się zgodził. Dlaczego zespół Ateneum chciał występować w sali „Bandy”? Chodziło o uzyskanie większej frekwencji, z którą bywało nie najlepiej, gdyż znakomicie zresztą prowadzony, ambitny Teatr Ateneum, położony był «a peryferyjnym wówczas Solcu.

W wiele lat po premierze w „Bandzie”, już w czasie okupacji, było mi dane ponownie zetknąć się ze Stefanem Jaraczem. Zostałem zaproszony na występy do jednego z lokali prowadzonego przez artystów Teatru Ateneum. Śpiewałem w tym okresie w swoich trzech ulubionych lokalach: w „Lucynie” i w „Swanie” na Nowym Świecie oraz „U Aktorek” na rogu alei Ujazdowskich i dawnej Piusa.

48

koncercie kierownik lokalu artystów z Teatru ° m aktor Stanisław Daniłowicz, podszedł do mnie ze słowami:

_ Słuchaj, Mięciu, majster chce z tobą rozmawiać.

Daniłowicz, bezgraniczny admirator Jaracza, był kimś w rodzaju adiutanta wielkiego aktora. Nie odstępował go niemal na krok, a rozmawiając z Jaraczem, zwykł zwracać się do niego per „majster” (oczywiście mówił to absolutnie serio).

Jaracz siedział w jednej z łóż. Podszedłem do mistrza sceny pełen ekscytacji. Wychowany w kulcie dla wielkich artystów, przystanąłem z respektem o jakiś metr od jego stolika. Jaracz kazał mi podejść bliżej i usiąść. Patrzył na mnie przez chwilę, po czym zapytał z powagą:

— Czy wiesz, kto ty jesteś?

Nie bardzo orientowałem się, o co Jaraczowi chodzi. Na szczęście znakomity aktor pospieszył z odpowiedzią na własne pytanie:

— Gdyby można było przetransponować moją sztukę, moje aktorstwo na sztukę gastronomiczną - - mówił z lekko rubasznym uśmiechem — to ja jestem wykwinnym obiadem. A ty? Ty jesteś — tu Jaracz podniósł wskazujący palec na wysokość mojej twarzy — ty jesteś jak dobra kawa po obiedzie...

Cóż miałem odpowiedzieć? Zaprosiłem mistrza Jaracza na dobrą aromatyczną kawę, tym razem w sensie dosłownym.

Walizki artystów z Chóru Dana pokrywały się różno-

>lorowymi naklejkami zagranicznych hoteli. Nasza Popularność przekroczyła granice kraju, zaczęły napierw udaliśmy się do Rygi. Publiczność i prasa wzięły nas entuzjastycznie. Łotyszów zachwycił nie Palanta do belcanta

49

znany im przedtem nowoczesny styl wykonawczy r(S wtlersów. Chcąc ująć tamtejszą publiczność, nauczyW się jednej piosenki po łotewsku. Słowa utworu w ty*, trudnym języku przyswajałem sobie na zasadzie paPu gi, nie wiedząc, co oznaczają. Niemniej jednak publi. czność musiała je rozumieć, jako że kwitowała moi? osiągnięcia lingwistyczne wielką owacją.

O tym, jak solidnie jednak wyuczyłem się łotewskich słów, niech świadczy fakt, że gdy śpiewałem ponownie w Rydze — o całe trzydzieści lat później — natychmiast wyłuskałem z pamięci ową piosenkę, która zaczynała się od słów (fonetycznie): „Teci, teci, kurtuteci, gajliti mau, nuartinia agru maj...”

W drodze powrotnej wystąpiliśmy w Dynaburgu. Publiczność dynaburska zapełniła salę koncertową do ostatniego miejsca. Miejscowa policja widać zlekła się tej „masówki”, obsadziła widownię i w zdecydowanej formie zabroniła Chórowi Dana bisować! Nie wiadomo, z jakich powodów władze łotewskie ulewały się czaru polskiej pieśni i piosenki... Publiczność, zorientowawszy się w sytuacji, długo, długo po koncercie nie opuszczała sali, manifestując głośno na cześć polskich rewelersów. Policja okazała się bezsilna, nie mogła zgasić entuzjazmu i musiała wysłuchać odśpiewanego przez nas na bis Flisaka.

W czasie pierwszego pobytu w Rydze przyswoiłem sobie jeszcze kilka innych słów łotewskich, które wyraźnie zdradzają kierunek moich zainteresowań: kun-dze — pani, jaunkundze — panienka; je ja — wejście, izieja — wyjście.

Z Rygi popłynęliśmy Zatoką Fińską do Helsinek. W nocy, na kilka godzin przed osiągnięciem celu, zbudził mnie podejrzany rumor. Może nastąpiło zwarcie z innym statkiem, który teraz ociera się o naszą burtę? — pomyślałem. Na wszelki wypadek błyskawicznie

BQ

łem się i wybiegłem na pokład. Tego urzekającego ^ku nie zapomnę do końca życia. Statek szedł jakby wł, j olbrzymiego białego pola. Jak okiem sięgnąć nie widać wody. Posuwaliśmy się wolno wąskim ko-y, które przetarł idący przed nami lodołamacz. Przesmyk był niewiele większy od szerokości statku; stąd owo podejrzane dla mnie, szcztura lądowego, szuranie burty o — jak się okazało — lód.

W Helsinkach temperatura na widowni w czasie naszych występów nie dawała się pogodzić z utartymi wyobrażeniami o chłodzie publiczności w krajach Północy. Oklaskiwano nas bardzo gorąco.

Z Helsinek — był marzec 1934 roku — udaliśmy się pociągiem do Leningradu. Rzadko tu zaglądali artyści z Polski, a takimi rzadkimi gośćmi byli przed nami: Ewa Bandrowska-Turska i Grzegorz Fitelberg. Oboje znakomicie przyjmowani przez leningradzkich melomanów.

Daliśmy w Leningradzie dwa występy, odbywały się one w dawnej carskiej sali koncertowej. Nasz rewelerso-wy styl, zupełnie tu nie znany, robił prawdziwą furorę. Na podstawie późniejszych konfrontacji w różnych szerokościach geograficznych — śmiem w ogóle twierdzić, że radziecka publiczność jest chyba najlepszą publicznością na świecie, jeśli idzie o zaangażowanie widza w to, co ogląda, i jego reakcje — pod warunkiem oczywiście, że mu się to podoba. Nawiasem mówiąc je-nego wieczoru musiałem w Leningradzie czterokrotnie SOWa'- piosenkę Pomnij oho mnie (Myśl o mnie). w kilkanaście dni po powrocie z ZSRR zostaliśmy ^angazowani telegraficznie na dalsze koncerty do Leningradu i do Moskwy. To

szybkie ponowne zaproszenie potwierdzeniem poprzedniego sukcesu. Z okazji pobytu nagraliśmy także liczne piosenki a Pfyty. W stolicy ZSRR zaprzyjaźniłem się ze zna-

<•

51

komitym aktorem (główna rola w słynnym filmie „t się śmieje”) i kompozytorem Utiosowem. Przyszedł h mnie za kulisy, gdy przed dwoma laty występowałem w Moskwie. Wyściskaliśmy się serdecznie. Utiosow jest obecnie kierownikiem czterdziestoosobowej orkiestry, z którą jeździ po całym Związku Radzieckim.

Jadąc wtedy, w kwietniu 1934 roku, po raz drugi do ZSRR, przeżyliśmy na granicy radzieckiej coś, co uznaliśmy za dobry omen. Oto radzieccy urzędnicy celni i kolejowi dowiedziawszy się, że jesteśmy owym zespołem wokalnym, który jedzie koncertować do Moskwy, zaczęli nas prosić, aby im koniecznie coś zaśpiewać. Zgodziliśmy się. Za chwilę już zebrał się spory tłum przypadkowych słuchaczy. Dostaliśmy takie brawa, tak gwałtownie domagano się bisów, że odśpiewaliśmy chyba z dziesięć piosenek. Niektórzy z naszych słuchaczy, nienasycony, wyskakowali z pociągu dopiero w biegu.

Na zakończenie naszych występów urządzono dla nas bankiet. Zblamowaliśmy się na tym przyjęciu porządnie, gdyż chcąc się dostosować do demokratycznego sposobu noszenia się gospodarzy, przyszliliśmy w szarych garniturach. Tymczasem okazało się, że podejmujący nas moskwićzanie wystroili się na naszą cześć jak jeden mąż na czarno. Niemniej jednak nastrój był bardzo serdeczny. Odprowadzono nas gremialnie na dworzec.

Świetna publiczność (i recenzje!) czekały na nas w Oslo. Był tam wprawdzie przed nami najlepszy chór rewelersów na świecie — murzyński zespół z USA -Mills Brothers, ale nam również wystawiono w Norwegii dobrą cenzurkę.

Na trasie naszych zagranicznych wędrówek znalazł się także Berlin. Występowaliśmy w największej berlińskiej sali Bach-Saal oraz w słynnym w Europie varieté „Scala”. Głosy krytyków były niezwykle pochlebne,

52

publiczność berlińska przyjmowała nasze piosenki, itóCnie ludowe, owacyjnie.

Zastanawiało mnie jednak, jak ta sama muzyczna • dawałoby się kulturalna publiczność potrafiła reago-

- __ i to spontanicznie! — na numery dalekie od dojnego smaku. Przykład: w renomowanej „Scali” występowała dwójka komików, coś w rodzaju Pata i Pa-tachona. Ten mniejszy trzymał w pewnej chwili rękę mocno przytkniętą do poślodka, podczas gdy partner próbował mu ją siłą stamtąd oderwać. Udawało się to tylko połowicznie, gdyż ręka wracała dynamicznie na to samo miejsce. Towarzyszył temu spazmatyczny wrzask siłujących się. Trick powtarzany kilkanaście razy sprawił, że niemieccy widzowie z uciechy tarzali się niemal po podłodze.

Uzmysłowiłem sobie, że w Polsce podobne numery, będące zaprzeczeniem finezji i dobrego smaku, nie przeszłyby w żadnym varieté czy kabarecie. Co najwyżej w podrzędnym cyrku. W Berlinie spotkaliśmy się na jednym z bankietów w polskiej ambasadzie z Janem Kiepurą i Martą Eg-gerth. Powspominałem sobie z „chłopcem z Sosnowca” stare czasy z okresu wspólnej edukacji u profesora Brzezińskiego.

Kiepura cieszył się w Niemczech ogromną popularnością. Nasz rodak podkreślał przy tym na każdym kroku swoją polskość. Gdy występował na przykład w Cyganerii i po zakończeniu przedstawienia wychodził przy ywiolowych brawach przed kurtynę, śpiewał na bis najczęściej po polsku — arię ze Straszego dimru lub mari Maciek, umarł czy jakąś inną piosenkę ludową, inaczej było, gdy Kiepura produkował się z fanta-^xfnyrn P°wodzeniem w berlińskiej Operetce.

Berlinie — w kościele Sw. Jadwigi — zobaczyłem aego Hitlera. Wódz III Rzeszy zrobił na mnie wielce

deprymujące wrażenie. Powiało od niego jakąś au niesamowitości, gdy kroczył przez kościół rytmem pó) marszowym, ze wzrokiem utkwionym tępo przed siebie Szedł jak koń z kłapami na oczach. W świątyni i przed nią roiło się od cywilów wiadomej przynależności i mundurowców.

Na trasie zagranicznych wojaży „danistów” znalazła się również słoneczna Italia.

Wystąpiliśmy w kraju can-zony, czyli w jaskini Iwa. Doprawdy śpiewem niełatwo Włochom zaimponować, a jednak przywieźliśmy z Półwyspu Apenińskiego recenzje utrzymane w superlatywach. Chociaż piosenki opiewały dzieje mazurskiej Kasi czy miłostki góralskiej Basi w niezrozumiałym dla odbiorców języku, to jednak znakomita harmonia czterech idealnie zestrojonych głosów sprawiała, że utwory te robiły furorę. W naszym repertuarze znalazły się także Mazurki Chopina, Humoreska Dworzaka, Pieśni Czajkowskiego i inne. Dowodem uznania było zaproszenie nas na specjalny galowy koncert przed rodziną królewską. Występ odbył się w prywatnej rezydencji domu panującego —• Villa di Savoia — w obecności króla Wiktora Emanuela, królowej Heleny, najmłodszej księżniczki Marii Sabaudzkiej i licznych dworu. Wśród wielu gorąco przyjmowanych utworów najbardziej podobały się polskie piosenki ludowe, a wśród nich wykonywana przeze mnie ballada flisacka. W pewnej chwili podeszła do mnie księżniczka Maria i poprosiła o powtórzenie Flisaków, czyli „battellierów”.

Po koncercie zostaliśmy zaproszeni na przyjęcie. Tani obdarowano nas złotymi szpilkami do krawatów, ozdobionymi brylantami z inicjałami „E”. Następnego dnia odwiedził nas w hotelu sekretarz królowej, który wręczył naszym żonom cenne torby z krokodylowej skóry.

Występ na dworze połączony był z zachowaniem sto

• etykiety. W dniach poprzedzających koncert

. Ijśmy w polskiej ambasadzie tajniki dworskiego

^ t kołu. Najważniejsze wydawało mi się to, że w obe-

rQŚci Polewskiego majestatu należy opuścić salon ty-

Nigdy dotąd nie chodziłem wspak, więc trochę się

bałem, żeby nie potknąć się na puszystym dywanie.

Tego upadku nie wybaczyłbym sobie do końca życia!

Nogi nieledwie uginały się pode mną, ale wycofałem się bez przygód z królewskiego salonu.

Byłem jednak tak zaaferowany tym, by prawidłowo wyjść, że z przejścia zapomniałem, jak się należy etykietalnie zwracać do królowej. Gdy królewska małżonka z miłym uśmiechem zagadnęła mnie na temat jednej z piosenek ludowych, mówiłem do niej per madame zamiast „wasza królewska mość”.

Po powrocie do kraju zapakowałem kilka płyt, m.in. z piosenkami, które tak przypadły do gustu księżniczce Marii, i wysłałem je na ręce rzymskiej adresatki za pośrednictwem naszej ambasady. Wkrótce przesyłka została pokwitowana przez urzędnika dworskiego uroczystą formułą dziękczynną.

Gdy opuszczaliśmy Rzym, na dworcu zebrała się liczna grupa Polaków z... polską wódką. Pociąg ruszył w rytmie Sto lat, które odśpiewali nam kochani rodacy. Oprócz Rzymu na trasie naszego włoskiego tournée znalazły się m.in. Wenecja, Triest, Udine, Florencja, Modena, Rovigo, Livorno i Mediolan. W tym ostatnim mieście, Mekce śpiewaków, świetnie przyjęty występ ał nam wielką satysfakcję. Jeden z miejscowych dzien-w napisał: „Dlaczego nie mamy we Włoszech ze-.o u» który by wykonywał nasze pieśni ludowe, tak Jf Dana Ensemble wykonuje polskie?” I w nawiasie ennik dodał: „Pytanie to stawiamy, z całym zresztą Pektem, pod adresem ministerstwa kultury narodo-

W czasie przerwy, po części polskiej, kiedy to śn1 waliśmy m.in. w strojach góralskich, wsunął się dyskr tnie do garderoby jakiś elegancki mężczyzna i nieśmiało poprosił o wypożyczenie na chwilę... góralskich spodni — Bo jedna pani chce koniecznie zobaczyć z bliska Uczyniliśmy zadość życzeniu i patrzyliśmy prze' uchylone drzwi, jak nasze „portki z parzenicami” Wp. drowały po całej widowni.

Pełni wrażeń wracaliśmy z „włoskiego buta” do kraju, gdzie czekała nas duża niespodzianka. Był nią kontrakt na tournée po USA. Słynny amerykański impre-sario Sol Hurok (ten sam, który po wojnie sprowadził do USA „Śląsk”, „Mazowsze” i inne polskie zespoły oraz solistów) po przesłuchaniu nas w Warszawie kupił Chór Dana „na pniu”. Wkrótce — pod koniec września 1936 roku — popłynęliśmy za ocean francuskim transatlantykiem „Ile de France” (trzy razy większym od „Batorego”). Traf chciał, że na statku spotkaliśmy się z najslawniejszym wówczas w Ameryce kwartetem śpiewaczym Mills Brothers. Bal kapitański stał się okazją do zorganizowania koncertu-meczu z udziałem obu zespołów. Sądząc po reakcjach pasażerów, zwyciężyliśmy w tym wokalnym pojedynku my! Program występu przewidywał zaśpiewanie przez każdy zespół trzech piosenek. Zmuszeni gromkimi brawami, wykonaliśmy na bis aż trzy dodatkowe piosenki, podczas gdy Mills Brothers bisowali tylko raz.

Publiczności bardzo przypadła do gustu różnorodność naszego programu, w tym śliczne piosenki ludowe w nowoczesnej aranżacji. Amerykański kwartet był bardziej jednostronny w swoich rytmicznych utworach, chociaż bezbłędny w technice wykonawczej, mistrzowskim naśladowaniu instrumentów i prezentowaniu trudnych układów muzycznych.

56

piosenka ludowa, precyzyjnie i nowoczesnie ° a w pomysłowym aranżu, podbiła całe audy-* . pó koncercie otoczyli nas Amerykanie, Francu->r Anglicy- Niemcy wyrażając głośne zachwyty, a im-io Mills Brothers zaproponował nam... kontrakt. ^iasem mówiąc, takiej wspaniałej kolekcji futer i ta-& bogactwa biżuterii, jak na owym balu kapitanem nigdy już później nie widziałem. Jedną z ekscentrycznych Amerykanek zmieniała w ciągu wieczoru więcej niż pół tuzina kolorowych peruk, chcąc się spodobać francuskiemu aktorowi filmowemu Fernandowi Graveyowi, który prowadził konferansjerkę podczas pojedynku” Chór Dana contra Mills Brothers. Gdy nazajutrz przed południem po balu kapitańskim wyszedłem na pokład (aby przewietrzyć biedną „skacowaną” głowę), ujrzałem rozciągającą się niedaleko panoramę miasta drapaczy. Fatamorgana? (Po alkoholu?!). Uszczypnąłem się raz, drugi, ale wizja imponującej niebotycznej metropolii nie zniknęła. A więc to już naprawdę Nowy Jork!

Pierwszy występ daliśmy — dla grona wybranych — w sali uniwersytetu Columbia. Przyjęcie było bardzo gorące. Duże powodzenie miały moje solowe piosenki sentymentalne. W dwa dni później wielki sukces: śpiewamy na Broadwayu! Koncert w salach teatralnych wytwornych nowojorskich hoteli „Plaża” i „Columbia” odbywa się pod protektoratem synowej prezydenta Roosevelta. Znowu sukces. Nasz program obejmuje "Esc poważną (Chopin, Wieniawski, Czajkowski, Szu-ei% Rimski-Korsaków), piosenki lekkie, ludowe oraz oteski. Śpiewamy po polsku, rosyjsku, francusku, nie-iecku i oczywiście po angielsku. Amerykanie, którzy ycnodzą za kulisy, nie wierzą, że nie znamy angielskiego.

Sze Pierwsze występy kwitują świetne recenzje

ST

prasy amerykańskiej i polonijnej. Ruszamy w Ou. po USA — tournée obejmuje dziesiątki miast i py steczek w 31 stanach!

Wzruszające były nasze spotkania z publiczność' polonijną w Chicago. Po koncertach byliśmy dosłownie rozchwytywani przez gościnnych rodaków. Przed inau guracyjnym występem w Chicago (musieliśmy bisować dziesięć razy przed dwutysięczną publicznością!)

zaprosił nas do swojej rozgłośni jej dyrektor i lekarz okulista w jednej osobie, dr Majchrowicz. Oto fragment wywiadu, jaki z nami przeprowadził.

— Drodzy słuchacze — mówił dr Majchrowicz przed mikrofonem — mamy zaszczyt gościć w studio kochanych rodaków z Polski, słynny Chór Dana i jego świetnego solistę Mieczysława Fogga. Zanim przystąpię do rozmowy z nimi, przypomnę, że najlepsze szkła możecie nabyć jedynie w mojej lecznicy! A teraz, kochani goście — tu zwrócił się do nas — kilka pytań na temat szczególnie interesujący naszych słuchaczy: — Czy panowie z Chóru Dana są żonaci? Czy podoba się panom Chicago? Czy będzie wojna w Europie? Dziękuję panom bardzo za wypowiedzi. Drodzy słuchacze, spotykamy się jutro wszyscy na koncercie Chóru Dana. Ale pamiętajcie o tym, że najlepsze szkła optyczne można nabyć w mojej lecznicy!

W trzy miesiące później, na zakończenie pobytu w USA, kierownik naszego kwintetu, Władysław Daniłowski, stanął przed mikrofonami wielkiej amerykańskiej stacji NBC. Rozmawiał z Daniłowskim spiker, który stał obok z porcją kartek z pytaniami. Daniłowski dzierżył swoje karteluszeki, na których wypisał 10 fonetycznie odpowiedzi po angielsku. Pytania i odpowiedzi były odpowiednio ponumerowane, kolejne pytania odpowiadały kolejnym odpowiedziom. Kierownik Chóru Dana powtarzał nerwowo w duchu odpowiedź

• rwsze pytanie. Spiker miał na wstępie zapytać, czy cga czy także w innych krajach. Amerykanin po- m jednak kartki i zadał inne pytanie, które brzmia- rłCzy panowie są żonaci?" Daniłowski, sądząc, że 'hodzi o pytanie nr 1, odpowiedział zgodnie z treścią spowiedzi nr 1, i oto amerykańscy słuchacze usłyszeli taki dialog:

— Czy panowie są żonaci?

— Owszem! W Rosji, Niemczech, Norwegii, Włoszech, Holandii, Łotwie, Estonii, Finlandii, Rumunii i w 31 stanach USA.

Ale wróć do początków tournée po Ameryce. W Chicago pożegnano nas uroczystym bankietem w znanej polskiej restauracji Lenarda. Osobliwością lokalu była ustawiona w wielkiej sali obszerna chałupa kryta słomą, mająca przypominać polską „chatę za wsią”. Serwowano tu znakomite potrawy narodowe.

Po naszym występie w Buffalo redaktor tamtejszej gazety Dziennik dla Wszystkich, Józef Ruszkiewicz, opowiadał:

— Tutejsza Polonia jest niezwykle patriotyczna. Ludzie garną się do Polski i do polskiej sztuki. Szczególnie wielkim powodzeniem cieszy się tu zawsze przedstawienie Moniuszkowskiej Halki. Przed paru laty zapowiedziany był szumnie przyjazd „znakomitego polskiego zespołu operowego” z Nowego Jorku — właśnie z Halką.

Sala wyprzedana. Publiczność oczekuje w skupieniu.

areszcie kurtyna idzie w górę i okazuje się, że Halkę gra jakaś koszmarna baba o wyglądzie wiedźmy, i to ^P nie Pozbawiona głosu, Jontka — refrenista z lunie t"* ° stry specjalizującej się w oberkach, a jedynej banUSZa kreuje „gwiazda”, aczkolwiek z nieco in->ranży — Zbyszko Cyganiewicz, słynny zapaśnik...

59

Nic dziwnego — dcał redaktor — że nie wszystii imprezy artystyczne witane są u nas z entuzjazm Z Chóru Dana jesteśmy bardzo dumni! W czasie amerykańskiego tournée stwierdziłem i eczywiście u patriotycznej publiczność

^amuiycznej publiczności poloniin' największym powodzeniem cieszyli się artyści pTo^ kujający się w sztuce „czysto polskiej”, zwłaszcza fa. dowej.

Prasa polonijna wysoko oceniła oryginalność Chóru Dana. Na przykład jeden z dzienników ukazujących się w Detroit, nawiązując do chórów polonijnych, pisał:

„...Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w Ameryce chóry polskie odegrały w ogólnej polskiej robocie ważną rolę. Uznanie należy się tak chóróm organizowanym po osiedlach polskich, jak i chóróm parafialnym, które pielęgnowały prócz pieśni religijnych także pieśni polskie i narodowe.

Zwykła piosenka wiejska, jeśli jest dobrze zharmonizowana, ma w sobie wiele uroku i piękna. Takimi właśnie pięknymi piosenkami zasłynął w świecie mały nie tyle chór, co zespół z pięciu ludzi złożony, „Wesoła Piątka Dana”, który przybywa do Detroit na jeden jedyny występ.

Nasi polonijni śpiewacy z licznych chórów świeckich, jak również z chórów parafialnych powinni uważać sobie za obowiązek i przyjemność zapoznanie się z repertuarem Chóru Dana. Program ten obejmuje zwykle nasze piosenki ludowe, tanga, humoreski, a nawet specjalnie zharmonizowane rzeczy modernę.

Występami Chóru Dana, występami śpiewaków, którzy jednocześnie grają, zainteresowała się cała muzykę miłująca publiczność amerykańska; Polonia też, spodziewać się należy, tłumnie pospieszycy do Orchestra Hall w piątek wieczorem, aby powitać tych, którzy 60 jodie polskie po całym świecie

alodie poi— *----- Z taMm SUkcGSem

r°AT°tyku'i> z którego zacytowałem powyższy fragment, trzony był dużym tytułem: „Każdy chór parafialny

tóien posłyszec zespól śpiewaków z Polski”, „podtytuł brzmiał: „Przedziwne harmonizowanie zwykłych piosenek”.

Oczywiście sale koncertowe na naszych występach wypełniała w dużym procencie (lub wyłącznie) także publiczność rdzennie amerykańska. Tak było, gdy przyjechaliśmy do małego miasteczka Visalia położonego niemal u progu Gór Skalistych. Tam właśnie doznałem czegoś w rodzaju olśnienia!

Oto gdy wysiedliśmy z pociągu, stwierdziliśmy, że całym „budynkiem” dworcowym jest stary wagon kolejowy, w którym mieściła się kasa. Taki sam, jaki widywałem w westernach. W miarę jak zbliżaliśmy się samochodem do centrum, miasteczko coraz bardziej przypominało swą scenerią Dziki Zachód: niskie drewniane budynki, drugstory i bary, z których wychodzili kowboje w butach na wysokich obcasach, w dużych kapeluszach i... z coltami w kaburach. Na ulicach konie z tymiż kowbojami w siodłach. Miałem wrażenie, że znalazłem się w samym środku akcji kowbojskiego filmu.

I nagle inne zaskoczenie: w centrum miasteczka luksusowy, blisko dziesięciopiętrowy hotel! Ale największa niespodzianka czekała nas dopiero wieczorem. Wy-

1 e.P odbywał się w jednej z najpiękniejszych sal koncertowych (na pięćset miejsc), w jakich śpiewałem Cia.gu całej mojej kariery. Na scenie jedyną deko-racJą do naszych występów był olbrzymi kosz kwit* n3cej mimozy.

, y zbliżała się godzina koncertu, wyrzłałem przez na ulicę, aby zobaczyć podążających na występ

61

widzów. Z największym zdziwieniem stwierdziłem nikt, ale to absolutnie nikt nie przybywał na ko' Przed budynek zajeżdżały wspaniałe limuzyny, z u. rych wysypywały się — czy sniłem?! — eleganci damy w balowych sukniach ozdobionych etolami i w fraczeni panowie w cylindrach.

Ogromnie zaskoczony, zapytałem impresaria, co t za ludzie. Okazało się, że byli to bogaci farmerzy zje*, dzający z posiadłości odległych nieraz o wiele dziesiątków mil. Żądni rozrywki i wzruszeń kulturalnych na tym pustkowiu, przybywali chętnie na różne imprezy

abonamentowe, które urządziła lokalna organizacja krzewienia kultury (ma ona filie w całych Stanach), odkupując je od Huroka.

— Widzi pan — mówił impresario — organizacji krzewienia kultury nie opłaciłoby się urządzenie zbiorowych wypraw farmerów po dobra kulturalne do wielkich ośrodków miejskich, znacznie lepiej kalkuluje się sprowadzanie tutaj największych nawet sław artystycznych z całego świata. Występowali u nas m. in. Paderewski i Rubinstein...

I tak oto doszło do prezentacji przez „danistów” u progu Gór Skalistych tatrzańskich i łowickich piosenek przed farmerami i kowbojami we frakach i wizytowych garniturach! Nasze „egzotyczne” utwory z dalekiej Europy bardzo się tu podobały.

Z podobną kowbojską scenerią spotkaliśmy się, występując w Butę, w stanie Montana, w miasteczku słynnym z okolicznych kopalń srebra. Po koncercie (gorące przyjęcie!) wybraliśmy się do miejscowego kasyna gry-Przy stole z ruletą siedział sztywno krupier w asyście dwóch roślących kowbojów z rewolwerami przy biodrach. Większość grających nosiła także rewolwery w kaburach! Krupier puszczał w ruch ruletkę z niezmacony¹ spokojem, trzymając w lewym kąciku ust cygaro.

62

m kącikiem co jakiś czas spluwał — bynaj-

^fa je czyniąc tego dyskretnie — do spluwaczki 111 " u jego nóg. Zdziwiło mnie, że „trafiał do celu” it0 widnie, daremnie czekałem na to, że może jednak ^h' Obserwacja tak dalece zaabsorbowała moją

agę, że chwilami zapominałem o grze. U^Po występach w Chicago Chór Dana musiał przejechać całe Stany z północy na południe — na nowy iak naszego tournée. Ale tymczasem pozostaliśmy jeszcze na północy. Zanim zaśpiewaliśmy w Chicago (z wielkim powodzeniem!), zdobyliśmy szturmem pięćdziesięciotysięczne „miasteczko” Elgin, niedaleko Chicago.

Gdy przyjechaliśmy do Elgin, pokazano nam salę, w której mieliśmy dać koncert. Napis przed wejściem głosił „Presbyterium Church”. Czyżby to był kościół? Rzeczywiście!

Sala na tysiąc miejsc, bardzo ładna, wykładana drzewem. Na podium przed zasłoniętymi kotarą organami i krzyżem stał fortepian. Jak tu śpiewać? Przecież mamy w programie także dość frywolne piosenki.

Gdy się podzieliliśmy naszymi wątpliwościami z gospodarzem sali, młodym pastorem, ten odpowiedział:

— Tu jest kościół w czasie nabożeństwa. Na naszym koncercie będzie to normalna sala koncertowa. Śpiewajcie jak najwięcej wesołych piosenek. Publiczność amerykańska bardzo je lubi.

— O key! — odpowiedzieliśmy.

rzeczywiście wieczorem widownia zaśmiewała się z naszych zabawnych utworów.

ak już wspominałem, w czasie amerykańskiego wojażu przecięliśmy Stany Zjednoczone z północy na po-^dnie. Jadąc przez Cincinnati i St. Luis dotarliśmy do lasu. Podążaliśmy teraz całymi dziesiątkami kilo-°w wzdłuż pól upstrzonych szybami naftowymi.

63

Oko przykuwały wielkie pochodnie z metalowych rJ z których buchał płomień. To paląca się od dziesiąt¹ lat nafta.

Koncertowaliśmy m. in. w Laredo nad samą granicą Meksyku, którą wyznacza Rio Grandę del Norte. Tyle się przecież czytało w powieściach Karola Maya o Rio Grandę del Norte (oczywiście Mav nigdy tu nie był!), tyle miała dla nas romantyzmu a tu — leniwie płynąca, uregulowana rzeka, nowoczesny most, obok nowoczesne zamożne miasto.

Jeden z miejscowych notablów zaprosił nas do swojej willi pod Laredo, tonącej w pysznej zieleni ogrodu. Zrywaliśmy okazałe soczyste pomarańcze prosto z drzewa.

— Tu se ino pożyjesz! — powiedział z głośnym zachwytem nasz Iwowiak Tadeusz Jasłowski.

Gdy wracaliśmy do miasta koło zacisznego cmentarza, Adam Wysocki stwierdził spokojnym głosem:

— Tu se ino leżysz...

Na szlaku naszych wojaży znalazło się i Hollywood. W hotelu odebrał moje walizki boy o urodzie amanta filmowego, windziarką była prześliczna, zgrabna dziewczyna. Oboje czekali na „odkrycie” w stolicy światowego filmu. Gdy jadłem obiad w jednej z restauracji, kelnerzy, przestawszy w pewnej chwili serwować na krótko posiłki, weszli na niewielkie podium i... zaczęli śpiewać. Amatorski chór rewelersów w białych kitlach był wcale dobry. Może któregoś dnia przyjdzie tu na obiad jakiś słynny reżyser i zaangażuje śpiewających kelnerów do filmu?

W Hollywood odnieśliśmy duży sukces, śpiewając m. in. w studio Paramount; wśród domagających s licznych bisów byli tacy słynni aktorzy, jak Fred J Murray i George Raft, oraz gwiazda Carola Lombard. Później koncertowaliśmy także na Florydzie. Jed*

64

Coro Argentino V. Dano. Debiut Chóru Dana na scenie „(tui pro quo”. Rok 1930, Chór Dana (Fogg w okularach). W samochodzie Stefcia Górskiego (z lewej) i Żula Pogorzelska. Rok 1930.

i i . "

*

„Donna y caballeros”. Maria Modzelewska i Chór Dan* „= *S
Pro quo” Rok 1930. "3 "a SCen,e Oui

Hanka Ordonówna z Chórem Dana (Fogg „Qui pro quo”. Rok 1930.

pierwszy z prawej) na scenie

Żula Pogorzelska z Chórem Dana na scenie „Qui pro quo” Rok 1930

„Łowickie anierucky”. Dymśa z Chórem Dana na scenie „Qui pro quo” Rok 1930.

Mieczysław Fogg w karykaturze Władysława Kondw „Panorama” z 6 listopada 1931 r.

Dymśa z Chórem Dana. Rok 1932

r

n

i

!*,i

Chór Dana z zespołem „Bandy”. W pierwszym rzędzie Pogorzelska, Górskiego, Ordonówna, Jaracz. Rok 1932.

Chór Dana w Leningradzie. Rok 1934.

%

f ^md-

!*>%.*

DKEUHEBHI I

Bepj.iotia. 1) "»ha«o tucirnEHHA

! ttjt*. I << Ij . ,

?", „ V.....«.,»lfl." "

• 'I i. 45 m. „, 2 H BaS(t

HNCJW CTOAMKOB .-* OrP.HHHEnj ^

3imct al orT-mmiiMU cnuiKfl m»ojuj«»,T, u J «*IH«cr(i. |i«TIB4ria

»«««)•« 10-00

racrpo/iM M3aetTHoro HO/lbCKOro BOKA/lbHOTO AMA3A

„Xop AaHa'

"»»" AAHHMCKKfi ,!,,,. IMojrui EOrjUHOSHH BHiBcna* eor B»«Mini
H0BAK03CKHJ) SiiHHcms BblCOUKKii
(MCilllBl

Prasa radziecka rek| w^Py Chóru Da S skwa rok 1934

Na przyjęciu w ambasadzie polskiej. Trzeci z lewej -Fogg. po jego lewej stronie - Jan Kiepusa i Marta Eg-gerth. Berlin rok 1935

Chór Dana u ambasadora polskiego Józefa Lipskiego. Berlin rok 1935

Przyjęcie u konsula polskiego w Rydze. Fogg w otoczeniu wielbicieli. Rok 1936.

c

ttV \v*

Młode dziewczęta chętnie fotografuj, się z podobizną Fogg. Rok ,
937.

I

Chór Dana w Perugu (Włochy). Rok 1938

osobliwości Miami była rezydencja letnia słynnego

ngstera Al Capone, otoczona wysokim, kilkumetrowym murem. Sfotografowaliśmy się w pobliżu tego obiektu, przy czym Daniłowski zainscenizował scenkę, w której groził nam rewolwerem (był to nabyty uprzednio straszak), a my podnieśliśmy posłusznie ręce do góry. Przechodzący policjant przyglądał się naszym poczynaniom całkiem obojętnie.

Po trzech miesiącach pełnego sukcesów i wrażeń tournée po Ameryce wracaliśmy do Europy francuskim transatlantykiem „Paris”. Była to męcząca podróż — niemal przez cały czas statkiem mocno kołysało. Nie mogłem spać. Płodem tych bezsennych nocy stała się napisana przeze mnie piosenka Kochana, kochana, do której Daniłowski skomponował muzykę.

Piosenka ta jest do dzisiaj moim szlagierem.

Z Florydy przywoziłem synkowi w drewnianym pudle małego krokodyla, którego w czasie powrotnej podróży karmiłem mielonym mięsem. Trzymaliśmy go w domu prawie rok, po czym podarowałem Kubusia (bo tak nazwaliśmy czworonoga) warszawskiemu Zoo. Od czasu do czasu składaliśmy mu tam wizytę.

Po przyjeździe z Ameryki występowałem jeszcze przez jakiś czas w „Qui pro quo”. Nasza przyjaźń nie przeszkadzała Żuli Pogorzelskiej w robieniu mi kawałów. Wiedząc, że jestem bardzo podatny na śmiech, Żula miała w tym dodatkową zabawę. Pewnego dnia Chór Dana śpiewał na tle dekoracji przedstawiającej las. Sekundowaliśmy w piosence właśnie Żuli Pogorzelskiej, która w pewnej chwili zaczęła zabawnym ruchem (Pode mnie!) uderzać biodrem w kontur drzewa wycięto z dykty, a stojącego na skraju dekoracji.

Pogorzelska tak mnie rozbawiła, że nie byłem w sta-le >>wyśpiewać" ani jednego słowa, a cóż dopiero

owić o skręcającym język powtarzającym się refre-
palanta do belcanta

65

nie: „Udibidibindia”... Markowałem śpiew poruszając z trudem ustami. Za kulisami zebrał się niemal cały zespół teatru, żeby popatrzeć, jak Żula „robi ze mnie balona”. Całe szczęście, że nie widział tego dyrektor Boczkowski! Takiej zabawy na scenie nie puściłby pła. zem ten surowy stróż dobrych obyczajów w przybytku lekkiej muzy.

W kilka miesięcy po powrocie z Ameryki odniosłem sukces w konkursie Polskiego Radia na najpopularniejszego piosenkarza. Wpłynęła rekordowa liczba głosów — 150 tys. (!), czyli przeszło 20% ogółu ówczesnych abonentów. (Na marginesie tego konkursu jedna z warszawskich gazet napisała w październiku 1937 r.: „...„Zbliżyliśmy się do wielkiego ideału — Polski w pełni radiof onizo wane j”).

W konkursie zwyciężyłem największą liczbą głosów (prawie 50 tys.), na dalszych trzech miejscach uplasowali się — Janusz Popławski, Stefan Witas i Tadeusz Faliszewski.

Nawiasem mówiąc konkurs wygrałem ową piosenką Kochana, do której słowa napisałem w czasie nie przespanych sztormowych nocy w drodze powrotnej z USA.

Pierwszą nagrodę w postaci Fiata 508 otrzymał pewien student z Poznania, który z braku środków miał właśnie zrezygnować z nauki. Los szczęścia sprawił, że ów student mógł skończyć studia — za pieniądze uzyskane ze sprzedaży wygranego samochodu. Dostałem od szczęśliwca dziękczynny list, chociaż mój udział był dziełem przypadku. (Jeżeli ów był student przeczyta te słowa, proszę, niech się odezwie!)

W tym okresie moja popularność zaczęła szybko rosnąć. Dostawałem mnóstwo propozycji na występy w całym kraju, otrzymywałem setki listów. Miałem także (wybaczenie nieskromność!) wiele adoratek, najczęściej anonimowych.

66

W marcu 1938 roku, wkrótce po jubileuszu dziesięcib-ia zespołu, rozstałem się z Chórem Dana. Przeżyłem dezercję" bardzo mocno. Chór Dana długo jeszcze ę.j'mi się p0 nocach! Do dzisiaj wspominam lata pracy w tym znakomitym kwintecie z prawdziwym rozrzewnieniem. Podjąłem wtedy ten krok z wielkim żalem, niemniej jednak zdawałem sobie sprawę, że dojrzałem do roli solisty. Czy miałem nie wykorzystać tej nowej szansy w karierze śpiewaczej?

Dodam, że jeszcze przed wyjazdem z Chórem Dana do Ameryki rozstałem się — po czternastu latach! — z moim biurkiem w PKP. Kochana brać kolejarzka pożegnała mnie bardzo serdecznie.

Jako solista pojechałem wkrótce „w Polskę”. I to w jakim doborowym towarzystwie! Zostałem na pewien czas partnerem znakomitej Miry Zimińskiej w dwuosobowym programie parodii, melorecytacji i piosenki. Akompaniował nam Tadeusz Sygietyński. Na występy (które objęły prawie pięćdziesiąt miast!) wyruszyłem własnym samochodem Renault Celta. Na tylnych siedzeniach zajęli na stałe miejsce państwo Sy-gietyńscy, obok mnie siedział organizator imprezy. Mira doceniała czar czterech kółek, ale nie lubiła zbyt dużej szybkości — w takich razach stanowczo mi nakazywała, bym przestawał udawać wyścigowego kierowcę.

Wszędzie, gdzie występowaliśmy, towarzyszyło nam niezmiennie wielkie powodzenie. Komplety. Rzecz o yie godna uwagi, że na prowincji sale widowiskowe ywały na imprezach nierzadko pustawe, chociaż po ^raju jeździło w okresie przedwojennym stosunkowo niewiele ekip artystycznych. (Nie to co dzisiaj). Ceny e ow nie były na kieszeń przeciętnego prowincjonal-ego widza. (Obecnie bilety na imprezy artystyczne Uzym stopniu wykupują zakłady pracy). I jeszcze

w

!•

67

jedno: w okresie przedwojennym tzw. prowincja nie dysponowała bodaj ani połową dzisiejszej liczby sai dostosowanych do występów.

Z tournée po kraju przywieźliśmy świetne recenzje i wspomnienie gorącego przyjęcia nas przez publiczność.

W miastach i miasteczkach nasze występy zapowiadały ulotki. Na przykład w Busku zastaliśmy ulotkę której treść świadczyła o tym, jak wielkie znaczenie przywiązywano na prowincji do reklamy.

„Wielki dzień dla Buska!... W czwartek 21 lipca 1938 r. w Sali Balowej pięknie udekorowanej wystąpią tylko jeden jedyny raz: Mira Zimińska, znakomita piosenkarka, gwiazda teatrów warszawskich, odtwórczyni głównych ról w sztukach Dama od Maksyma,

Żołnierz Królowej Madagaskaru, Madame Sans-Gene, Panna Maliczewska. Mira Zimińska! Vedetta warszawskich teatrów rewiowych! Bohaterka filmów: Papo się żeni, Manewry miłosne, Każdemu wolno kochać i innych, oraz Mieczysław Fogg! Najpopularniejszy piosenkarz, ulubieniec Warszawy, laureat konkursu Polskiego Radia! Przy fortepianie: Tadeusz Sygietyński, reżyser i kapelmistrz Polskiego Radia. Autor najpopularniejszych audycji radiowych".

A propos sloganów reklamowych: pamiętam, gdy w rok później występowałem na scenie Teatru „Ali Baba” m. in. z Mirą Zimińska, w programie wydrukowanym z okazji premiery nowej rewii pod zdjęciem tej gwiazdy można było przeczytać takie oto superlatywy: „...Mira Zimińska, królowa dowcipu, niezapomniana Dama od Maksyma! Mira Zimińska! A więc delikatnie rzeźbiony dialog, niesłychane poczucie humoru, groteski, najsubtelniejszy dowcip. Przywitajmy ją burzą

68

iQlr należy witać prawdziwy talent z Bożej oklasków, jaK na J

Do dzisiaj ogromnie miło wspominam wspólne wy-
Mirą Zimińska. Aktorka ta była uosobieniem
Stłfdności artystycznej. Do teatru przychodziła z reguły
dwie godziny przed przedstawieniem, chociażby po
to żeby sprawdzić światła i dekoracje.

Mira i Tadeusz byli bardzo bezpośredni, serdeczni, gościnni. Odwiedzałem ich wiele razy i zawsze byłem miło przyjmowany.

Sygietyński kochał dobrą muzykę. Notabene cudownie wprost grał na organach Wurlitzera, był jednym z niewielu w Polsce wirtuozów na tym instrumencie. Mój głęboki osobisty sentyment dla Tadeusza Sygie-tyńskiego, uroczego, skromnego człowieka i świetnego artysty, narastał w czasie kolejnych z nim kontaktów.

Pewnego dnia odebrałem od Sygietyńskiego telefon:

— Słuchaj, Mięciu — mówił kompozytor — mam dla ciebie dobrą piosenkę. Przyjeżdżaj!
Gdy zjawiłem się w mieszkaniu Sygietyńskich, Tadeusz usiadł przy fortepianie i przegrał mi utwór, który nazwał Perskie przysłowia. (Był autorem muzyki i tekstu tego utworu).

Piosenka, ogromnie dowcipna, bardzo mi się spodobała. Zawsze byłem nieprzytomny na punkcie dobrych piosenek, więc czym prędzej wyraziłem chęć nabycia utworu na pniu.J—
- Ile to ma kosztować? — zapytałem.

sygietyński, szczypiąc się swoim charakterystycznym ruchem w wargę, spoglądał przez chwilę spode łba, Po czym zawyrokował:

~- Dwie wódki i zakąska!

^rzystałem z radością. Poszliśmy do „Baru pod set-
3 na Marszałkowskiej pod numerem 100, gdzie zje-
GjSmy ^etoą kolację (z likierami do kawy na deser).
y Poprosiłem kelnera o rachunek, ten wskazując dy-
69

skretnie na Sygietyńskiego powiedział, że już wszystk-zapłacone... Piosenka, która spadła mi jak z nieba m' ła potem wielkie powodzenie.

W dwa miesiące po zakończeniu z Sygietyński tournée po Polsce zostałem zaangażowany na trzymiesięczne występy do USA. Wraz ze mną płynęła do Stanów Zjednoczonych moja żona oraz znakomity baryton Jerzy Czaplicki i młoda, dwudziestoparoletnia Krystyna hrabianka Potocka, śpiewaczka obdarzona pięknym mezzosopranem i dużą urodą. Potocka, która uczyła się śpiewu m. in. przez kilka lat we Włoszech, miała szansę zrobienia kariery za oceanem, zwłaszcza że jej występom patronowała pewna bardzo bogata amerykańska melomanka. Młoda śpiewaczka zmarła jednak wkrótce potem w Ameryce nagle na serce...

Moje amerykańskie tourné jako solisty przebiegało podobną trasą jak poprzednie z Chórem Dana. Często moje recitale połączone były z premierą polskich filmów. W czasie występów w USA (śpiewałem po czterdzieści piosenek polskich i amerykańskich) nauczyłem się zapowiadać sam siebie, odbierając w ten sposób niechcący chleb konferansjerom.

Wśród dziesiątków nader pochlebnych lub wręcz entuzjastycznych recenzji w prasie amerykańskiej i polonijnej znalazłem w Dzienniku Polskim z Detroit w relacji z mojego występu taki oto patetyczny passus: „...On śpiewa do serc ludzkich, śpiewa tak, że każdy ton jego budzi echo w piersiach słuchacza i ma się wrażenie, iż pieśń płynie nie tam, z desek scenicznych, lecz wprost z piersi twojej, że to nie Fogg śpiewa, lecz ty sam nuczysz te melodie, co w duszy się rodzą —* takie swojskie, kochane”.

I jeszcze takie wzruszające zdanie: „...Ważne jest to, że słowo polskie ustami Fogga przenika bezpośrednio do słuchaczy w popularnym widowisku, w którym

70

. tysiące rodaków. Widownia Fogga w Chi-uczes nic ^^ miejsc zawsze
zapełnionych, wi-
rJa°w Detroit .o 2000 fotelL..

A słowo polskie przecie, jak ziarno padając na pod-• polskiej duszy, dać musi plon pamięci i tęsknoty
za ojczyzną...”

W czasie występów w stanie Wisconsin znajomy zabrał mnie do pewnej miejscowości zamieszkałej przez potomków Indian. Jeden z nich, najbardziej poważany wódz, prowadził oberżę. Gdy się znaleźliśmy w gościnie u tego czcigodnego wodza, zwróciłem uwagę na portrety wiszące na ścianie. Był tam Lincoln, Waszyngton i... Kościuszko.

Uradowany odkryciem, usiłowałem Indianinowi wyjaśnić, kim był Kościuszko. I wtedy gospodarz oberży, najbardziej nieoczekiwanie w świecie, odpowiedział jędrną polszczyzną: — A co wy mi tam będziecie gadać. Sam jestem Polak i wiem lepiej od was, kim był Naczelnik...

Okazało się, że był to rzeczywiście Polak, emigrant z Poznańskiego, który ożenił się z Indianką i na mocy indiańskiego obyczaju miał prawo noszenia stroju czer-wonoskórych i uważania się za wodza...

Wobec dużego powodzenia moich recitali, trzymiesięczny kontrakt został przedłużony o blisko dwa miesiące. Jak wynikało z zestawień impresariów, w czasie amerykańskiego tourné słuchało mnie prawie ćwierć miliona widzów. Dochodzili do tego radiosłuchacze. Wystąpiłem bowiem przed mikrofonami wielkiej amerykańskiej sieci radiowej NBC (zrzeszającej 16 stacji) Programie piosenek amerykańskich i polskich, czasie występów w Bayonne, w stanie Nowy Jork, miałem zabawną historię. Oto któregoś wieczoru za nami zJawił się barczysty oficer policji w asyście

Ilku Podwładnych. Musiałem lekko zblednąć, gdyż

71

przybysz poklepał mnie przyjaźnie po ramieniu czym powiedział po polsku:

Jestem Władysław Ciecuch, główny inspekto tutejszej policji. Przyszliśmy prosić drogiego pan o wzięcie udziału w koncercie na biedne dzieci...

Cóż, zaśpiewałem na biedną dziatwę. Po koncercie wręczono tni kopertę z honorarium za recital. Odmówiłem prz^jęCia pieniędzy. Mój gest tak rozczulił policjantów, Ze postanowili mnie uhonorować inaczej Następnego dnia zostałem zaproszony do kwatery policji, gdzie uroczyście wręczono mi... odznakę honorowego policjanta. Zapytałem, jakie przywileje daje mi taka odznaka. Nie odpowiadając na moje pytanie, poproszono rnni6) abym usiadł za kierownicą prywatnego samochodu, który natychmiast skądś podstawiono pod bramą Korundy. Oczywiście kazano mi wpiąć do klapy ów znaczek honorowego stróża porządku. Towarzyszący mi policjatici) ubrani w cywilne płaszcze, wywieźli mnie na podmiejskie

ulice. Tam kazali mi — o zgrozo! przejechać przez skrzyżowanie przy czerwonych światłach. Efekt tego występku przeciw porządkowi publicznemu nie dał na siebie długo czekać. Wkrótce za plecami rozległa się policyjna syrena. Moi towarzysze kazali cisnąć na gaz. Uczyniłem to nie bez oporu. Pędziliśmy teraz wyborną szosą, ale jeszcze szybciej jechał za nami policjant na motocyklu Indiana. Wreszcie wyprzedził nas i dał znak, żebyśmy się zatrzymali. Jego wściekła twarz przybrała wyraz przyjaznej jowialności, gdy podszedłszy do samochodu, zobaczył w mojej klapie ów znaczek honorowego policjanta. Zasalutowawszy powiedział: — O key, captain. Good bye...

Muszę tu dodać, że odznaka honorowego policjanta udzielana była bardzo rzadko. Moja nosiła nr 5 — oczywiście w mieście Bayonne.

72

• • • jeszcze raz doznałem wyróżnienia związane-^o^Jadaniem tej odznaki. Oto szykując się do od-g^o celnej w porcie nowojorskim — na kilka godzin !d odejściem „Batorego” do Polski — zostałem pokoszony 0 paszport przez policjanta, który wyrósł lagle przede mną jakby spod ziemi. Zaskoczony okazałem dokument i wtedy stróż porządku, natychmiast porzuciwszy oficjalny ton, poprosił mnie do kantorku olicii. Tam był już stół suto zastawiony zakąskami • butelkami whisky. Moje wejście zostało pokwitowane okrzykami radości. Inspektor Ciecuch i jego koledzy pragnęli mnie pożegnać urządzonym specjalnie na moją cześć bankietem. Nie obyło się bez występu.

Niedługo po powrocie do kraju wystąpiłem na scenie „Ali Baby” w wielkiej satyrycznej rewii politycznej Orzeł czy rzeszka? W Warszawie pachniało już wojną.

W cieniu upojny

Gdy śledziłem w prasie doniesienia o pociągnięciach politycznych niesławnej pamięci premiera brytyjskiego Chamberlaina (który z taką godnością obnosił swój parasol!), nie wiedziałem jeszcze, że przyjdzie mi się wcielić na scenie w tę postać. Metamorfoza była tym bardziej „kontrapunktowa”, że w ciągu paru minut musiałem się przedzierzgnąć w ascetycznego lorda Albionu z... amerykańskiego kowboja.

Układ programu w teatrze „Ali Baba” na Karowej (zaangażował mnie tam Kazimierz Krukowski, reżyser i jeden z dwu, obok Własta, dyrektorów artystycznych) wyznaczył mi taką właśnie szczególną zmianę osobowości w^słynnym programie o mocnym ładunku satyry politycznej, wystawionym na cztery miesiące przed wybuchem wojny, Orzeł czy rzeszka. Aluzja i dowcipy polityczne, dotyczące szczególnie III Rzeszy i jej wodza, wywoływały wręcz huraganową reakcję widowni. O ile do wizyty niemieckiego ministra spraw zagranicznych Ribbentropa w Warszawie cenzura skrzętnie wycinała z programów kabaretów wszelkie aluzje i nawet najłagodniejsze przytyki pod adresem zachodniego sąsiada i fiihrera, o tyle obecnie autorom rewiowym dano prawie całkowitą swobodę.

Co prawda jakoś w miesiąc po premierze zaczęły się kłopoty. Było tajemnicą poliszynela, że hitlerowski ambasador w Warszawie Moltke interweniował w MSZ przeciw kapitalnie notabene wykonywanemu przez LU"

74

Sempolińskiego numerowi, w którym ten wy-^o3} dyktatora III Rzeszy. W efekcie Sempoliński kpl^iał zmienić charakteryzację, upodabniając się do hhelisa który — w przeciwieństwie do Hitlera chronionego immunitetem głowy państwa — mógł być dolnie ośmieszany. Zresztą Sempoliński nie przestawał sobie używać na „wodzu z grzywką i wąsikiem”. Produkując się w innym numerze rewii: Ten wąsik, poświęconym Chaplinowi, nie gorzej wykpiwał dyktatora państwa nad Szprewą, tyle że „przy pomocy” Chaplina. Numer parodiujący Hitlera, podobnie jak mój, w którym wcieliłem się w postać śpiewającego kuplecik Chamberlaina (pokazanego w stroju wędkarskim, z wędką w rękę), pochodzi z kapitalnego obrazka rewii Panopticum, w którym Mira Zimińska znakomicie prezentowała osobistości z galerii politycznej ówczesnej Europy. Mussoliniego „podrabiał” Wojciech

Ruszkowski. Jednym z kulminacyjnych momentów było starcie Becka (Kazimierz Krukowski) z kanclerzem III Rzeszy, zakończone fatalną porażką fuhrera. Ten numer również wywoływał burzę oklasków.

Zapamiętałem z tego arcydowcipnego programu m. in. passus Jurandota, który był dowodem brawurowej szarży tego autora na rymy... Znalazł on mianowicie kapitalny rym do słowa „kanclerz”: Europo — powiedział kanclerz — jak fakir na ostrzu lanc leż!”

Świetny był też dwuwiersz innego autora (nie pamiętam nazwiska):

Co mnie się nie udało, to przez jedną noc udało się panu, Gratuluję — Koc.

Yła to aluzja do depešy, jaką Hitler otrzymał Pięćdziesiątą rocznicę urodzin) od przywódcy Ozonu Pułkownika Adama Koca.

75

Wróć jeszcze do mojego udziału w rewii. Onro numeru z Chamberlainem, śpiewałem szereg utworów m. in. piosenki murzyńskie z repertuaru Robesona r>W man river i inne, słynny francuski szlagier Czekam cie (pierwszy w Polsce zacząłem śpiewać te utwory) Oraz przebój Własta Czarny Jim bawełnę zbiera. Napracowałem się w tym programie setnie, mając cztery wyjścia w różnej charakteryzacji (m. in. czerniłem się „na Murzyna”).

W tym właśnie czasie, gdy w „Ali Babie” szła rewia Orzeł czy rzeszka, dojeżdżałem na plenery do Łukowa, pod Łowiczem, gdzie był kręcony film Przybyli żołnierze do wsi z Kajzerówną i Hnydzińskim. Był to film mobilizujący społeczeństwo do czujności. Śpiewałem w nim piosenkę, rodzaj ballady o treści patriotycznej, kompozycji Franciszka Maklakiewicza, która stanowiła motyw przewodni obrazu.

W zdjęciach plenerowych statystowali tłumnie mieszkańcy okolicznych wiosek. O ile wiem, film, ukończony przed samą wojną, nigdy nie był w Polsce publicznie wyświetlany. Może jego producent Katelbach pokazywał go za granicą — uchodząc przed Niemcami zabrał ze sobą gotową taśmę.

31 sierpnia w ostatnim dniu pokoju w Europie, na afisz teatru „Ali Baba” weszła nowa rewia — Fakty i pakt. Po przedstawieniu wróciłem późno do domu. Ledwo położyłem się spać, zbudziły mnie nad ranem wybuchy bomb poprzedzone wyciem syren. Dосkoczyłem do radia. Po chwili rozległ się dobrze znajomy głos Tadzia Bocheńskiego i jego pamiętne słowa: „Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy”...

Ogarnęła mnie rozpacz. A więc wojna! Połączyłem się z teatrem.

7fl

us

— przychodź po południu, gramy jak zwykle... —
lyszalem w słuchawce.

Dobre! Lada chwila mogły się posypać na śródmies-ie Warszawy bomby, a my jak każdego wieczoru mielimy spełniać zwykły obowiązek aktorski. Tyle że fronton teatru i gabloty ze zdjęciami, podobnie jak całe miasto, tonęły w ciemnościach.

Graliśmy nowy program dwa razy dziennie przez trzy dni września. Sala świeciła pustkami, była zapełniona najwyżej w jednej czwartej. Publiczność reagowała słabo, pogrążona jakby w otepieniu, w apatii. Widzowie byli bodaj tak samo nastawieni na oglądanie tego, co się działo na scenie, jak my, wykonawcy, skorzy do grania.

Czwartego września bomba zrzucona nocą zrujnowała nasz teatr. Kazimierz Krukowski, który znalazł się nazajutrz na miejscu, bodaj jako jeden z pierwszych, opowiadał, jak żałośnie wyglądało zniszczone wnętrze z jakimś ocalałym aparatem telefonicznym dyndającym głucho na sznurze...

W programie Fakty i pakt śpiewałem piosenkę w mundurze żołnierza stojącego na warcie przed Belwederem. Ta piosenka, mająca także niejako wymowę symbolu, zamknęła jakiś rozdział w mojej karierze. I w moim życiu.

Ale zanim się po raz ostatni zaprodukowałem w żołnierskiej piosence na scenie „Ali Baba”, przyszło mi śpiewać żołnierskie utwory pod gołym niebem. Oto 1 września zadzwoniła do mnie Hanka Ordonówna.

Mięciu — mówiła podnieconym głosem — idziemy śpiewać na dworcu, dla rannych żołnierzy!

•Nie dałem sobie tego dwa razy powtarzać. Wypożyczyliśmy jeszcze tego samego dnia nowiutki akordeon Pana Rudzkiego, przeuroczego właściciela największej-bodaj firmy muzycznej w Polsce (przy Marszał-

77

kowskiej, niedaleko Świętokrzyskiej), a nazajutrz udałem się z akompaniatorem (niestety, nie pamiętam nazwiska) na Dworzec Gdański. Tam też zjawiła się po paru minutach Hanka Ordonówna. Ubrana była po wojskowemu: mundur khaki, peleryna strzelców podhalańskich, głowę zdołał także kapelusz z piórem, u pasa aktorki umieszczona była kabura z rewolwerem... Gdy tylko na dworzec zajeżdżał pierwszy pociąg z rannymi, zaczęliśmy chodzić od wagonu do wagonu, śpiewając piosenki. Przeważnie wojskowe. Żołnierze, często w bandażach, byli utrudzeni, ale nie tracili ducha.

— Nie damy się! — wołali.

Spędziliśmy z Hanką Ordonówna całe godziny na dworcu — także przez następne dni — czekając na przybycie nowych pociągów w kwaterze komendanta wojskowego stacji. To były moje ostatnie spotkania i wspólne występy z Hanką Ordonówną (śpiewała swoje piosenki z ogromnym wzruszeniem), znakomitą artystką i wielką patriotką.

Po pamiętnym wezwaniu Umiastowskiego do opuszczenia Warszawy, znalazłem się w słynną środę 6 września w kilkudziesięcioosobowej grupie aktorów, która na apel ZASP-u zebrała się (nie zdążono nas, jak tysiący innych warszawiaków, zmobilizować!) w Teatrze Wielkim. Wkrótce nasza kolumna ruszyła na Pragę, a stamtąd dalej drogą na Mińsk Mazowiecki, Siedlce, Brześć... W tej smutnej kawalkadzie ludzi z walizczkami i plecakami uchodzili z Warszawy min. Frenkiel, Damięcki z żoną Ireną Górską, Dymsha, Dominiak, Różycki... Szedłem na tę wędrówkę ubrany trochę jak na wczasy — w eleganckim garniturze z flaneli, w kamizelce kupionej jeszcze w Ameryce, z plecakiem pełnym żywności oraz z bielizną, butami, rodzinnymi fotografia-

78

•• nutami piosenek żołnierskich, zapakowanych chyba odruchowo.

Wkrótce dotarłem do Zbaraża. Przygarnęła mnie tam •kaś poczciwa kobiecina, u której spałem na słomie Usłanej na ziemi. Nazajutrz wpadł jakiś jegomość — jak się okazało najbogatszy kupiec w Zbarażu — z okrzykiem:

— Gdzie jest mój Fogg! Ja będę spał na ziemi, a on w moim łóżku!

Zbaraski kupiec, jak się okazało mój zapamiętały wielbiciel, dowiedziawszy się przypadkowo o mojej tu-łacznej wizycie w jego mieście, czym prędzej odszukał mnie i zaofiarował pomoc. Zatrzymałem się na krótki czas u gościnnego zbarażanina, który oddał mi nie tyle swoje łóżko, co jeszcze wygodniejszą kanapę. Zdradzę, że mój ówczesny dobrodziej mieszka obecnie w Warszawie — od czasu do czasu kontaktujemy się.

Po paru dniach udałem się w dalszą drogę i wkrótce dotarłem do Lwowa. Na jednej z ulic spotkałem tamtejszego piosenkarza Willi Wilińskiego. Spojrzał na mnie współczująco i z płaczem rozpostarł szeroko ramiona... Natychmiast zabrał mnie do domu, nakarmił i napoił. Robił wszystko, żeby rozproszyć moje zmartwienie, gdy z głęboką troską mówiłem o niepewnym losie najbliższych w Warszawie. Wszak po drodze ciągle jeszcze słyszałem: „Warszawa płonie... Warszawa pali się...”

Wiliński pobiegł nazajutrz do kina „Stylowy” na ulicy Szaszkiewicza, by zakomunikować, że „mieszka u niego Fogg”. W „Stylowym” występował zorganizowany dopiero co zespół rewiowy w doborowej obsadzie: odo, Bogucki, jego żona, doskonała piosenkarka Jadwiga

Godlewska, zabawna postać z „Wesołej lwowskiej fali” (Wilhelm Korabiowski) Strońć i inni. Spotkałem tam również Ref-rena, czyli Feliksa Konarskiego, późniejszego autora tekstu piosenki Czerwone maki na

79

Monte Cassino, który był kierownikiem artystycznym zespołu, i jego żonę, aktorkę Ninę Oleńską (oboje mieszkają w Chicago).

Artyści ze „Stylowego” przyhołubili mnie. Uczynny Wiliński wyczarował skądś granatowy garnitur na moją miarę i wizytowe buciki. W księgarni na ul. Akademickiej dostałem potrzebne nuty i — byłem gotów do występu. Śpiewałem w rewii do 29 października. W tym czasie wystąpiłem kilkakrotnie w radiu z nadzieją, że usłyszy mnie żona w Warszawie. Usłyszała mnie jednak ktoś ze znajomych i — jak się później dowiedziałem — natychmiast doniósł o tym rodzinie.

30 października nad ranem wsiadłem do pociągu i przez Kowel i Białystok pojechałem niemiłosiernie zapełnionym pociągiem, z wagonami bez szyb, w stronę Warszawy. W drodze do stolicy za miejscowością Zaręby Kościelne zobaczyłem po raz pierwszy flagi ze swastyką. Rozpłakałem się.

Po niemal dwudniowej podróży dotarłem do Warszawy. Tu zastałem szczęśliwie rodzinę żywą i zdrową. Mieszkanie na Koszykowej było bez szyb...

Dzień następny był dniem Wszystkich Świętych. Na najmniejszych nawet placzykach i wzdłuż ulic stały krzyżyki, płonęły tysiące świeczek. Po obu stronach placu Trzech Krzyży wznosiły się na trawnikach mogi-

Co miały przynieść najbliższe dni, tygodnie, miesiące?

Pewnego listopadowego popołudnia anno 1939 spotkałem Adama Dobosza, świetnego tenora Opery Warszawskiej, członka Zarządu ZASP-u. Ponieważ teatry były nieczynne, a nam członkom ZASP-u nie wolno było występować w „lokalach ze stolikami”, zaproponowałem uchylene tego zakazu. Byłem zdania, że w nowej sytuacji artyści powinni śpiewać i nieść mówione słowo — chociażby w kawiarniach. Należy -

80

, ilem__pisać piosenki, które podnosiłyby na du-

V°polskie kobiety. Tak, kobiety! Przecież właśnie - matki, siostry, żony i córki — odczuwały najboleśniej rozłąkę z synami, braćmi, mężami i ojcami, których losy rzuciły po tragicznym wrześniu daleko od domu, nie mówiąc o tych, którzy zginęli śmiercią żołnierzy. Należałoby tworzyć piosenki — ciągnąłem myśl — podnoszące rodaków na duchu i wykonywać je publicznie, przemycając ku pokrzepieniu serc wśród innych utworów, tych niefrasobliwych. Adam Dobosz szybko się porozumiał w tej sprawie z zarządem ZASP-u, który oczywiście już działał w podziemiu. ZASP wyraził zgodę. Wkrótce, z mojej inspiracji i według mojego pomysłu, powstała pierwsza piosenka, mówiąca o kresie rozłąki, o powrocie ukochanego, którego miłość jest silniejsza niż wojna... Piosenka każe czekać polskiej dziewczynie ufnie na ten powrót.

Wykonywanie tej piosenki mogło mnie kosztować, bez przesady, życie lub w najlepszym razie obóz koncentracyjny. Ale zanim o tym opowiem, wróć jeszcze na chwilę do decyzji ZASP-u. Otóż lokale ze stolikami, miejsce występów artystycznych, miały się teraz stać namiastką estrady, gdzie, jak wspomniałem, mogłaby kwitnąć piosenka i żywe słowo, niosące otuchę i rozrywkę.

Moja pierwsza piosenka o wymowie patriotycznej, ta mówiąca o powrocie ukochanego, stała się szlagierem i - wywołała reakcję niemal łańcuchową. Rodziły się eraz utrzymane w podobnym nastroju piosenki (obok ardozo wielu czysto rozrywkowych), wykonywane V kawiarniach i kawiarenkach, powstających jak grzy- y Po deszczu... Ba, piosenki te trafiały na podwórka

sobiscie najchętniej występowałem w „Swanie” na

Palanta do belcanta

81

Nowym Świecie. „U Aktorek” przy Piusa (dawna zwa ulicy Pięknej), w „Lucynie” na Nowym Świecie” i w „Café Bodo” na Pierackiego (obecnie Foksal).

Pewnego dnia w „Café Bodo” znaleźli się goście zeo ła niepożądani. Na drzwiach wiodących do „Cafe Bodo” lokaliku mieszczącego się w piwnicy, widniał duży napis — „Dziś Fogg”.

Ulicą Pierackiego przechodziła akurat pewna volksdeutschka z Łodzi, moja wielbicielka sprzed wojny (o czym dowiedziałem się później). Towarzyszył jej pijany gestapowiec i jeszcze jakiś mężczyzna (podobno tłumacz). Ta właśnie moja wielbicielka opowiedziała mi potem o okolicznościach zdarzenia.

Na widok napisu z moim nazwiskiem volksdeutschka zawołała:

— O, tu śpiewa Fogg! Na to gestapowiec:

— Kto to taki? Volksdeutschka odpowiedziała:

— Mój ulubiony piosenkarz.

Szarmancki gestapowiec zaprosił swoją towarzyszkę i tłumacza do kawiarenki. Usiedli przy jednym z dalszych stolików. Lokal tonął w półmroku. Gdy wykonywałem nastrojowe piosenki, wygaszono światło. Na sali było czterdzieści—pięćdziesiąt osób. W momencie gdy gestapowiec sadowił się przy stoliku, zaczynałem śpiewać ową popularną piosenkę mówiącą o tym, że jej bohater powróci, gdy skończy się wojna. Obecne na sali kobiety, wyraźnie wzruszone, sięgnęły po chusteczki... Zaintrygowany gestapowiec zaczął się dopytywać o treść utworu. Tłumacz, chcąc nie chcąc (pewno chciał), przekładał słowo po słowie. Pod koniec piosenki hitlerowiec gwałtownie podniósł się z miejsca, wyciągnął rewolwer i wymierzył go w moją stronę. Ja tej całej sceny — jako krótkowidz — nie widziałem (śpiewałem z reguły zawsze bez okularów), w dodatku w

82

panował półmrok. Słyszałem wprawdzie z głębi Jakieś podniesione głosy i widziałem majające syl-

tki wstających, ale wydawało mi się, że rozrabiają ^cy/podchmieleni goście.

Po odśpiewaniu piosenki zszedłem z małego podium • skierowałem się do kuchni, pełniące

le kulis. Po chwili wpadł tam blady gestapowiec w mundurze oficerskim, z pianą na ustach i zaczął mi wygrażać pod nosem rewolwerem. Młoda kobieta usiłowała go uspokoić, prosząc łamaną niemczyzną, żeby schował broń. Niemiec początkowo nie zważał na jej słowa, więc towarzyszka energicznie złapała go za rękę i już niemal błagalnym tonem prosiła, aby się uspokoił. Gestapowiec schował w końcu rewolwer, ale nie przestawał mi wymyślać od „polskich świń” i „polskich bandytów”.

Skończyło się na razie na tym, że Niemiec kazał mi się zgłosić nazajutrz w alei Szucha. Idąc na gestapo, byłem pełen najgorszych obaw.

W czasie pierwszej „wizyty” na Szucha gestapowiec z „Café Bodo” huknął na mnie od progu:

— Podburzacz Polaków! Polski już nigdy nie będzie i nigdy nie wrócą żadni Polacy! Nie rozumiesz tego?! Przecież jesteś inteligentem.

Skwapliwie chwyciłem się tego słowa i odparłem z głupia frant opanowując zdenerwowanie:

— Jestem artystą, śpiewam dla sztuki...

Szwab spojrzał na mnie niezdecydowanie, nie mając pewności, czy robię z niego durnia, czy też jestem absolutnym kretynem, nie rozumiejącym jego pretensji, a szczęście dla mnie musiał wybrać ten drugi wariant ceny. Byłem wzywany do gestapo jeszcze kilkakro-
„nie” Wreszcie mój prześladowca zostawił mnie w spokoju.

°i kawiarniani słuchacze nierzadko zresztą inter-

na

83

pretowali sobie piosenki na swój sposób, jako utw z patriotycznym podtekstem, chociaż ich autorzy „zakładali takich intencji. Kiedyś śpiewałem piosenkę Jesień, w której była mowa o tym, że po jesieni nastąpi wiosna... Pewnego dnia, gdy skończyłem śpiewać ten utwór, podszedł do mnie jakiś szpakowaty mężczyzna i ściskając mocno dłoń, powiedział konfidencko:

— Kochany panie Mieczysławie, pan nas podtrzymuje na duchu! Zrozumiałem, zrozumiałem pana! Będzie wiosna, będzie Polska!...

W czasie okupacji występowałem dość często (oczywiście honorowo) w szpitalach — Ujazdowskim i Maltańskim na Senatorskiej (obecnie mieści się tutaj ambasada belgijska). W obu tych placówkach przez długi czas ukrywano rannych żołnierzy, po wyzdrowieniu wielu z nich tam zatrudniano. Któregoś wieczoru — był to rok 1943 — gdy wróciłem po występie w jednej z warszawskich kawiarni do domu, zastałem żonę mojego przyjaciela dyrygenta „Qui pro quo” Ivo Wesbyego z dzieckiem. Pani Wesby, tancerka z „Qui pro quo”, i ośmioletnia córka uciekły z getta w okresie jego likwidacji. Były bezdomne i nie wiedziały, co dalej robić. Sam Wesby podczas ucieczki gdzieś się zgubił. Uspokajałem jak mogłem żonę przyjaciela, oczywiście zaproponowałem jej, żeby razem z córeczką skorzystała z mojej pełnej gościny.

Nazajutrz rano zjawił się Ivek. Wyściskaliśmy się serdecznie. Ukrywałem całą trójkę przez pewien czas, po czym znalazłem im mieszkanie na Bednarskiej.

Mój dom był zawsze pełen ludzi: w stołowym pokoju zbierały się regularnie tajne komplety z gimnazjum „Batorego”. Codziennie przychodziło na naukę kilkunastu chłopców. Rozsiadało się bractwo na krzesłach, tapczanie, w fotelach („sala wykładowa” miała 25 m kw.

B4

ierzchni) i słuchało pilnie wykładów. Podciągnąłem P°W przy tej okazji i ja — z historii i matematyki. S Wesbyowie przenieśli się na Bednarską. Pomogłem Tykowi w wyrobieniu fałszywego dokumentu osobistego (oczywiście także jego żonie i córce) na nazwisko Stefan Kowalski. Pod tym nazwiskiem zgłosił się na roboty do Wiednia, gdzie udało mu się zahaczyć w komunikacji miejskiej. Tak więc Wesby trafił niemal wprost z warszawskiego getta za pulpity wiedeńskiego tramwaju. Kapelmistrz „Qui pro quo”, który kończył konserwatorium w Wiedniu, znał zresztą świetnie język niemiecki. Pewnego dnia świeżo upieczony motorniczy przeżył chwilę, która była poważną próbą dla jego przytomności umysłu. Nie szło bynajmniej o refleks na nowym stanowisku. Oto gdy tkwił jak zwykle przy tramwajowej korbie, poczuł na sobie czyjeś uporczywe spojrzenie. Po chwili mężczyzna spoglądający z ukosa podszedł i zagadnął go po polsku...

Wesby udał, że nie rozumie. Wyjaśnił pasażerowi po niemiecku, że nie zna języka, w którym ten do niego przemawia. Gdy mężczyzna, dobrze przecież Wesbyemu znany, wysiadł, motorniczy odetchnął z ulgą. Groziło mu wielkie niebezpieczeństwo. Pasażerem był warszawski aktor Samborski. Ten sam, który skompromitował się udziałem w głośnym polakożerczym hitlerowskim filmie Heimkehr i obawiając się widać zamachu na swoje życie, umknął do Wiednia. Po wojnie polskie władze bezskutecznie zabiegały o jego ekstradycję. Z rodziną Wesbych zobaczyłem się po wojnie w Wiedniu (cóż to było za miłe spotkanie!), dokąd dotarli w 1945 r. szczęśliwie żona z córką, ukrywające się do ostatnich dni wojny u pewnej rodziny na Okęciu. (Kilka razy wozili tam im bieliznę).

Powtórnie spotkałem się z Wesbymi z okazji mojego występu w Nowym Jorku (Ivek był tam dyrygentem

as

w rozgłoszeniu radiowym — zmarł w 1966 r.). Tuż po koncercie, który odbył się w sali jednego z eleganckich hoteli, Wesby wszedł na podium i powiedział:

— To jest człowiek, który w czasie okupacji niemieckiej uratował mi życie.

Wtedy i ja zwróciłem się do publiczności, mówiąc:

— A te jest człowiek, który kiedyś dobrym słowem potrafił mnie w ciężkiej chwili podtrzymać na duchu.

Koncert, o którym mowa, odbył się pod auspicjami Stowarzyszenia Żydów Polskich w Stanach Zjednoczonych. Po imprezie uczestniczyłem w bankiecie i byłem ogromnie zaskoczony wspaniałą polszczyzną żydowskich gospodarzy. Posługiwali się oni językiem wziętym niemal żywcem z naszych klasyków, operowali polszczyzną wypielegnowaną i egzaltowaną, taką jakiej w kraju w ogóle potocznie już się nie używa.

W okresie likwidacji getta przerwałem moje okupacyjne występy. Miałem tam wielu przyjaciół i kolegów. Później — było to na jakieś cztery miesiące przed Powstaniem — przestałem śpiewać w ogóle. Otrzymałem bowiem z Armii Krajowej ostrzeżenie, że Niemcy mają mnie na oku jako „estradowego propagandzistę”. Szczęśliwie nie doszło do mojego aresztowania. Na wszelki wypadek przekwalifikowałem się na kelnera i w tym charakterze zarabiałem na chleb — przez blisko trzy miesiące — w maleńkiej kawiarence na rogu Marszałkowskiej i Wspólnej. Tam właśnie zastał mnie początek Powstania.

Ulica Marszałkowska była już pod ostrzałem. Przeczekałem do zmierzchu i idąc wzdłuż murów domów doszedłem do mieszkania na Koszykowej 69. Po drodze — na Wspólnej, Marszałkowskiej, Piusa — ludność wznosiła barykady. Wpadłem na chwilę do domu,

86

którym mieścił się wydział architektury (dalej we wspomnieniach nazywany po prostu „architekturą”) prtechniki. Tam zameldowałem się kapitanowi Gołędzinowskiemu, ps. „Golski”, dowódcy zgrupowania Golski” batalionu „Odwet”.

” W architekturze” wyfasowałem karabin i biało-czerwona opaskę, a bodaj na trzeci dzień kombinezon roboczy, pochodzący z jakiegoś zdobycznego magazynu (w kombinezony te został ubrany cały nasz oddział). W parę dni po wybuchu Powstania zameldowałem się ponownie u kapitana Gołędzinowskiego i zapytałem, czy zamiast stać na warcie na Lwowskiej nie mógłbym skuteczniej służyć Powstaniu śpiewaniem...

— Są ważniejsze rzeczy niż śpiewanie — zawyrokował dowódca. — Zresztą czy w ogóle warto z tym zaczynać? Powstanie skończy się za kilka, może kilkanaście dni...

Wkrótce po rozmowie z kapitanem spotkałem studenta Politechniki Wiesława Brodzińskiego, który zajmował się amatersko muzyką (w czasie okupacji był współzałożycielem zespołu muzycznego Braci Brodzińskich; dzisiaj mieszka i pracuje w Łodzi jako inżynier elektryk). Brodziński wygadał się, że ma akordeon, więc pochwyliłem go za rękę i czym prędzej zaprowadziłem do kapitana Gołędzinowskiego.

Dowódca, widząc mój upór, zgodził się na utworzenie dwuosobowego „zespołu pieśni”, który miał umilić ciężkie dni żołnierzom i cywilom. Pierwszy występ odbył się w auli „architektury”. Wędrowaliśmy w tym tandemie od rana do późnych godzin nocnych. Nasze codzienne peregrynacje z pieśnią i piosenką nie były chyba mniej niebezpieczne od pełnienia powstańczych funkcji z karabinem. Wszak byliśmy ciągle w ruchu, rzenosząc się z miejsca na miejsce: występowaliśmy

R7

na podwórzach, w szpitalach, a nawet dla oddziałów nie opodal pierwszej linii.

Kiedyś wracałem do domu późnym wieczorem i żeov móc się poruszać o tej porze, dostałem na drogę hasło i odzew. Szedłem piwnicznymi przekopami i częściowo odcinkami ulic. Nagle usłyszałem:

— Stój! Kto idzie?

Byłem, hm, leciutko wstawiony (po małym poczęstunku u żołnierzy, dla których owego wieczoru śpiewałem) i hasło wypadło mi z pamięci. Odpowiedziałem więc na pytanie rzucone w ciemności zgoła nie przepisowo:

— Ja...

— Co za ja! Hasło!

Nie pamiętając hasła, powiedziałem po prostu:

— Fogg.

Na to patrolujący żołnierz:

— Nie ma takiego hasła. — Mówiąc to podszedł i oświetlił mi twarz latarką.

— Jeżeli jesteście Fogg — orzekł — to zaśpiewajcie. Cóż, żeby wyjść z opresji, musiałem zanucić kilka

taktów Bluzeczki zamszowej. Zbliżyli się inni żołnierze, a jeden z nich skoczył po szklaneczkę czegoś mocnego — „na cześć Fogg”.

Pewnego dnia śpiewałem w szpitalu, zainstalowanym w prywatnym mieszkaniu na Poznańskiej. Ustawiłem się na progu dwu pokoi wypełnionych rannymi. Podczas wykonywania kolejnej piosenki dostrzegłem przez okno krążące dość nisko nad nami sztukasy. Poczułem się trochę nieswojo.

— Czy nie należałoby w tej sytuacji przerwać koncertu? — zapytałem lekarza.

— Co, Fogg się boi?

— Oczywiście! — odrzekłem. — Ale jeśli pan doktor sobie życzy, będę śpiewał dalej.

88

Ledwo otworzyłem usta do następnej piosenki, do-

em wstrząsnął potężny wybuch. To, co się teraz ro-m grało dokoła, było już poza moją świadomością. Po tu zemdlałem. Przytomność wracała mi powoli. rdy się ocknąłem, zacząłem po omacku błdzić rękami • wtedy natrafiłem nieoczekiwanie na ściany jakiegoś zamknięcia. Rany boskie — pomyślałem ze zgrozą — jestem w trumnie! Pochowali mnie żywcem!

Dopiero po dobrej chwili dotarły do mojej świadomości krzyki i jęki. Rozejrzałem się i wówczas stwierdziłem, że znajduję się w... wannie. Dobrze chociaż, że nie było tam wody, wyłowiono by niechybnie stuprocentowego topielca! Okazało się, że jeden ze sztukasów rzucił bombę na nasz dom (tyle że na sąsiedni pion) i podmuch powietrza ulokował mnie w wrannie. Gdy się wygramoliłem z domniemanej trumny, nogi ugięły się pode mną. Ciało nosiło zadraśnięcia od szyb i odłamków. Nie otrząsnąwszy się jeszcze z szoku, zszedłem na podwórze, gdzie spotkałem wystraszonego akompania-tora.

W szpitalu na Poznańskiej śpiewałem już poprzednio. Szczególnie utkwilo mi w pamięci jedno zdarzenie. W pewnej chwili podszedł do mnie lekarz i powiedział, że właśnie obudził się z narkozy młodziutki porucznik — „bodaj ps. Wagner, poważnie ranny na Politechnice. Usłyszał, że pan śpiewa — i prosił, żeby coś i dla niego”...

Wszedłem do małego pokoiku, gdzie zobaczyłem młodego człowieka z mocno purpurową twarzą (skutki narkozy) i grubo obandażowanym barkiem. Ranny uśmiechnął się i powiedział cicho:

Niech mi pan zaśpiewa najgłupsze piosenki... Życzeniu stało się zadość. Zaśpiewałem Jak już popić, Fredzia, Wolność, Tomku.

błyskawiczna

Gdy w trzynaście lat później występowałem p0no wnie w Ameryce, moją partnerką w programie (me_ lorecytacje) była aktorka polskiego pochodzenia Katel-bachówna. Któregos dnia jechaliśmy samochodem na występ do jakiegoś niewielkiego miasta w stanie Nowy Jork i aktorka wstąpiła po znajomego warszawiaka aby go zabrać na koncert. Zatrzymaliśmy się przed jakimś domem. Po paru minutach moja towarzyszka wróciła z młodym jeszcze człowiekiem, który jednak był siwy jak gołąb. I bez ręki. Aż po ramię.. Skojarzenie przyszło natychmiast i myśl podsunęła mi pytanie:

— Czy pan walczył w Powstaniu?

— Tak — usłyszałem w odpowiedzi.

^^^^_

— Czy był pan ranny na Politechnice?

— Tak.

— Czy leżał pan w szpitalu na Poznańskiej?

— Zgadza się. — Na twarzy mojego rozmówcy pojawił się wyraz zaskoczenia.

— A czy pamięta pan, iż życzył sobie, aby mu zaśpiewać przy łóżku najgłupsze piosenki?

— Nie, nie pamiętam...

W samochodzie zapanowała cisza. Ujechaliśmy ileś tam kilometrów, gdy nagle na tylnym siedzeniu rozległ się radosny krzyk.

— Rany boskie! Przypomniałem sobie! Pamiętam doskonale!

Siwy jak gołąbek pasażer rzucił mi się na szyję. Posypały się wspomnienia...

Myliłby się ten, kto by sądził, że moje koncerty w czasie Powstania odbywały się na zasadzie dobrowolnego wyboru miejsca i czasu. Występy były najczęściej objęte rozkazem. Rozkaz brzmiał: „Masz pójść zaśpiewać tam i tam”. Oczywiście niezależnie od „koncertów 90 ozkazu” bardzo często produkowałem się przygodnie krótkich „śpiewankach” dla żołnierzy i cywilów. Wiele lat później — w 1958 r. — występowałem Londynie z koncertem na wdowy i sieroty po akowcach. Po koncercie obejmującym głównie piosenki żołnierskie (śpiewałem w uratowanym z Powstania kombinezonie, tym samym, w którym się produkowałem w tamtych tragicznych dniach) podeszła do mnie jakaś pani i zapytała, czy ją poznaję... Była to p. Żeromska, która z ramienia BIP-u (Biuro Informacji i Propagandy) rejestrowała każdy mój koncert (ten „z rozkazu”).

— Czy pan wie, ile razy pan występował w czasie Powstania? — zapytała.

— Nie mam pojęcia — odpowiedziałem. I dodałem z uśmiechem: — Nie prowadziłem buchalterii.

— Ale ja prowadziłam — zareplikowała p. Żeromska. — Śpiewał pan dokładnie sto cztery razy.

Wtedy przypomniałem sobie, że istotnie owa pani wypytywała mnie w czasie Powstania każdego dnia, gdzie śpiewałem, i robiła na ten temat notatki.

Ale wróćmy do pamiętnych dni Powstania. Pewnego razu wziąłem udział w uroczystym koncercie z okazji Dnia Żołnierza, który odbywał się w auli „architektury” przy akompaniamencie jazzu karabinów maszynowych, dochodzącego z pobliskich ulic. Sala była wypełniona po brzegi chłopcami i dziewczętami. Młodzi dzierżyli karabiny lub rozpylacze, u pasa wisały granaty. Hu piosenkarzy na świecie miało taką publiczność? Wśród tych młodych ludzi poznałem wielu dawnych stałych bywalców „Swana”, modnej kawiarni na Nowym Świecie, w której śpiewałem w czasie okupacji. Mogli wtedy robić wrażenie nawet lowelasów i różnych paniczyków. Ale gdy przyszła chwila próby, Potrafili stanąć na barykadzie. Jak to nie wolno ulegać Pozorom!

ni

O jednym z moich powstańczych koncertów piekn" i wzruszająco napisała kiedyś w tygodniku Stolic uczestniczka Powstania Warszawskiego Józefa Radzv mińska. Pozwolę sobie przytoczyć obszernie fragmenty jej wspomnienia.

„Nie był to właściwie żaden koncert, ale tak nazwała to łączniczka Brzoza, wpadając do kwatermistrzostwa-

— Wiesz, dziś o ósmej koncert!

Podniosłam głowę znad skrzynek, w których znajdowały się ostatnie zapasy, i odrzekłam opryskliwie:

— Dajże mi spokój, niedługo będziemy chyba piasek jeść, a ty mi zawracasz głowę jakimś koncertem.

— Będzie śpiewał Fogg — uśmiechnęła się Brzoza. — Widziałas go kiedy? Ja nie. I cieszę się, że dla nas zaśpiewa. Więc pamiętaj, przyjdź.

Przez chwilę stałam beczynną starając się zapanować nad rozdrażnieniem, gdyż radość Brzozy wydawała mi się zupełnie nie na miejscu, prawie nieprzyzwoita, a piosenki Fogga nieważne i błahe wobec stale przybywających na skwerach grobów i coraz niepewniejszej sytuacji. Myślałam tak, lecz jednocześnie wspomniałam niedawny wieczór poezji, w którym brałam udział, i trochę to wszystko zaczęłam rozgrzeszać, a w pamięci odżywały mi przeróżne melodie, mieszając się natrętnie z odgłosami walki. Dom po drugiej stronie Marszałkowskiej dopalał się od wewnątrz, jamy po oknach ukazywały rumowisko, dokoła sięgał wzrok.

«Pamiętasz, sankami jechaliśmy, Miła» — zanuciłam półgłosem, a kwatermistrz spojrział na mnie zdziwiony. Twarz miał markotną i bardzo bladą. Od paru dni gnębiła go ostra biegunka, która zaczęła się szerzyć zastraszająco. Umilkłam. Ale po chwili przybiegła do mnie melodia «Bluzeczki zamszowej, pachnącej mocno Soir de Paris» i doszłam do wniosku, że przecież bardzo lubię Fogga i trzeba iść na koncert. Kwatermistrz wy-
oośpiechem i zamiast mu współczuć, roześmia-'
• Ja sama zaczęłam odczuwać początki tej okro-m-Schoroby, która gnębiła wycieńczone organizmy, bo Sól to się nie jadło, jakieś wstrętne rzeczy. O 20 godzinie ósmej śpieszyliśmy na koncert. Pokój, w którym miał śpiewać Fogg, był duży i staroświecki. Nad wytartą kanapą wisały ślubne portrety dwu pokoleń bez wyrazu, odstrasające od małżeńskiego szczęścia. Świece, stojące na pianinie i na stoliku pod oknem, rzucały słaby blask. Chłopcy i dziewczęta, siedzący na podłodze, wyglądali w tym blasku jak stary, poźółkły sztych. Wydało mi się, że czas cofnął się w odległą epokę kandelabrową, spokojną i senną, nie zakłócaną bombami, pożarem i walką.

— Już przyszedł, widzisz, już jest — wskazał podchorąży Ryszard w kierunku drzwi, w których stał Fogg. Był niski, blady, jakby nieśmiały, inaczej go sobie wyobrażałam. Miał ujmujący uśmiech; przez chwilę patrzył na swe audytorium w blasku świec, a potem stanął przy fortepianie i po paru taktach akompaniatio-ra zaczął śpiewać swym ślicznym, aksamitnym głosem piosenki, nieważne, błahe, Miał pan Tomek własny domek, Tułipany, Gwizdzą na wszystko, śmieją się w słońce, drobne, śmieszne piosneczki; lecz nam się wydało, że nagle w staroświeckim pokoju zamyka się cała Warszawa, urocza, błyskotliwa i tak bardzo nasza, ta sama, o którą biliśmy się od tyłu bolesnych dni. Zaśpiewał też piosenkę, którą lubiłam najbardziej Kochana. «Tuliłem do serca najdroższe twe ręce, a miłość pa-l}a jak rana, tuliłem twe ręce maleńkie dziecięce, Kochana, kochana, kochana...»

Powtarzał to słowo słodko, tęsknie i czule, z bolesnym jakimś smutkiem, tak że nabrało wreszcie innej Jakiejś treści: jego trzykrotne wołanie poczęło jakby erać w moim sercu, myślałam o trzech miłościach,

93

o matce, siostrze i Warszawie, o nich, które były Di; k. a przecież nie miałam ich: od matki oddzielał mn-most na Wiśle, od siostry aleje Jerozolimskie, p0 cach Warszawy chodziłam, ale z nagłą przejęło mn" zrozumienie, że most na Wiśle nie jest zwykłym mo stem, lecz tamą cierpienia, że aleje Jerozolimskie nie sa zwykłą ulicą, ale szańcem walki, że z Warszawy zostaje rumowisko, coraz większe, coraz sroższe rumowisko domów, ulic, mostów, śmierci ludzkiej.

Miękki, ściszony, tęskny głos śpiewaka, blask świec zasłuchani żołnierze, podchorąży Ryszard z ręką na temblaku, znękanie, głód, drażąca mnie choroba, niepewność, tęsknota za matką — może to wszystko stało się powodem moich łez, nie wiem. Było potworne, że tak często musieliśmy tu wszyscy płakać, z żalu, z bólu, czasem z rozrzewniającej radości, gdy powiodła się jakaś akcja, złe było owo płkanie, lecz teraz łzy płynęły mi w ciszy, myły mi twarz, odczuwałam ich łaskę, kojącą nieco moje smutne myśli i niespokojne serce.

Fogg śpiewał i śpiewał. Piosenki płynęły jedna za drugą. Sprawiało to wrażenie, jakby chciał nas nasycić piosenką Warszawy, byśmy zapomnieli o głodzie i o tym, co jeszcze przyjdzie nam tu znieść.

Szłam szybko na kwaterę, na ulicę Hożą, a za mną dziewczęta nuciły piosenki Fogga, jakby wyszły z prawdziwego koncertu, z teatru, z rewii. Mógł się popłatać czas. Myślałam, że jest to zwykła noc wrześnieowa, nie było wojny, nie ma Powstania. Wszystko stawało się nierzeczywiste: ruiny i barykady, wzgórki piachu z wetkniętymi krzyżykami, melodie, staroświecki pokój, Fogg. Może słyszałam go tylko przez radio w rodzinnym domu, leżąc w czystej pościeli? Jest daleki przedwojenny wrzesień, jest ojciec obok mnie, matka, siostry, czeka mnie szczęście? Złuda, której pozwoliłam się oplatać, opuściła mnie, m pod numer 25 i schyliłam się w niskich 'SZVch drzwiach. Uderzył mnie zaduch, w ciem-piwruczny toboiki, ludzie spali w najdziwaczniej-Izach, to była moja kwatera, nie mieliśmy już *H ch°wygodnych pomieszczeń. Podłożyłam pod gło-Łbak i przytuliłam do niego moją czysto wymytą rami twarz. Jak to śpiewał Fogg? «Wolność, Tomku, aswoim domku nawet w wannie sadzić bez...» Swoje domki rozpadały się w gruzy, wanna była nierealnym marzeniem, a bez... Czy kiedykolwiek na tych zgliszczach zakwitnie bez?"

Pewnego dnia dostałem rozkaz zaśpiewania na Emilii Plater, gdzie stacjonował oddział wojskowy (w budynku tym mieściła się przez wiele lat po wojnie rezydencja ambasadora USA). Po recitalu (szumnie to brzmi!) żołnierze przynieśli mi mały poczęstunek, na który złożyły się dwa kieliszki spirytusu i dwa pomidory! Dawno już zapomniałem, jak wyglądają ziemniaki (było to pod koniec Powstania), a tu pomidory! Rzuciłem się łapczywie na ten rarytas.

— Nie wyobrażałem sobie, że pomidory mogą być takie pyszne — zwierzyłem się dowódcy oddziału.

Młody porucznik zadumał się nad czymś przez chwilę, po czym powiedział:

- Zaraz wrócę, niech pan nie odchodzi.

Mineło pół godziny, może więcej. Na dworze było już szaro. I wtedy znowu zobaczyłem młodego dowódcę, jakże zmienionego. Twarz miał czerwoną, cały był z any potem i zakurzony. W garściach obu rąk trzymał kilka pomidorów.

orucznik chcąc się odwdzińczyć za występ podczoł-siĘ do... Ogrodu Pomologicznego (ciągnącego się mię-' Wspólną i Chałubińskiego), który był pod ostrza-
95

łem Niemców, operujących z budynku Minister h Komunikacji na Chałubińskiego. Byłem poruszom. Życie w czasie Powstania przynosiło różne nie dzianki. Pewnego dnia zdarzyło mi się śpiewać na śl * bie. Udzielał go młodej parze żołnierzy młody kape] Na niebie sztukasy, na ulicach detonacje i mordercz serie pocisków — ale życie, życie silniejsze od wszyst kiego, szło naturalnym torem naprzód.

Najsmutniejsze wrażenie robili starzy — bezradni opuszczeni, przestraszeni. Widywałem różne objawy leku. Mocno utkwiał mi w pamięci widok kobiety trzymającej w dwóch rękach dwa papierosy i nerwowo zaciągającej się nimi jednocześnie.

Niemców wziętych do niewoli zobaczyłem po raz pierwszy w kinie Hollywood na Hożej, gdzie stał oddział powstańców, a jednocześnie mieścił się jakby obóz jeńców niemieckich. (W kinie Hollywood występowałem wiele razy przed wojną wraz z kolegami z „Qui pro quo"). Trzeba było widzieć miny Niemców, którzy patrzyli z ogromnym zdziwieniem, jak najspokojniej w świecie produkowałem się przed powstańcami i jak oni mi wtórowali.

Miałem tym razem szczęście, bodaj nazajutrz w kino trafiła bomba lotnicza niszcząc budynek i grzebiąc pod gruzami wielu rannych ze znajdującego się tam szpitala.

Na początku Powstania otrzymałem kilkakrotnie rozkaz śpiewania w dawnej kawiarni Forkasiewicza na Kruczej, gdzie stacjonował oddział żołnierzy. Któregoś dnia, przyszedłszy jak zawsze na Kruczą piwnicami i wykopami, znalazłem się znowu przed żołnierskim audytorium w lokalu Forkasiewicza. Po koncercie zatrzymałem się na chwilę w szatni, czekając na jednego z kolegów, gdy nagle zobaczyłem oślepiający błysk ognia i usłyszałem ogromny huk. Równocześnie jakaś siła rzuciła mnie gwałtownie za ladę szatni. Po chwili

96

oich uszu doszły krzyki, jęki, głośny płacz. W salę ^ wielkim trudem podniosłem się zza lady, ale każdy krok sprawiał mi ból. Z krwawiącą nogą jakoś się y lokłem do punktu opatrunkowego. Stwierdzono, że cLtamek trafił mnie w samą piętę, rozszarpując but. przez szereg dni, kuśtykając, chodziłem w pantoflu rannym. Nie zrezygnowałem oczywiście z moich wędrówek z piosenką. (Później na Kruczej zginął od granatu członek Chóru Dana Tadeusz Bogdanowicz).

już w dziesięć dni później zostałem ranny po raz drugi, i to w czasie śpiewania. Otóż w chwili gdy występowałem dla żołnierzy w dużym mieszkaniu przy rogu Marszałkowskiej i Wilczej, usłyszałem nagle dobrze znajomy skowyt czy też wycie „krowy” — jednej, drugiej, trzeciej — połączone z charakterystycznym zgrzytaniem, i nagle dom zatrzęsł się w posadach. Pocisk uderzył w boczną ścianę kamienicy, która obsunęła się do wysokości trzeciego piętra. Usłyszałem znowu krzyki i jęki.

A tymczasem sam — jakby powiedział Wiech — widzę, że nic nie widzę... Czułem tylko, jak jacyś ludzie biorą mnie pod ręce i wyprowadzają na powietrze. Zaprowadzono mnie do szpitala polowego.

Po doznanym szoku powoli wracała mi przytomność. Pierwszym świadomym odruchem było oczyszczenie przy pomocy śliny okularów od zastygającej krwi. Nosiły one ślady porysowań od odłamków. Okulary uratowały mi niechybnie wzrok. Drobnymi odłamkami szkła odpryski tynku spowodowały ranki na policzkach, brodzie i głowie.

rzeci raz byłem ranny na terenie jednego z domów a Wilczej. Akurat skończyłem śpiewać w mieszkaniu, torym stacjonowała grupa żołnierzy, i wyszedłem na podwórze, aby wrócić piwnicami do „architektury” palanta do belcanta

07

na Koszykowej, gdy silny podmuch powietrza mnie o ziemię. Gdy się podniosłem, nie mogłem z ani kroku. Zniesiono mnie do piwnicy, gdzie zdieta zakrwawioną marynarkę i także spodnie, podziurała przez odłamki. Byłem ranny w prawą łydkę i w _• cy, w okolicy lewej łopatki. Na szczęście rany okazały się lekkie. Nie umiałem ani leżeć, ani specjalnie się ku rować. Wystarczyło zmienianie bandażu. W czasie Powstania byłem nieraz świadkiem bombardowania szpitala polowego i zazwyczaj sprawnej akcji ratowniczej. Pewnego razu po jednym z takich bombardowań zobaczyłem, jak aktorka i artystka baletu Krystyna Marynowska (pracuje obecnie w jednym z teatrów poza Warszawą), kobieta dość drobnej budowy (notabene bardzo zgrabna!) ratowała heroicznie rannych z płonącego szpitala (przy Marszałkowskiej 69 lub 71, w podwórzu firmy Skiba i Wyporek), wynosząc ich na plecach lub wspierając na własnym ramieniu. Niektórzy ciężko ranni, widząc ją w akcji, dosłownie czołgali się, byle tylko znaleźć się bliżej swojej wybawicielki. Był to widok, którego się nie zapomina. W czasie Powstania dostałem do pierwszego wykonania piosenkę Mariana Matyszkiewicza nazywaną popularnie Pancerniacy. (Mój batalion „Odwet” miał być załącznikiem jednostki pancerniej). Do dzisiaj wspominani ze wzruszeniem tę piosenkę, zwłaszcza po pewnym przeżyciu, które stało się

moim udziałem w trzynastu lat później, gdy występowałem w Toronto, w Kanadzie. Właściwy tytuł piosenki brzmiał Deszcz, jesienny deszcz, a refren miała kończący się słowami — „Przemoczone pod plecakiem osiemnaście lat...”

Otóż gdy wykonywałem tę piosenkę na wspomnianym koncercie w Toronto, pewna pani siedząca w pierwszej rzędzie zemdląła. Wyniesiono ją z sali. Po skon-

koncercie owa pani z pierwszego rzędu zjawiła

kulisami i przepraszała za incydent. Dowiedzia-

• „r P7a<?ie Powstania straciła osiemnastoletnie-łem się> ze w CZdSlc eo jedynaka...

Nawiasem: piosenka Matyszkiewiczza nie zaginęła, włączył ją niedawno do repertuaru, po niewielkiej przeróbce melodycznej, jakiś zespół beatowy. Niestety nie wiem, który.

Jedno z najmocniejszych moich przeżyć w Powstaniu było związane z wykonaniem słynnego Marsza Mokotowa, który został dla mnie skomponowany przez Jana Markowskiego (por. Krzysztof), mojego przyjaciela i akompaniatora z czasów okupacji, do słów nieżyjącego już oficera AK Mirosława Jezierskiego. Para autorów dedykowała mi ten utwór w uznaniu za powstańcze peregrynacje z piosenką.

Pieśń inspirowana walkami na Mokotowie, napisana na zaplamionym papierze nutowym zwykłym ołówkiem, została mi wysłana kanałami do mieszkania na Koszykowej.

Nowej pieśni nauczyłem się bardzo szybko, bo w niecałe trzy dni. Jej aktualność chwytła za serce. Zresztą trzeba się było szybko uczyć, by zdążyć ją jeszcze zaśpiewać. Wszak śmierć zbierała dokoła obfite żniwo, chociaż nie zawsze człowiek zdawał sobie z tego sprawę.

Po raz pierwszy zaśpiewałem Marsz Mokotowa w auli „architektury” na Koszykowej. Zrobił na słuchaczach wrażenie... Robił takie wrażenie zawsze, ilekroć go później wykonywałem.

w ogóle na początku Powstania uczyłem się no-

ody° Piosenek dość długo i nerwowo. Rozpraszały mnie

a ^ °Sy walki, a wyobraźnię paraliżował chwilami lęk:

uz jakiś piekielny pocisk trafi w mój dom... Później

szybkoZyWykłem d° "zaPachu Pr°chu", uczyłem się > Przy akompaniamencie

akordeonu i... ustawi-

T

99

Cznego grzechotu karabinów maszynowych, huku dział i detonacji bomb.

Używając przenośni mogę powiedzieć, że w czasie Powstania miałem swoją barykadę:

została wzniesiona przy mojej czynnej pomocy zaraz pierwszego dnia sierpnia u zbiegu

Koszykowej i Lwowskiej. Ilekroć dziś znajduję się na tym skrzyżowaniu, wyobraźnia

przywołuje jej kontur. Gdy się tamtędy przemykałem w pamiętnych dniach Powstania,

zawsze z troską rzucałem w jej kierunku spojrzenie, sprawdzając „jak się trzyma”.

Pomagając przy jej wznoszeniu wrywałem wraz z innymi płyty z chodnika, które stanowiły

najlepszy budulec. Miałką ziemią lub piaskiem spod chodnika napełniało się worki i

umacniało barykadę. Wznoszono tę zaporę przeciw wrogowi z trudnym do opisanego,

chwytającym za serce entuzjazmem. Pracowali tu wszyscy: mężczyźni i kobiety, starcy i

dzieci, wojskowi i cywile.

Czegóż to „organizm” barykady nie pochłoniął: stare tapczany, szafy, łóżka — wszystko to

znosili ofiarnie mieszkańcy walczącego miasta. „Moją” barykadę, chyba dwumetrową,

zwieńczyła uszyta naprędce biało-czerwona flaga. Dla zdobycia czerwonego płótna do

narodowego sztandaru rozpruto dużą poduszkę. Wiatr zaniósł daleko tumany pierza...

Rejon Koszykowej i Lwowskiej szczególnie mocno utrwalił mi się w pamięci, nie tylko ze

względu na barykadę. Nie opodal znajdowało się przecież moje mieszkanie. Tu w budynku

wydziału architektury Politechniki były moje koszary. W pobliżu „mojej” barykady na

Lwowskiej mieszkał Bronisław Zieliński (znakomity tłumacz, m.in. dzieł Hemingwaya), do którego przychodziłem, by uczestniczyć w nasłuchu radiowym. Byłem

100

- ki furii, gdy słuchałem nadawanego przez radio londyńskie utworu Z dymem pożarów, gdy w niebo nadciągnęła przez Niemców Warszawę wzbijały się słupy dymu i ognia.

W budynku „architektury” od strony Lwowskiej znajdowały się w podwórzu garaże. Właśnie tam było

i dane przeżyć chwile, które zachowałem w pamięci na zawsze.

Otóż któregoś dnia wszedłem przez ciekawość do garażu przez uchylone drzwi. W półmroku zamajaczył kontur czegoś nieoczekiwanego. Podeszedłem bliżej i w otwartej trumnie zobaczyłem martwą dziewczynę mniej więcej szesnasto-siedemnastoletnią o ślicznej twarzy. Była ubrana w granatowy fartuch, jej ramię opinała biało-czerwona opaska. Patrzyłem z największym żalem na tę młodą bohaterkę Powstania, która sprawiała wrażenie pogrążonej w głębokim śnie... Widok był tak dojmujący, że się rozplakałem. Późniejsze dni pochłonęły wiele takich młodzieńskich ofiar. Grzebano je sposobem zgoła zwyczajnym, jako że przy tragicznie wielokrotnionej liczbie zabitych trumny stały się nieosiągalnym luksusem.

Sporo jest miejsc w Warszawie, z którymi łączą mnie do dzisiaj niezapomniane powstańcze wspomnienia. Ile razy znajdę się na przykład w Teatrze Współczesnym Mokotowskiej, zawsze odżywają we mnie reminiscencje spędzonych tam chwil. Sala będąca dzisiaj widowiskową stanowiła wtedy coś w rodzaju półszpitala, a zarazem azylu dla ludzi, którzy stracili dach nad głowami. Śpiewałem tam kilkakrotnie

któregoś dnia spieszyłem na koncert i wtedy na szlaczki — podwórkami, wykopami i kanałami — od ulicy — z jednej z bram wychodzących na Wilczą, na podwórku między Poznańską i Marszałkowską. Przy bramie — stał żołnierz i nie wypuszczał

101

nikogo na ulicę, którą w tym miejscu przedzielała spora barykada. Owo przejście wzdłuż barykady znadawało się pod ostrzałem — jak się później okazało — niemieckiego strzelca wyborowego. Właśnie się zastanawiałem, jak obejść niebezpieczny odcinek, gdy w pobliżu bramy znalazł się jakiś cywil, który nie bacząc na ostrzeżenie wartownika z AK (wręcz awanturował się o prawo przejścia!), wybiegł w pewnej chwili na ulicę. Nie zrobił nawet dziesięciu kroków, gdy celny strzał Niemca położył śmiała trupem.

Gdy za pomocą bosaka ściągnęliśmy martwego cywila z powrotem do bramy i żołnierz sięgnął do kieszeni na piersi po dokumenty, okazało się, że zabity był prawdziwym krezusem. Ręka akowca natknęła się na grube pliki banknotów — razem sto tysięcy złotych, na owe czasy bardzo duża suma. Było dla nas zagadką, dokąd tak się spieszył ów cywil z pieniędzmi. To przecież stanowczo nie była właściwa pora do podejmowania jakichkolwiek inwestycji czy zwracania długu honorowego. W tamtych dniach jedyną wartość miało życie, które ów cywil tak zlekceważył.

Spieszyłem na występy wszędzie, gdzie mnie tylko wzywano. Tylko raz jeden odmówiłem śpiewania i do dziś nie potrafię wyjaśnić, dlaczego to uczyniłem. Stało się tak najpewniej za podszeptem instynktu. Pewnego dnia mój partner z Chóru Dana, Bogdanowicz, poprosił mnie, abym razem z nim wystąpił przed jakimś zgrupowaniem żołnierzy niedaleko Kruczej. Byłem tego dnia zmęczony i dziwnie podenerwowany, więc odmówiłem. Bogdanowicz, wracając z tego koncertu, padł trafiony odłamkami granatu.

Różne nastroje i uczucia przeżywałem w czasie swoich występów, nie wyłączając uczucia głodu. Stwierdziłem przy okazji, że o pustym żołądku wcale dobrze mi się śpiewało. Byle nie trwało to zbyt długo. Pamiętam, jak

102

koniec Powstania, po kilku dniach przymusowego Poroszony na parę dni naprzód do dowódcy jednego

, jeC powstania, pu n.nn.u umcu.11 piz,^muouwcSu

P 1,°wt)owiadała się „wyżerka”, na którą zostałem

za z

ddzłałów. Ostrzał był tego dnia szczególnie uciążliwy, t też spóźniłem się na tę ucztę.

Zastałem wesołe, rozbawione twarze i skrzętnie ogryzione kostki na talerzu. Byłem niepocieszony, ale gdy mi dano do zrozumienia — szczekaniem — jakie to piecyste złożyło się na ucztę, odetchnąłem z ulgą. Mimo że to był bardzo rasowy wilczur...

. Pamiętam, jak głodująca ludność spoglądała z otuchą w niebo, gdy rozpoczęły się zrzuty. Z nadzieją też patrzyli żołnierze czekający na broń i amunicję. Szczególnie wzruszający był moment, gdy pewnego dnia nad Warszawę nadleciały alianckie samoloty i na niebie pokazały się zasobniki zrzucające na spadochronach. Z takiej odległości przypominały one do złudzenia desant. Niestety wiatr wiele z nich znosił na pozycje nieprzyjaciela i większość tych zrzutów stała się łupem Niemców. Ludzie tłumnie wtedy wylegli z piwnic na wielkie podwórze, na zapleczu hali targowej na Koszykowej. A gdy zasobniki leciały ku ziemi, klękali i głośno modlili się, by spadły one w nasze ręce.

W nocy lubiłem nastawiać ucha „w kierunku nieba”, próbując wyłowić szum motorów samolotów: była to Piękna muzyka, napełniająca radością i nadzieją. Wiele razy z lubością wsłuchiwałem się w charakterystyczny terkot radzieckich kukuruźników, które nadlatywały nad Warszawę najczęściej nocą, zrzucając broń i zaopatrzenie.

me zawsze łatwo mi było śpiewać, zwłaszcza w niach, gdy losy Powstania były już przesądzone. Dla- ' w ogóle wtedy śpiewałem? Śpiewam, więc je- mówilem sobie filozoficznie. Zdawało mi się ' ze gdy będę śpiewał, czas minie szybciej. Piosenka

103

przynosiła nie tylko zapomnienie tragicznych chwil i nawet stanowiła coś w rodzaju antidotum na u i strach, które mnie w różnych sytuacjach ogarniały. Wszak nie urodziłem się bohaterem... Ale przede wszv" stkim chciałem choćby w minimalnym stopniu podnosić przy pomocy piosenki ducha cywilów i żołnierzy. Był to mój skromny żołnierski wkład w gigantyczny powstańczy zryw. Przecież często śpiewałem na pierwszych liniach. „Frontowe” występy znalazły uznanie w oczach przełożonych. Mój dowódca przedstawił mnie do odznaczenia Krzyżem Walecznych za działalność na pierwszych liniach bojowych, otrzymałem także Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami.

Głośne detonacje towarzyszyły mi, gdy śpiewałem na początku Powstania na wspólnym koncercie, w budynku gimnazjum na Noakowskiego, vis a vis Politechniki, razem z Mirą Zimińska i znakomitą skrzypaczką Ireną Dubiską, przy akompaniamencie Tadeusza Sygietyńskiego.

Wiele wzruszeń dostarczył mi koncert w alejach Ujazdowskich, w budynku, gdzie zgrupowały się oddziały Szarych Szeregów dowodzonych przez pułkownika Radosława (Jan Mazurkiewicz). Obecnie mieści się tu ambasada Bułgarii. Oddziały, które przeszły tutaj kanałami ze Starówki, ubrane były w ponemieckie panterki. Większość tych chłopców nosiła wówczas wąsy. Gdy ogarnąłem wzrokiem tę niecodzienną widownię, miałem przez chwilę wrażenie, że oglądam powstańców z 1863 r., żywcem wziętych z obrazów Grottgera. Chłopcy stali i siedzieli w zadumie, trzymając się za ramiona. Były tu słynne oddziały — „Parasol ,

„Zośka”, „Miotła” i inne. Odwiedzałem je z piosenką kilka razy. Na pamiątkę tamtych spotkań śpiewam do dzisiaj bardzo często piosenkę „Parasola” zaczynającą

104

i słów: „Pałacyk Michła, Żytunia, Wola — Bronią ie0hłopcyo dpara!0!!”

się

ie pewnego dnia śpiewałem niejako w „koncercie • czeń” w szpitalu na rogu Wilczej i Emilii Plater. Nie Siedziałem wtedy, że echa tego mojego występu dadzą o sobie znać jeszcze po wojnie. Było tak. Gdy się znalazłem we wspomnianym szpitalu, podszedł nagle do mnie średniego wzrostu sierżant ze staropolskim wąsem, jak się okazało — strzelec wyborowy. Pełen podniecenia powiedział, że jego ciężko ranny syn prosi, abym mu coś zaśpiewał. Podszedłem do łóżka. Leżał tam kilkunastoletni rudy chłopiec, z pobladłą twarzą. Gdy mu zaśpiewałem, podniósł powieki, a na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech...

W 1947 roku przyjechałem na występy do Koszalina. Idę ulicą, gdy nagle z budki z wodą sodową wyskoczył jakiś tegi jegomość i biegnie prosto do mnie:

— Wielkie nieba! Kochany pan Mieczysław!

W ten sposób powitał mnie ów sierżant, teraz w cywilu, który szczęśliwie przeżył Powstanie razem z synem. Chcąc mnie natychmiast ufetować, podjął mnie lodami, które sprzedawał w budce. Musiałem ich tyle zjeść, podczas gdy on opowiadał mi o swoich dalszych powstańczych losach, że później przez długie tygodnie nie mogłem patrzeć na lody. W maju 1969 r. znalazłem się w Złotorzy, gdzie spotkałem syna owego sierżanta, dorosłego już i dzieciatego mężczyznę.

Często wracam myślami do Powstania, zwłaszcza w dniach, gdy zbliża się rocznica heroicznego zrywu warszawiaków. Ale nie tylko myślami. Powstanie staje S1(? tematem rozmów w gronie najbliższej rodziny (ot, am coś z manieri żołnierza lubiącego wracać do tronowych wspomnień!). Moimi „abonamentowymi” słu-

105

chaczami są przede wszystkim wnuki (siedemnastoletn' chłopiec i trzynastoletnia dziewczynka). Patrzą mi takich razach ze wzruszeniem w oczy, lecz — dałbym za to głowę — tak mniej więcej myślą: Oho, Miecio (tak mnie nazywają) wraca do swego ulubionego tematu: wojny i Powstania. Wysłuchują z uwagą moich wspomnień, ale wiem, że ich wyobraźnia, wyobraźnia dzieci, które dorastają w pięknie odbudowanej Warszawie, nie jest w stanie objąć tragedii tamtych dni. Siedzą z zainteresowaniem opowieść o moich powstańczych perypetiach w rejonie „architektury”, o „mojej barykadzie” i o wyprawach z piosenką — piwnicami i podwórkami — na przykład z Koszykowej na Wilczą przy Marszałkowskiej. Nie mogą pewno pojąć, że na dojście tam potrzebowałem niekiedy aż trzydziestu minut, skoro oni przemierzają dzisiaj tę odległość w ciągu pięciu...

Ostatni raz w Powstaniu w ogóle śpiewałem w tejże „architekturze” 2 października. Tego samego dnia opuściłem mieszkanie na Koszykowej, zabierając jedynie palto, mały neser z najniezbędniejszymi rzeczami i teczkę z nutami. Dowództwo nakazało mi wyruszyć razem z cywilami w kierunku szosy Krakowskiej.

W drodze pełnej przygód dostarczono mi fałszywą kennkartę. Otrzymałem ją w szkole na Okęciu, gdzie mieścił się zaimprovizowany szpital. Jego kierowniczka dr Sadowska, wspaniała człowiek i wielka społeczniczka, udzielała tam schronienia wielu uciekinierom. Później przygodną ciężarówką dostałem się do Tarczyna, a stamtąd pieszo do osiedla w głębi lasu — Leśna Polana. Właśnie stamtąd wczesnym rankiem 18 stycznia wyruszyłem w kierunku Warszawy i brnąc miejscami po kolana w śniegu, dotarłem tego samego dnia do oswobodzonej stolicy. Okazało się, że w moim mieszkaniu uchowało się — o dziwo! — pianino, które mam do dzisiaj.

uj „Cafe fogg późniejsze irypraujy „uj Polskę”...

' Kawiarenka z moim nazwiskiem w szyldzie — „Café Fogg” — była wysepką wśród morza ruin. Współczesny kronikarz napisze, że skromny ten przybytek otworzył podwoje 4 marca rano 1945, a więc już w sześć tygodni po oswoobodzeniu Warszawy. Zamiar otwarcia kawiarenki inspirowany był oczywiście myślą o urządzeniu tam występów: chciałem dać nieco odprężenia i radości powracającym do miasta warszawiakom.

Nie przypuszczałem wtedy, że „Café Fogg” stanie się w jakimś sensie załączkiem życia estradowego w stolicy. Ale o tym później. Najpierw o kłopotach poprzedzających otwarcie „Café Fogg”.

W zarządzie miasta otrzymałem bez trudu zezwolenie na prowadzenie kawiarenki, tudzież przydział na lokal poniemiecki „Zur Heimat”, który znajdował się w posesji nr 119 przy ul. Marszałkowskiej (vis a vis dzisiejszego domu towarowego „Junior” na Ścianie Wschodniej). Przed wojną mieściła się tam pijalnia czekolady należąca do właścicieli znanej fabryki wyrobów czekoladowych „Plutos”. Notabene fama głosiła, że firma ta zrobiła kokosy na eksporcie czekoladek do Stanów Zjednoczonych w okresie prohibicji. Czekoladki były Podobno napełnione rumem i koniakiem...

«y przygotowania do urządzenia kawiarenki były w toku, zjawił się na Marszałkowskiej jakiś jego-c w podniszczonym palcie i przedstawiając się jako

107

Ludwik Menes, wręczył mi papiery stwierdzając jest sukcesorem firmy „Plutos”. Cóż, byłem gotów dać lokal prawowitemu właścicielowi. Przybysz zarrJ ponował mi spółkę. Z mojej strony wkładem mf\ być pewna suma pieniędzy i praca w kawiarni. Ze dziłem się. Jak doszedłem — że użyję szumnego oU ślenia — do kapitału zakładowego? Żeby to wyjaśni' muszę się cofnąć nieco w czasie.

Gdy 18 stycznia wróciłem do Warszawy z żoną i sję, demnastoletnim synem Andrzejem, okazało się, że nasza kamienica przy ul. Koszykowej 69 ocalała z pożogi Niemcy podpalili sąsiednią posesję i oficynę naszego domu, ale — o dziwo — front oszczędzili. Tyle że okna były bez szyb. Oczywiście mieszkanie ograbiono niemal kompletnie. Nie wiedziałem tylko kto: Niemcy, własowcy? A może rodzimi szabrownicy? Wszak ci ostatni już pierwszego dnia wolności — a nawet wcześniej — rozpoczęli mrówczą działalność. Idąc 18 stycznia upiornie zniszczonymi ulicami w kierunku Koszykowej, widzieliśmy po drodze dziesiątki furmanek wyładowanych rzeczami wyszabrowanymi z domów, których nie strawił do końca ogień.

Szaber odchodził na całego! Na Marszałkowskiej, niedaleko Piusa podpatrzyłem dziwnie zachowującego się jegomościa, który taszczył okrągły stolik. Nagle w jakiejś na wpół rozwalonej bramie zobaczył okazałą szafę wykładaną fornierem. Wyciągnął z niej szufladę, preferując ją nie wiadomo dlaczego nad antyczny stolik, który porzucił na rumowisku.

Wariat! — pomyślałem.

Byliśmy wraz z żoną i synem pierwszymi lokatorami, którzy powrócili do kamienicy przy ul. Koszykowej 69. j Okoliczne domy, ulice były całkowicie wymarłe. W mieszkaniu zastałem część mebli, antyczne lustro i pianino, które później służyło mi w „Cafe” Fogg”.

Nie

108

się nadziwić, że instrument nie uległ rozstro-

11 --,r, 7P w mieszkaniu bez szyb mroźny wiatr ipniu, mirno ^ Wał bezkarnie, niosąc tumany śniegu.

Kimkolwiek był osobnik, który ograbił moje miesz-• byłem gotów widzieć w nim melomana... Ukradziono mi przecież także około dwóch tysięcy płyt. Ważyły te płyty, produkowane z ciężkiej masy, niebagatelnie i wymagały odpowiednio zabezpieczonego transportu. Rabusia widać to nie zniechęciło.

Warszawa właściwie nie istniała. Od czego zacząć nowe życie? Chyba od ogrzania mieszkania, w którym zdołałem jako tako zabezpieczyć deskami okna. Mimo woli sam stałem się szabrownikiem. Kilka razy „podebrałem” sąsiadom węgiel ze stojących otworem rozwalonych piwnic i mieszkań, do których wciąż jeszcze nie wracali właściciele.

Pierwsze kroki — o głodzie i chłdzie — skierowałem na Pragę. Wyprawę za Wisłę łączyłem przede wszystkim z nadzieją na możliwość choćby skromnego zarobku. Byłem gotów śpiewać nawet o pustym żołądku. Pilna stawała się konieczność zdobycia ciepłej odzieży i butów. Moje nędzne trzewiki kupione u wiejskiego szewca przemakały solidnie, co groziło przeziębieniem. Gardło było w niebezpieczeństwie!

Możliwości występowania na Pradze równały się zeru. A! Je gdyby tak dostać się do Lublina! W Czerwonym Krzyżu na Żąbkowskiej dowiedziałem się, że organizacja ta wysyła do tymczasowej stolicy Polski cięża-owki. Za przewiezienie wraz z synem obiecałem dać la Czerwonego Krzyża specjalny koncert. Nigdy nie zapomnę tej podróży. Jechaliśmy ciężarówką bez plan-i> smagani mroźnymi podmuchami. Ludzie siedzieli w kucki, ściśnięci jak śledzie.

° przybyciu na miejsce udałem się prosto do ka-arni aktorów, w której śpiewałem kilkakrotnie pod-

109

czas okupacji. Jeżdżąc do Lublina na występyj Dyj zarazem łącznikiem podziemia (przekazywałem gazetk' różne tajne dokumenty i także przywoziłem do War' szawy). W jakimś stopniu chroniła mnie tzw. Erlauh nisskarte, dokument władz okupacyjnych zezwalający na występy artystyczne.

W lubelskiej kawiarni spotkałem sporo kolegów Miałem — mówiąc językiem aktorów — efektowne entrée. Na mój widok rozległy się radosne okrzyki powitalne. Wielu zaliczyło mnie bowiem do grona nieżyjących — plotka głosiła, że zginąłem w Powstaniu. Nakarmiony wspaniale wraz z synem przez przyjaciół, zobaczyłem świat w innych barwach. W dodatku pustkę kieszeni wypełnił pięćsetzłotowy banknot. Dla mnie w tamtych czasach — fortuna! Jak zostałem krezurem? Otóż we wspomnianej kawiarni spotkałem arcysympatycznego kolegę z warszawskiego teatryku „Banda”, eks-suflera Lipińskiego. Zapytał na wstępie:

— Mięciu, jak twoje finanse?

— Czuję się jak ostatni nędzarz — odpowiedziałem, Wtedy Lipiński bez zmrużenia oka wyciągnął nowiuteńką pięćsetkę i wręczył mi — „na szczęście”. Banknot rzeczywiście przyniósł mi szczęście. Ledwie bowiem wyszedłem z kawiarni, spotkałem Tadeusza Sutha, uroczego kolegę i świetnego tancerza, który wraz z żoną tworzył słynne przed wojną Duo Suth.

— Co pan tu robi? — zagadnął. — Nie wystąpiłby pan w mojej rewii w Teatrze Miejskim? Moją zgodę Suth przypieczętował banknotem pięć" setzłotowym a conto. Wróciłem czjon prędzej do ka-wiarni i oddałem wielce zaskoczonemu Lipińskiemu dług.

W Lublinie pracowała już normalnie rozgłośnia. P°" siedłem i tam. Okazało się, że dyrektorem jest Jerzy Jurandot, a spikerką jego żona Stefania Grodzieńska,

110

•aciele. Radość ze spotkania była duża. Tak się v\oże w rozgłośni spotkałem Alberta Harrisa, któ-

Zyr7°ed wojną zaczął zdobywać piosenkarskie ostrogi. W pewnej chwili Jurandot powiedział do Harrisa: _ zaśpiewaj Foggowi Piosenką o mojej Warszawie...

Harris, który był zarówno twórcą muzyki, jak i autorem tekstu, zasiadł do pianina (w pomieszczeniu nazywanym szumnie studium radiowym) i zaczął śpiewać... Ze wzruszenia bliski byłem łkania. W dodatku piosenka była śliczna. Moja reakcja wzruszyła obecnych,

wszyscy mieli łzy w oczach. Wspomnienie bohaterskiej Warszawy poruszało każdego głęboko.

Zwróciłem się do Harrisa:

— Jeżeli da mi pan nuty, będę piosenkę śpiewał w Warszawie.

Piosenkarz i autor w jednej osobie wręczył mi je z radością, dając prawo do wyłącznego wykonawstwa. Nie przypuszczałem wtedy, że piosenka Harrisa zabrzmiała tak mocno, tak sugestywnie, śpiewana na tle scenerii zniszczonej Warszawy. Że zrobi taką furorę po jej prawykonaniu w „Cafe Fogg” — najpierw w stolicy, później w Polsce i wreszcie trafi w szeroki świat. Utwór Harrisa śpiewałem w „Café Fogg” i na różnych koncertach niemal codziennie przez pięć lat. Śpiewałem go tysiące razy. Zdarza się, że wykonuję Piosenkę mojej Warszawie i obecnie, na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, z orkiestrą Stefana Hachonia na dużych imprezach publicznych. Utwór ten był w ciągu mojej długiej czterdziestoletniej kariery artystycznej tą piosenką, która wycisnęła śluzom najwięcej łez. I potrafi wzruszyć — wierzcie — Jeszcze dzisiaj miałyśmy spotkanie z Tadeuszem Suthem. Pierwszy występ w rewii. Przedtem wymieniam z synem i •
-”i... spodnie. Byłem wtedy dużo szczuplejszy

111

i ciemne zapasowe spodnie pierwotnego leżały w kącie. Moje własne były solidnie wycierane na « śladkach i nie nadawały się do wystąpienia w programie, w którym bądź co bądź podejmowałem powojenną działalność artystyczną.

Pierwszy występ w teatrze lubelskim, skwitowany spontaniczną reakcją widowni, dostarczył mi szczególnych wzruszeń. Później śpiewałem jeszcze w szpitalu dla rannych żołnierzy. Odżyło wspomnienie pamiętnych koncertów w szpitalach powstańczej Warszawy. W Lublinie występowałem przez trzy tygodnie i właśnie pieniądze zarobione w tamtejszym teatrze zainwestowałem później w „Café Fogg”.

Zbliżał się dzień otwarcia kawiarenki na Marszałkowskiej. Udało mi się nabyć „meble” — ogrodowe stoliki i krzesła — które pochodziły z kawiarni „Na-poleonka” (mieściła się ona na rogu Nowego Świata i Wareckiej). U sufitu zawiesiłem lampę kutą w żelazie, którą „pożyczyłem” sobie z bramy wypalonego domu na Nowogrodzkiej. Wsadzało się w nią lampkę karbidową i przy pomocy linki wciągało pod sufit. To było główne źródło światła w „Café Fogg”. Nastrój podnosiły świece palące się na stolikach.

O wystrój wnętrza postarał się scenograf Stanisław Lipski, który wykorzystał kawałki blachy, drutu i stalowych prętów znalezionych wśród ruin. Ozdobę lokalu stanowiło wspomniane pianino, solidny przedwojenny instrument marki Sommerfeld z Bydgoszczy.

Oficjalne otwarcie „Café Fogg” nastąpiło 4 marca, gromadząc nadkomplet zaproszonych gości. Lokalik posiadał tylko czterdzieści miejsc siedzących, reszta osób musiała wysłuchać mojego inauguracyjnego występu; po na stojąco. Tego dnia kawiarenka wytrzymywała porównanie jedynie z pudełkiem sardynek. Spory tłumek słuchaczy zgromadził się na ulicy.

112

realność artystyczną w wyzwolonej stolicy zainauguruje się rozumieć, Piosenką o mojej Warszawie sposób było się oprzeć ścisnącym wzduszeniu. Śpiewałem — co tu ukrywać — łzy Płakali także moi goście stłoczeni w niewielkim dusznym pomieszczeniu, wypełnionym mdłym zapachem karbidu i dymem z papierosów. Kawiarenka przypominała bardziej knajpę z Dzikiego Zachodu. Tutaj publiczność zachowywała się jednak wytwornie; kilku mężczyzn miało nawet białe koszule.

Cafe Fogg” była otwarta codziennie od jedenastej rano do późnego wieczora. W ciągu dnia miałem trzy wyjścia, śpiewając po dwie—trzy piosenki (przy świetnym akompaniamencie Janusza Białoskórskiego), nie licząc bisów, których nie żałowałem.

Byłbym niesprawiedliwy, gdybym twierdził, że w „Cafe Fogg” czekały na gości jedynie doznania duchowe. Nie zapomniałem, bowiem także o ich żołądkach. W lokalu serwowano świetne potrawy kulinarne, którymi popisywał się jeden z najlepszych przedwojennych warszawskich kucharzy. Darmo by chyba szukać takich smakołyków nawet w dzisiejszych lokalach kategorii „S”. Tak, tak, budowało się zręby stołecznej gastronomii...

Albo trunki. W barku „Café Fogg” reprezentowane były najlepsze alkohole krajowe i zagraniczne. Skąd je miałem? Dostawcami byli warszawiacy, którzy odkopywali ukryte w ziemi przed lub też w czasie Powstania szlachetne trunki. Wódki Baczewskiego, fran-CUS le koriiki i szampany, a nawet szkocka whisky — ystko to można było dostać w „Cafe Fogg”. Pewne-ch d- kupilem od dawnego właściciela Banku Za-- o niego kilkadziesiąt butelek wspañiałej śliwowicy. Polu Fogg” nie stworzyłem bynajmniej mono- na własne występy, chętnie udostępniając mini- Palanta do belcanta

113

-estradekę kolegom. Produkowali się więc tacy 211a artyści, jak Lidia Wysocka, Zbigniew Sawan, Czesia Skonieczny, Feliks Szczepański i Albert Harris.

Pewnego dnia przyjechała do mojej kawiarenki ekin szwedzkiego radia, przygotowująca duży reportaż o od radzającej się Warszawie. Oddzielną audycję nagrano w „Café Fogg”, przy czym gościom ze Sztokholmu ogromnie się spodobała Piosenka o mojej Warszawie. Tekst został później przetłumaczony na język szwedzki i angielski i za pośrednictwem sztokholmskiego radia — w audycji „Kawiarnia wśród ruin” — trafił na fale eteru w Europie i Ameryce. O ile wiem, rozgłośnie obu kontynentów nadawały piosenkę Harrisa jako sztandarowy szlagier powojennej Warszawy. Szef szwedzkiej ekipy radiowej, Manne Berggren, przysłał mi później recenzje z audycji, w których dzienniki sztokholmskie podkreślały osobliwość kawiarni wśród ruin, mówiły o walorach wykonawczych Mieczysława Fogga, wreszcie podnosiły swoisty wdzięk Piosenki o mojej Warszawie. Wyjątkowym wydarzeniem w krótkiej historii „Cafe Fogg” był urządzony tam pierwszy po wojnie „Podwieczorek przy mikrofonie”. Jakże ubogie, skromne były podwoje kawiarenki na Marszałkowskiej w porównaniu z wytworną salą malinową w warszawskim hotelu „Bristol”, skąd nadawano „Podwieczorki” przed wojną. Ale to bynajmniej nie zrażało artystów ani radiowców. Pamiętam jak dziś: głos najpierw zabrał przedwojenny sprawozdawca Polskiego Radia Józef Małgorzewski. Z wyraźnym wzruszeniem zapowiedział radiosłuchaczom w całej Polsce pierwszy po wojnie „Podwieczorek przy mikrofonie”, transmitowany z „Cafe Fogg przy ul. Marszałkowskiej 119. Następnie pan Józef od- dał głos Tadeuszowi Bocheńskiemu, który tradycyjni poprowadził imprezę.

114

nie to zachowało się do dzisiaj w archiwum

Nagfgo Radia, podobnie jak reportaż Kroniki Filmo-Polskiego którym pokazano mnie w dużym zbliżeniu,

^ aiącego Piosenkę o mojej Warszawie. Zbliżenie śpl6W^la filmowanego o tyle niekorzystne, że na brodzie i policzkach miałem wciąż plastry przykrywające rany z Powstania, które długo się goiły.

Po przeszło roku — na polecenie lekarza — zmuszony byłem kawiarenkę zlikwidować. Praca i śpiewanie w zadymionym, ciasnym lokalu zagrażały zdrowiu, a co za tym idzie — także głosowi.

W lokalu kawiarenki, po przeprowadzeniu odpowiedniej adaptacji, zainstalował się elegancki zakład kos-metyczno-fryzjerski „Maja”, który przetrwał tam aż do rozbiórki domu.

Pisząc o „Café Fogg”, nie sposób nie wspomnieć o moim śpiewającym „konkurencie”. Był nim pewien, bodaj całkowicie niewidomy, staruszek, który zainstalował się o miedzę, na

terenie wypalonej posesji, i akompaniując sobie na harmonii podśpiewywał piosenki z mojego repertuaru, z Piosenką o mojej Warszawie na czele. Przechodnie i bywalcy „Cafe Fogg” nie żalowali konkurentowi datków... W mojej biografii odnotuję niedługo po wojnie fakt

jeszcze jednego zaangażowania się w prywatne przedsięwzięcie z „Foggiem w szyldzie”. Mam tu na myśli wytwórnę płyt — Fogg Record, o której mówiłem już

wcześniej. Dodam tylko, że płyty tłoczyło się na Okęciu, w nieopionym Północnym zakładzie... marmolady, odstąpił mi Przewodniczącego właściciela Tadeusza Gocławskiego.

po U. Fogg Record zamknęła się liczbą ponad stu

ladyślebiostwo afiliowane przy fabryczce marmoladzie zmarło śmiercią naturalną, w czym dopomógł mój

115

brak zdolności handlowych; w dodatku produkcji taka nie pociągała mnie na dłuższą metę. Byłem w twórnicy uwiązany jak przysłowiowy pies, tymczasem śniła mi się po nocach dawna włóczka z piósem. Chciałem znowu przemierzać kraj i świat, by w końcu się bez reszty w śpiewaniu przed żywym audytorium. Wkrótce wyruszyłem w Polskę, tę jeszcze nieznaną do czasu na wpół zniszczonych miast i miasteczek Ziem Odzyskanych. I znowu występem towarzyszy) wzruszająca reakcja publiczności uradowanej powrotem Fogg na estradę w latach, kiedy na tzw. prowincji tu i ówdzie pokutowała jeszcze plotka o tym, że zginąłem w Powstaniu.

Wiosną 1947 r. odbyłem pierwszy po wojnie wояж artystyczny za granicę, do stolicy walc — Wiednia. Zapowiadany jako „polski Bing Crosby”, dałem w nad-dunajskiej stolicy jeden recital w sali koncertowej Mozart Saal, przyjęty bardzo dobrze przez publiczność i prasę. Śpiewałem dwadzieścia piosenek, niemal wyłącznie polskich. Wśród widzów znajdował się znany amant polskiego filmu Aleksander Żabczyński, ubrany w mundur oficerski. Znakomity aktor był w drodze do kraju.

Po wiedeńskim występie impresario zaproponował mi recitale w Grazu, Linzu i Salzburgu. W tym ostatnim mieście miałem śpiewać w Mozarteum. Przedtem musiałem się jednak zaprodukować przed czymś w rodzaju jury. Mozarteum było uświęconym tradycją przybytkiem; z drugiej strony — występ w jego dostojnych progach stawał się dla artysty cenną wizytówką.

Przyjąwszy wyzwanie, stanąłem przed frontem P1? ciu czy sześciu siwych dżentelmenów (niektórzy z brodą), jakby żywcem przeniesionych z epoki Franciszka Józefa. Zaśpiewałem bodaj trzy utwory, w tym- P1* senkę partyzancką. Panowie z czasów Franza Joseph*

11C

116

wrodzoną im dystynkcją, oklaskiwali mnie zgodnie z ich z namaszczeniem kiwali głowami, za zgodzie z impresariem okazali się nader twardzi w komplementach. Widownia salzburskiego Mozarteum była jedną z najcenniejszych sal, w jakich dotychczas śpiewałem.

Wyteo godny fraka, ja zaś miałem na sobie dwurzędowy iemny garnitur uszyty z sukiennego materiału... słuącego do przesiewania mąki w młynie. Nabytek z jakiegoś śląskiego miasteczka. Materiał ufarbowany później na granatowo dostał się na szczęście w ręce świetnego warszawskiego krawca, który uszył mi wystrzałowe ubranie, pierwsze po wojnie. Nie wolno w nim było tylko siadać — bardzo się gniołło. Należało więc unikać bankietów, bez których w Austrii jednak się nie obešlo.

Na koncert w Mozarteum przybyła spora liczba Polaków, którzy narzucili sali nastrój.

Austriacy zachowujący się początkowo z pewną rezerwą dali się dość szybko wciągnąć w

gorącą atmosferę widowni. Skąd na sali Polacy? Niedaleko Salzburga znajdował się obóz dipisów, w którym śpiewałem jeszcze przed koncertem publicznym. Teraz rodacy licznie stawili się także w Mozarteum.

Niedługo potem wystąpiłem ponownie przed dipisa->ni w imprezie urządzonej pod auspicjami Polskiej Misji Repatriacyjnej w Austrii (Delegatura na brytyjską strefę okupacyjną). Śpiewałem mianowicie w obo-dipisowskim UNRRY w Villach, gdzie znajdował >• in. ośrodek polski. Sala zwana szumnie teatralną uesciła się w blaszanym baraku, tzw. beczce śmiechu, na lm samym, w jakich mieszkali dipisi. Duchota w grzanym słońcem pomieszczeniu była nieprawdopolea moim recitałem rozeszła się wiadomość, że to...

117

„nie Fogg przyjechał, ale prelegent z kraju, poc> się za Fogga i mający w ten podstępny sposób ^ wać za powrotem do Polski. Rzekomy Fogg oczy | nie będzie śpiewał, ograniczając się do wykładu n ' gandowego"...

Komuś widać zależało, żeby zasiać między mna • dakami ziarno nieufności. Wobec takiego dictum d' wysłali forpoczty. Gdy o oznaczonej godzinie rozpoc leł występ (na widowni obecni byli m. in. przedstt wiciele brytyjskiego dowództwa wojskowego i W }ad, okupacyjnych), „sala teatralna" zaczęła się szybko wy. pełniąc najbardziej nieufnymi, którzy czatując przrf „beczką śmiechu" usłyszeli głos śpiewaka, głos wieb z nich na pewno bardzo znany.

Skończyło się wszystko na łzach wzruszenia (tu była już także dobrze znana Piosenka o yiojej Warszawie W rozmowach wielu dipisów wyrażało chęć powrotu w niedalekiej przyszłości do kraju, inni już się do tegt powrotu szykowali. Padały pytania w rodzaju: „jaka właściwie jest ta Polska?" Zetknąłem się także z żołnierzami i cywilami, którzy byli słuchaczami moich zaimprovizowanych koncertów w czasie Powstania. Cii dopytywali się przede wszystkim o Warszawę, pragnęli wiedzieć, czy ten i ów żyje, czy zachowała się taka a taka ulica, a nawet ten czy inny dom. Widzieli flł mnie człowieka, który musi wiedzieć o Warszawie wszystko. Absolutnie wszystko.

Po blisko czterotygodniowym pobycie w kraju nad Dunajem wyruszyłem z powrotem do Polski. Przy po* zegnaniu szef delegatury na brytyjską strefę okupacyjną (przy Polskiej Misji Repatriacyjnej w AustrW kpt. Stanisław Pastuszyński wręczył mi oficjalnie hs z podziękowaniami, w którym wyrażał wdzięczność ; honorowe występy. Czytałem tam m. in.: „...WłóżJ Pan swój cenny wkład w naszą niełatwą pracę repa'

lin

118

obczyźnie. W naszym życiu tutaj recital

triacyjn^ n.a Jada atrakcją, z którą łączą się wspomnie-ow wysokiego poziomu artystycznego teatrów "skich doszczętnie zniszczonych przez barba-"^nawałę hitlerowską... Cel recitalu został też "Towicie osiągnięty, gdy chodzi o wytworzenie w pol-!! h ośrodkach momentów uczuciowych nierozerwal-i° więzi z ojczyzną. Żegnając Pana życzę nowych sukcesów w kraju i za granicą na chwałę słowa polskiego, uskrzydłonego w piosence..."

Po powrocie nie próżnowałem zbyt długo. Spakowałem manatki i — znowu „skok w Polskę". Tym razem trasa tournse wiodła szlakiem Dolnego Śląska. W jednym z miasteczek produkowałem się w salce, która została jako tako doprowadzona do stanu używalności po wojennym zniszczeniu. Śpiewałem właśnie piosenkę Błękitne oczy, gdy z rumorem zważyło się na mnie coś ciężkiego. Początkowe przerażenie ustąpiło miejsca rozbawieniu, gdy

zobaczyłem u moich nóg może dziesięcioletniego chłopca, który po chwili się podniósł i zaczął rozcierać potłuczone członki.

Cóż się okazało? Młodziutki meloman, chcąc sobie zapewnić miejsce na imprezie, ukrył się wcześniej na c:zymś w rodzaju stryszku, mieszczącym się tuż nad ceną. Zbutwiała prawdopodobnie belka czy deska za-*ła się i nieletni widz poleciał w dół. Dobrze cho-az, że z niewielkiej wysokości i wprost na mnie, co osłabiło siłę upadku. Musiałem oczywiście przerwać enkę. Także dlatego, by wstawić się za chłopcem rozgruewanej publiczności. Udało mi się wybronić

We^T^0 melomana-

wał6 rocla™iu> mieście ogromnie zniszczonym, śpie-

niemie T' ^ istnie^cei Juz dzisiaj sali dawnego teatru

w ty ' §0 Przy ul. Świerczewskiego. Korzystałem

esie z usług prywatnego organizatora imprez,

119

(Tadeusza Konczyńskiego, który zamiast pieniędzy musiał niejednokrotnie przyjmować prod" żywnościowe, głównie wędliny. Ale zdarzyło si moi wielbiciiele przynosili w lnianych woreczka'h" cukier i kaszę. Wspomniany Tadeusz Konczyński or nizował — w latach 1948-1950 — imprezy ze Wsdój udziałem Wiecha i znanego iluzjonisty Nemo. Ja wa wałem w tej ekipie półrecitale. Mielśmy wszędzie duże powodzenie. Później związałem się w moich wozajach artystycz-nych ze świeżo powstałym Państwowym Przedsiębiorstwem Imprez Artystycznych „Artos", które patronowało występom estradowym. Dopóki jeździło się w okresie miesięcy niezimowych, podróże były znośne. Gorzej, gdy wozaje i występy przypadają na zimową porę roku. Igrało się po prostu z własnym zdrowiem. Należałem jednak do tych maniaków, którzy dla umiłowania zawodu nie wahali się sypiać w nie opalanych pokojach hotelowych i drzeć z zimna w garderobach, przeważnie prowizorycznych i niemal zawsze lodowatych. Ileż to razy koleżanki i koledzy musieli występować w grubych swetrach. Ja śpiewałem w... palcie. Na widowni — ludzie w waciakach i butach filcowych. Potrzeba jest matką wynalazków. Właśnie w tym pionierskim okresie wozajowania z piosenką po antypodach Polski wymyśliłem „genialną" (nie chciano nu jej jednak opatentować!) metodę ogrzewania garderób. Zabierało się więc w drogę kilka miednic i parę litrów spirytusu denaturowanego. Łatwo się chyba domyślić-na czym polegała moja metoda, którą nie bez racji nazywano igraniem z ogniem. Gdy w miednicach pełgały wesoło fioletowe języki, dyżurny strażnik zajmował czujną pozycję przy gaśnicy. W takiej to zakulisowej Nocy Walpurgii (nieomal!) odbywały się występy-Wspomniałem już o hotelach, które były moim dru-

120

To oddzielny rozdział w wozajach po kra-gim dome™j ch powojennych latach działalność nie-jU' ^hoteli daleka była od tego, co nazywamy kul-

ylsłuei czy wyjściem gościowi naprzeciw, ^ilka kwiatków" z tej łączki. Na przykład w Gru-dzU "w hotelu „Dworcowym", o godzinie ósmej im w' ten sposób przypominało się gościom, że doba hotelowa się skończyła: __ Wychodzić! No, ale już!!!

A tej uprzejmej prośbie towarzyszyło łomotanie do drzwi, które podniosłoby na nogi — jak twierdził towarzyszący mi znany krakowski satyryk Bogdan Brzeziński — nawet dwunastu braci śpiących...

Jeszcze innym rozdziałem w przygodach odważnych podróżników-artystów po Polsce była w owych czasach sprawa wypełniania kart meldunkowych w hotelach. Trafiali się portierzy, którzy polecali je natychmiast wypełniać. Bywali i bardziej ludzcy, pozwalający utrudzonemu pątnikowi chociaż umyć się i rozpakować.

Skoro już jestem przy tym temacie, opowiem zdarzenie, które chociaż brzmi jak anegdota, jest autentyczne. Niektórzy popularni artyści łudzą się, że ich nazwisko jest znane

wszystkim, ale to dosłownie wszystkim. Powtarzam: łudzą się. Oddam sobie tę sprawiedliwość, że osobiście takiemu złudzeniu nie ulegam. Pewnego razu w schludnym hoteliku „Polskim” w Sandomierzu, rozpakowując się, opowiadałem wspomnianemu już satyrykowi Brzezińskiemu jakąś anegdotę dowodzącą, że wiara w absolutną popularność sto przynosi przykre rozczarowania. Nagle ktoś za-Wszedł stary portier, położył przede mną dwie Kartki! meldunkowe i powiedział:

Tę kartkę niech pan wypełni, a ta druga jest dla

WOPana Foki czy 3ak mu tam!

jaze po kraju ubarwiały różne zabawne zdarzenia

121

„v^x uyKieryjek. Rej wśród dworce piwoszów wodził barczysty obywatel o wyglądzie M nika. W pewnej chwili rzucił t»*~—'

—^ uarczysty obywatel o wyglądzie rzeź. nika. W pewnej chwili rzucił niespokojnie okiem a moim kierunku, potem jeszcze raz i jeszcze raz. Wre. szcie wstał, skłonił się z nieporadną galanterią i n^ wiedział:

— Niech ojciec duchowny wybaczy te wyrażonka ale ja już mam taką niewyparzoną gębę!

Gdy występowałem w 1951 r. po raz pierwszy w Nowej Hucie, udało mi się zdobyć wstępnym bojem tamtejszą publiczność. Junacy SP położyli się na szosie, aby zatrzymać mój samochód i wymusić jeszcze jedną piosenkę na pożegnanie.

Pewnego razu przyjechałem na koncert do Poznania. Rano w dzień występu nadszedł z Warszawy pilny telegram wzywający mnie w bardzo ważnej sprawie. Co robić? Bilety na wieczór wyprzedane, a publiczności przecież nie można zrobić zawodu. Pomoc przysłała nieoczekiwanie, ze strony podoficera lotnictwa Szymańskiego, gitarzysty zespołu „7 Kier” powstałego bodaj w 1947 r., pilota, który w czasie wojny uczestniczył w bitwie o Wielką Brytanię. Szymański postanowił polecieć ze mną na lekkiej maszynie typu „Peiper” do Warszawy. W drodze powrotnej musieliśmy ładować dla nabrania paliwa, lecz mimo to zdążyliśmy na wieczorne przedstawienie, co prawda w ostatniej chwili—Gdy wchodziliśmy z Szymańskim na estradę, kon-feransjer Tadeusz Bocheński właśnie zapowiadał, że „Mieczysław Fogg dzisiaj nie wystąpi”. Powitały „aS 122

klaski i okrzyki, wśród których nie brakło za-

Niech żyje Aeroklub Poznański! ~~ zemierzając wzdłuż i wszerz Polskę, ani się >P jak wybiła godzina dwudziestopięciolecia 'artystycznej. Jubileuszowy koncert odbył się 29 CJ - 311954 r. w warszawskiej Hali Mirowskiej. ^Uchodzę za szczęściarza, więc los najwyraźniej po-I0wił spłatać mi figla. Styczniowa zima anno 1954 była bardzo łagodna, ale właśnie w dniu jubileuszu Warszawa skostniała z zimna. W południe termometry wskazywały minus 28 stopni! Mróz sparaliżował komunikację, więc wyprzedana do ostatniego miejsca widownia długo zapełniała się spóźnionymi. Oczywiście odczekałem sporo minut, zanim ostatecznie zdecydowałem się wyjść na skromną drewnianą estradę. Przyglądając się wcześniej publiczności przez szparę, stwierdziłem, że widzowie raczą się napojami przyniesionymi w termosach. Później zdradzono mi sekret. Sporo osób zaopatrzyło się w krupnik i grzane wino z korzeniami. O tyleż gorętszy stał się nastrój na widowni. Ze wzruszeniem spoglądałem na siwą panią w pierwszym rzędzie. Była to moja siedemdziesięcioletnia matka.

Jubileuszową sielankę zakłócił nieoczekiwany „salut”. W pewnej chwili pękła nad moją głową tysiącwatowa żarówka, powodując huk podobny wybuchowi granatu. Rutyna i opanowanie „powstańczego trubadura” spra-iy. ze nie przerwałem piosenki mimo sypiącego się z sufitu szkła i poruszenia na sali. Rozległy się głośne oklaski.

Kulminacyjnym punktem imprezy było otrzymanie

| wiceministra Kultury i Sztuki, Jana Wilczka,
ledz723 Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski. Ko-
rwar ISWletniaJący swoimi występami jubileusz po-
St0 i t 5 na re-ce * zaczęli podrzucać przy wtórze
1 zamtonowanego przez publiczność.

123

Recital w Hali Mirowskiej mogłem odnotować
tylko jako duży sukces artystyczny; był on zaraz
potwierdzeniem wielkiej sympatii, jaką przez lata It
riery pieśniarskiej zaskarbiłem sobie u publiczności
Otrzymałem mnóstwo kwiatów, także kosze bu. Jf
stety, w czasie przewożenia do domu kwiaty zmarzhr
więc następnego dnia zostały mi same kosze... Nie lepiej*
było z jubilatem: śpiewanie w mroźnej sali miało ten
skutek, że zachryłem na amen. Przez blisko tydzień
nie mogłem mówić.

W pierwszych dniach po jubileuszu najczęstszym gościem w moim mieszkaniu był listonosz.
Korespondencja z gratulacjami była nadspodziewanie bogata. Nie zabrakło listów i depesz z
zagranicy.

Chciałbym w tym miejscu zacytować list od pewnej warszawianki, który mnie wzruszył
szczególnie. Pisała ona m. in.:

„...Myślę, że powinno to Panu sprawić przyjemność, że tak wiele ludzi otacza Pana sympatią,
że tak wielu ludziom przyniósł Pan przez te lata tyle miłych chwil, pozwolił Pan doznać tylu
przeżyć, że w chwili Pana jubileuszowego święta ludzie ci nie wstydzieli się objawiać łez w
przepelnionej sali, słuchając Pana śpiewu brzmiącego tak pięknie i młodo...

...Umiał Pan, Drogi Panie Mieczysławie, znaleźć drogę do serc ludzkich, a to niemała jest
rzecz i niecodzienna. Dlatego też na Pana jubileuszu swoim przeglądem starych piosenek
potrafił Pan wzbudzić tak serdecznie wspomnienia dawno zapomnianych chwili dawno
przeżytych, którym towarzyszyły Pana piosenki> i potrafił Pan wyczarować w sercach ludzi
zebranych na sali powrót do czasów ich młodości. A czyż jest coś lepszego na świecie niż
własna młodość?...

...Warszawa jest chyba najżywiej do Pana przywiS" zana i najbardziej zżyta, najbardziej
wdzięczna za tyle 124

i doznawanych w ciągu długich, długich lat -"ci żkich dniach Powstania — dzięki Pana pic-
SenkTT' zakończenie chcę opowiedzieć Panu, jak to podczas pobytu w obozach
koncentracyjnych

rolnych chwilach (jakże rzadkich), kiedy niesamo-W.ta wręcz ogarniała człowieka tęsknota
do «ludzkiego

cia» w grupie warszawianek, w której się znajdowałam, nieraz padało nazwisko Pana i
robiłyśmy «przegląd» repertuaru Pana piosenek. Śpiewałyśmy «so-lo» ochrypniętymi
głosami, ale za to z wielkim wzruszeniem i starannością, by jak najwierniej oddać nastrój
zapomnianej wolności. I zaraz w «sztubie» robiło się jakoś cieplej, serdeczniej i... znośniej.
Zdawało się, że nasze życie na wymaginowanej wolności zaczynało się rytmem Pana
piosenek... Naraz zniknęła «sztuba», nikły druty, esesmani, zacierała się gdzieś groza «dy-
miącego komina*. I za to ma Pan w moim sercu osobny kącik. Ale to już inna historia — jak
by powiedział Kipling..."

Był to niewątpliwie najmilszy z listów, jakie otrzymałem po jubileuszu, jeden z najbardziej
wzruszających w całej mojej karierze.

Wśród nadawców depesz gratulacyjnych znalazła się Mieczysława Ćwiklińska, b. ambasador
polski w Londynie Eugeniusz Milnikiel z rodziną, znakomici aktorzy erzy Leszczyński i

Wojciech Brydziński (ten ostatni eszował: „śpiewaj tak pięknie, Kochany Dziadku, r!ZCZe dluSie iata”), Mira Zimińska i Tadeusz Sygie-tele2rfZnana SP°lka satyryczna Gozdawa i Stępień Pisani I^31 "Wzruszenie nie pozwala nam na nawo u 61 ^ Two^ą cześć stoP Pozwól się jubileuszto-to zaw* °WaĆ i pami?taJ' że choćby tam nie wiem co Steff6 naSZa nadzieJa w Foggu".

1 Gr°dzińska przysłała depeszę rymowaną:

125

„Na dwudziestopięciolecie życzę dużo ecie pecie życzeń Drogi Mięciu już przy pięćdziesięcioleciu" p^ niez w rymy ubrai swoją depeszę Jerzy Jurand l Pokażcie mi jeszcze kogoś Tak lubianego jak Fogguś Jubilat nieco na opak Już dziadek, a jeszcze chłopak I taki zostań nam Mięciu W następnym dwudziestopięcioleciu. Z uznaniem przyjęła jubileuszowy koncert prasa Jeden ze sprawozdawców oceniając mój występ sięgną} do... analogii zoologicznej.

....Fogg — pisał on — ma swoisty sposób podawania

niektórych piosenek... Fogg nieruchomieje, śpiewając jak ptak podczas miłosnego tokowania..." Inny dziennikarz tuż przed występem rzucił pytanie:

— Chciałbym bardzo wiedzieć, co pan, panie Mieczysławie, sądzi o swoim śpiewie?

— O moim śpiewie... — zamyśliłem się na chwilę. — Nie wiem, czy śpiew mój, zależy to też od rodzaju piosenek, w równym stopniu podoba się wszystkim. Wiem jednak, że śpiewem moim nikomu nie przeszkadzam.

Dałbym głowę, że ów dziennikarz posądził mnie o kokieterię.

W jakiś czas później przedstawiciel jednej z gazet stołecznych złożył mi wizytę w domu. Był zdziwiony ruchem, jaki panował w mieszkaniu. W czasie rozmowy odwiedziło mnie bowiem kilkanaście osób: sąsiedzi, znajomi i nieznajomi. Cel tych wizyt? Przychodzili telefonować. Do gazowni, gabinetu ministra i elektrowni, do siostry i męża. Wyjaśniłem dziennikarzowi, że jestem jednym z niewielu posiadaczy telefonu w kamienicy. Potem, gdy odprowadziłem mojego gościa, pokazałem mu na dole klatki schodowej napis, zawie-126 nrzez administrację: „W razie pożaru tej sZony tam przez fon u Fogga- gukces zmobilizował mnie jeszcze bą("racy Wkrótce znowu spakowałem wali?^

dZieJrus°zy^m na kolejne t0UrnSe P° krajU Z Pr°g\'

1 Tm Dt 25 lat piosenki.

Często wybierałem się „w Polskę" własnym sany hodem. Zdradzę, że jestem starym wygą automobil.

Nie brałem wprawdzie udziału w żadnym rajdz^

W^ ch ba niewielu w Polsce kierowców-amatorów ny żebsię pochwalić taką liczbą kilometrów przejechany^ w swym życiu.

Niedługo po jubileuszu dwudziestopięciolecia prą, artystycznej stałem się posiadaczem „IFY", która bjl, moim czternastym już wozem. Prawo jazdy posiad^ od 1919 r., a pierwszym własnym samochodem k „Citroen", kupiony w dziesięć lat później. Nawiasy wspomnę, że do dzisiaj nie miałem ani jednej krak> może dlatego, że nigdy nie siadam za kierownicą na% „po jednej wódce".

Ponownie w Ameryce

Jakoś na początku 1957 r. zjawił się w Warszawie polonijny impresario Wojciech Cioromski i zapropono-wał mi tournće po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie Zgodziłem się. Gdy z końcem września opuszczałem Polskę, uświadomiłem sobie, że czeka mnie długa rozłąka z krajem. Miałem w kieszeni kontrakt na blisko półroczne występy na Zachodzie, gdyż w międzyczasie polonijny impresario z Londynu Eugeniusz Nako zaangażował mnie na szereg recitali w Anglii i Francji. Trzecią już podróż za Ocean Atlantycki odbyłem na „Queen

Elizabeth". Przedtem udałem się z Warszawy do Paryża, skąd specjalnym pociągiem dla pasażerów statku dotarłem do Hawru. Tam wsiedliśmy na stateczek, który dowiózł nas do „Queen Elizabeth”, stojącej na redzie. Lało jak z cebra, ale mimo to wyszedłem na pokład i wtedy ujrzałem olbrzymie cielsko transatlantyku, jarzącego się mrowiem świateł. Wielkością masy był chyba równy trzem warszawskim Cedetom. Na statku znalazłem jeszcze jedno potwierdzenie gigantycznych rozmiarów „Queen Elizabeth”: w głąb statku kursowały windy łączące bodaj dziewięć pięter!

Porównywałem „Queen Elizabeth” z francuskim stal kiem „Ile de France”, którym odbyłem pierwszą podróż do Ameryki w 1936 r. z Chórem Dana, i ocena wypadła ze wszech miar korzystniejszej dla transatlantyk”

angielskiego. Moje dolce far niente na „Queen Elizabet 123

i nrrzerwane któregoś z pierwszych dni, gdy zo-Z ° odkryty przez amerykańskich „Polonusów” ^Tszony do małego koncertu.

porcie nowojorskim oczekiwał mnie Wojciech rioromski oraz jeden z moich przedwojennych impre-u-iów Jerzy Starczewski. Byłem pierwszym po wojnie niskim artystą, który przybywał na występy do Stanów Zjednoczonych z kraju.

Chociaż od mojego ostatniego pobytu w Ameryce minęło dziewiętnaście lat, czułem się, jakbym opuścił ten kraj zaledwie wczoraj. Zaimponowałem Ciorom-skiemu dobrą pamięcią i zmysłem orientacyjnym poruszając się po Nowym Jorku, Chicago i innych odwiedzanych miastach ze swobodą człowieka, który tu często bywa.

W Nowym Jorku zatelefonowałem do Jana Kiepuru, który rezydował z Martą Eggerth i dwoma synami w eleganckiej podmiejskiej miejscowości Rye. W centrum Nowego Jorku Kiepurowie mieli szesnastopiętrowy dom czynszowy, który „wyśpiewali sobie” występując w czasie wojny na Broadwayu w Wesołej wdówce Lehara. Operetka szła bitymi kompletami bodaj przez dwa lata, co podobno zaskoczyło największych speców od broadwayowej rozrywki. Tylko z wielkim trudem rało się Kiepurze namówić jednego z producentów > sfinansowania tego przedsięwzięcia. Zresztą sam pura stanął przed koniecznością poniesienia ryzyka, bowiem zainwestować w Wesołą wdówką część <y<* Pieniądzy. Jeśli prawdą jest, że Jasio miał Pie°ki' co mu serdecznie przypisywano, Kie-p°WS,ki "nos" i ty™ razem nie zawiódł.

don t W Rye było Przemile- Kiepurowie żywo ywali się o Polskę, a z ich słów przebijała ogrom- u ę ??ta do kraju. Uderzyło mnie to szczególnie arty, bo przecież uczucie to było u naszego ts do holt-sint*

12B

rodaka w pełni zrozumiałe. Kiepurowie zapowiM rychłe odwiedziny w Polsce.

W czasie gościny zaproponowałem odśpiewanie im, piosenek, których moi gospodarze na pewno nie zn Były to utwory partyzanckie i wykonywane w oku wanej Polsce. Propozycja została przyjęta z aplauZe Gdy doszedłem do piosenki Przemoczone pod plec kiem osiemnaście lat, zauważyłem, że pani Marta za czyną ocierać oczy. Również w oczach Kiepuru, któ-rego zawsze miałem za człowieka opanowanego, pokazały się łzy. Dopiero po latach zrozumiałem jeszcze pełniej jego tęsknotę do Polski, jego umiłowanie kraju, co uwidocznilo się m. in. wyrażeniem woli, by po śmierci został pochowany w Warszawie.

Oczywiście rozmawialiśmy z Kiepurą o wszystkim, co związane było ze śpiewaniem. Mógł na ten temat -podobnie jak ja — mówić godzinami. Konwersację pogłębiała jego świetna znajomość medycyny. W schorzeniach gardła, nosa i uszu był „obkuty” chyba lepiej niż niejeden lekarz-specjalista. Stąd przyczyny jego ascezy: Kiepura nie pił i nie palił. Unikał, jak diabeł święconej wody, zadymionych pomieszczeń i ludzi palących.

W trosce o sprawność strun głosowych skonstruował urządzenie do ich kontrolowania. Polegało ono na układzie dwóch miniaturowych lusterek ustawionych pod pewnym kątem. Jedno z nich sprzęgnięte z zapaloną żaróweczką maestro wsuwał do krtani i widział swój „warsztat pracy” jak na dłoni. Kiepura doszedł w tym zabiegu kontrolnym do niebywałej sprawności. Próbowałem bez skutku i ja, krztusząc się niemiło* siernie.

W wiele zabawnych momentów obfitowało każdorazowe spotkanie z Pawłem Prokopieniem, który Prze' bywał w tym czasie w Nowym Jorku. To jedna z naj

130
wch postaci w galerii polskich artystów,
banwiejszy ^ urokU) fantazji, brat łata. Ujmował
Ck kresowym gestem i otwartym sercem.

• tałem Prokopieniego jeszcze w czasów, gdy za-
Tsfe uczyć śpiewu. Ten syn rolnika przyjechał
^Nowogródka do Warszawy i zamieszkał na stacji
ożnego gimnazjum Kulwiecia w kamienicy nr 8
t placu Trzech Krzyży. W domu tym byłem admini-
tratorem, pracując równocześnie na stacji miejskiej
PKP.

Prokopieszka” chodził w tym czasie na naukę śpiewu do profesora Brzezińskiego, a że był biedny jak mysz kościelna, znakomity ten pedagog uczył go przez jakiś czas za darmo, odkrywając w synu ziemi nowogródzkiej duży talent. Paweł był obdarzony pięknym barytonem. W latach pełnej dojrzałości artystycznej produkował się na scenach operowych Polski, Włoch, Argentyny, Brazylii i Stanów Zjednoczonych. Niezrównany był w romansach rosyjskich i cygańskich.

Po moim nowojorskim występie, przyjętym niezwykle gorąco przez polonijną (i częściowo amerykańską) publiczność, Prokopieni zaprosił mnie do słynnej dzielnicy miejscowej bohemy Greenwich Village, a później znanej w świecie restauracji „Asti”. Po drodze w taksówce swoim tubalnym głosem, zatrącając kresowym akcentem, chwalił się:

? tTiT0' Mieciu> kco ci najgłośniej śpiewał dzisiaj Sto ""• No, powiedz kto! ProkopieeniL.

| > ao której to restauracji mistrz Prokopieni

nać°z t mnie ^ k°lac;ie' był t0 eleSancki lokal sły-nierz ^dk^0' ^ podawali tu do stołu kelnerzy obdarzeni śpiew ° pięknymi głosami. Najczęściej bezrobotni ^zględ? °Zy Chórzyści ba-dź iudzie, którzy z różnych C0 .nie zd°lali pokończyć studiów wokalnych.

l<n czas kelnerzy przerywali podawanie po-

131

siłków, stawali na małej estradzie — solo]UJ duet, tercet czy kwintet — i dawali popis woli Z fotosów zdobiących gęsto ściany lokalu spoS] na nich sławy amerykańskiej i światowej wokali Zdjęcia opatrzone były dedykacjami z autograf słynnych mistrzów belcanta, którzy bywali i by^ w „Asti”.

Słuchałem z zapartym tchem pięknie wykonane przez kelnerów-śpiewaków kwartetu z Rigoletta, a nu niej arii z Madame Butterjly, pewnie i wdzięcznie » śpiewanej przez młodą Hawajkę serwującą w „Asti” niedoszlą gwiazdę sceny operowej. A może czekała* odkrycie? Tymczasem Paweł zamawiał mnóstwo alkoholi oraz wymyślne zakąski i potrawy. Uznałem za stosowne zwrócić mu uwagę, że wyjdziemy z „Asti” zrujnowani — Nic się nie bój, Mieciu — odrzekł. — Jesteś przecież moim gościem.

Powiedziawszy to wstał od stołu, wszedł rażno na estradę i odśpiewał parę romansów cygańskich i rosyjskich — po rosyjsku. Opuszczał estradę przy gromkich brawach i wołaniu o bis. Wróciwszy do stołu powiedział:

— Mięciu, już zapłacone!

I rzeczywiście: tego wieczoru nie podano na nas? stolic rachunku.

Już w hotelu przypomniałem sobie zdarzenie z jesieni 1939 roku, związane z osobą ProkopieniegO' W czasie wojennej wędrówki dotarłem przez Zbaraż do Lwowa. Tamtejsza Opera stała się miejscem spotkań artystów, którzy uszli z terenów zajmowany przez Niemców. Właśnie w Operze zorganizowa punkt doraźnej pomocy dla uciekinierów spod znai bohemy.

Najważniejszą personą zdawał się tu być onże t

132

- który rażno pomógł w zorganizowaniu "darmowymi posiłkami i sobie tylko wiadomym sposobem" bobera wyczarował deputaty żywnościowe.

potkanie było bardzo serdeczne. Ponieważ, do Lwowa w zdartych butach, zaraz po przystaniu oświadczyłem Prokopieniemu:

Pawęku, muszę oddać buty do podzelowania. pożycz mi jakąś parę na dwa dni.

^

Prokopieni bez wahania wyciągnął z walizki dość już sfatygowane buciki. (A stopę miał taką, że musiałem napchać do szpiców po pół paczki waty).

W trzy dni później, gdy oddawałem Pawłowi trzewiki, ten powiedział z uśmiechem: —

Mięciu, oddaj je biedniejszemu, ja już mam nowe. Z Nowego Jorku udałem się na występy do Chicago. Tam wpadłem prosto w ramiona świetnego przedwojennego piosenkarza Tadeusza Faliszewskiego, u którego się zresztą zatrzymałem.

Pewnego dnia zadzwonił telefon. Jakiś mężczyzna wymienił szybko swoje nazwisko, tak szybko i jakby nerwowo, że prosiłem przy końcu rozmowy o powtórzenie. Po przedstawieniu się mój interlokutor zaczął opowiadać — oczywiście po polsku — fragment swojego życiorysu, w którym byłem mimo woli i ja umiejscowiony. Okazało się, że gdy przed wojną śpiewałem bodaj Łucku, inżynier Jan Czaki, wówczas słuchacz Polim Warszawa, przebywający tam na letniej kolęd, stał się za kulisy i oświadczył, że on i jego chcieliby nie mieć pieniędzy na mój występ. A bardzo rzadko usłyszeć »na żywo« swego ulubionego pleśniałem, taka deklaracja była zobowiązująca: zaprosiłem

Warszawskich studentów do pierwszego

lat później inżynier Czaki trafił do Ameryki,

133

gdzie stał się cenionym projektantem i budów i tuneli podziemnych. Piastował także funkcje Towarzystwa Polonia—Technika, raczej ekskluzywna organizacji skupiającej polonijną inteligencję i polityką.

Pólr,

Inżynier Czaki prosił mnie o wystąpienie na balu organizowanym pod auspicjami jego J warszyszenia w znanym i wytwornym nowojorskim, hotelu „Plaża”. Cóż, nie odmówiłem Czakiemu kiedy w Łucku, nie byłem w stanie odmówić teraz — pół wieku — w Nowym Jorku.

Ku mojej wielkiej radości, na balu w hotelu „Plaża” produkowała się orkiestra pod batutą Henryka Golda, ileż to płyt nagrałem w Warszawie z jego znakomitym zespołem! Latem 1939 r. Gold wyjechał ze swoją orkiestrą bodaj „Batorym” do Stanów i wojna odcięła mu drogę powrotu.

Mój występ został przyjęty bardzo gorąco. Musiałem wielokrotnie bisować. Publiczność odśpiewała mi Sto lat. Tego wieczoru miałem ponownie wrócić na estradę, tym razem w

charakterze konferansjera. Zmuszono mnie do objęcia tej funkcji gromkimi brawami, kiedy odkryto na sali Jana Kiepurę. Poproszono mnie o przy witanie znakomitego rodaka i... sprowokowanie do zaśpiewania. Kiepura nie dał się długo prosić. Wszedł rai' no na estradę i popisał się pięknie wykonaną arią Stefana ze Straszego dworu. Był naprawdę w świetnej formie.

Turę amerykańską wiodącą z północnego wschodu aż po Florydę odbywałem samochodem, początkowo difl żym, czarnym Oldsmobile'em prowadzonym na zmianę z impresariem Cioromskim.

Po kilkuset kilometrach jazdy Oldsmobile nagle 0 mówił posłuszeństwa, i to na ruchliwej autostrada Mechanik z zaalarmowanej Pomocy Drogowej stwift

134

ważnemu defektowi uległa skrzynia biegów.

aięłaby sporo czasu, a tutaj za kilka go-
tfaprawa z J^ ^ dQŚĆ odległym mieście. Widownia

"" rzedana, w dodatku artystę z kraju oczekiwał

^iSife powołany komitet honorowy.

resario z ołówkiem w ręku — z prędkością kom-1 dokonał kalkulacji, uwzględniając takie ele-nJ! jak koszt nowej skrzyni i jej zainstalowania, "raz straty wynikające z niedojścia do skutku występu. Zapytał następnie o cenę nowiutkiej Chevrolety stojącej w salonie samochodowym obok stacji naprawy, odjął Od wymienionej ceny sumę, jaką zaproponowano mu za używany Oldsmobile, pomedytował najwyżej pięć sekund i... po chwili siedzieliśmy już w dziewiczym

wozie!

Program przygotowany na Amerykę nosił tytuł Z Nowego Świata — w Nowy Świat i obejmował trzydzieści piosenek. Z największym aplauzem przyjmowano moje najstarsze szlagiery oraz piosenki okupacyjne i partyzanckie. Utwory o tematyce związanej z wojennym dramatem Polaków miały szczególnie mocny rezonans zarówno u rodaków, obywateli amerykańskich, którzy śledzili wydarzenia w okupowanej Polsce za oceanem, jak i tych, którzy w kraju przeżyli lata okupacji niemieckiej, a w Ameryce znaleźli się dopiero po ojnje. Dla pierwszych moje piosenki były w jakimś topniu przyczynkiem do poznania nastroju kraju oj-Zysteg, °_ ciemzonego, ale jednocześnie walczącego z najeżdźcą -. dla drugich stanowiły przypomnienie ^ych dramatów i chwil triumfu. Nie było chyba za k i' W którym P° występie nie odwiedziliby mnie uisami uczestnicy Powstania Warszawskiego. To Prars°aZCZUlaJąCe spotkania.

* Pol°nijna poświęciła dużo miejsca moim wy-

135

stępom nie szczędząc słów uznania. Chicagowski r, nik Związkowy pisał:

.....Blisko dwa tysiące ludzi w wielkiej sali

Technical Auditorium przeniósł Fogga na falach aksamitnego barytonu, na skrzydłach swoich nj0s jak na latającym kobiercu „Z tysiąc? i jednej nocy" ^ Polski, a może ściślej do Warszawy. Do Warszawy I międzywojennych — pogodnej, romantycznej, lekka. myślniej i dowcipnej. Do Warszawy z ponurych lat ol pacji i tragicznych dni Powstania... Całą polskość z «.* wczoraj wydobył Fogga. Z polskich pieśniarzy Fogga» można porównać tylko do... Fogga. Trzeba od razu po. wiedzieć, że Fogga z roku 1957

nie potrzebuje się ru-mienić przed Foggiem z lat przedwojennych. Ba! Ten sam czarujący głos, ale jeszcze bardziej subtelna interpretacja. Głos Fogga przebiega z cudowną łatwością od pianina, które może najsilniej przenika do serca, po... dźwięczące szlachetnym metalem forte..."

Gdy już mowa o prasie: podczas tournée miałem szereg spotkań z dziennikarzami, głównie polonijnymi. Zauważyłem, że niemałe wrażenie robił na nich — „Fogga w cyfrach".

Wymowa cyfr, ilustrujących jakieś osiągnięcia, w takim kraju jak Ameryka jest szczególnie sugestywna. Z wielkim uznaniem przyjmowali więc żurnaliści za oceanem informację, że w ciągu blisko trzydziestu lat kariery śpiewaczej produkowałem się na przeszło trzynastu tysiącach koncertów, że w czasie Powstania występowałem ponad sto razy, że nagrałem dwa tysiące płyt, rozprzedanych w Polsce i w świecie w liczbie około dwudziestu pięciu milionów, że w kraju daję przeszło dwieście pięćdziesiąt koncertów rocznie.

Zdradziłem dziennikarzom niektóre tajniki warsztatowe. Przyjęli z pewnym zaskoczeniem i niedowierzaniem informację o sposobie uczenia się piosenek. 136

utworu — mówiłem — uczę się zwykle Sesięciu dni. Gdy już opanuję tekst pamięć-wczas chętnie prześpiewuję go sobie półgłó-V°r v w tłumie. (Dziennikarze skrzętnie notosenLnaTo1Ctaki rodzaj „treningu”. Tłum stanowi na-tk widowni. Obecność przechodniów mobilizuje 1 w sposób podobny jak w czasie występu. Ponadto: • uliczny jest odtrutką na wszelkie ewentualne ?rzeszkody akustyczne w czasie późniejszego koncertu. Gdy potem śpiewam na publicznym występie, żaden hałas nie jest w stanie mnie zaskoczyć. Tylko raz w życiu przerwałem śpiewanie: podczas Powstania, kiedy występując w szpitalu zostałem potężnym podmuchem, bomby wrzucony do wanny...

Dwukrotnie śpiewałem w telewizji. Pierwszy występ dałem w studio polonijnej stacji TV w Chicago, której dyrektorem i komentatorem jest Bob Lewandowski, często w ostatnich latach odwiedzający Polskę. W czasip okupacji spotykałem Lewandowskiego w Warszawie. Obdarzony miłym barytonem, produkował się w kawiarniach, naśladowując moją manierę śpiewaczą, trzymając nawet podobnie jak ja ręce na brzuchu. Sam zresztą lubił siebie nazywać „Foggiem — juniorem”. Związany z ruchem oporu, był podporucznikiem AK. W Chicago śpiewałem także przed mikrofonem stacji radiowej •leżącej do Waltera Sikory, z którym przed wojną isko się zaprzyjaźniłem. Produkowałem się również stacji radiowej małżeństwa Florentyny i Kazimierza owskich — oboje urodzeni w Ameryce — specjattującej się w nadawaniu... nekrologów. Dla kontrastu *Pfewałem wesole piosenki. fal0° I*32 drUgl stanałem Przed kamerami TV w Buf-7»ui W y po raz Pierwszy w miejscowej telewizji *^ła polaka piosenka.

Buffalo

zaszczyciło mnie wręczeniem symbolicznego

137

klucza od miasta. Tak więc był i akcent oficjaln jego tu pobytu.

Zrewanżowałem się mieszkańcom Buffalo za ten dając recital iście maratoński. Śpiewałem przez h cztery godziny! Ale i po koncercie publiczność dł nie chciała mnie puścić ze sceny. Kwiaty, sto lat, g}0-' wiwaty, błysk fleszów... Gdy zmęczony wróciłem garderoby, zastałem tam wśród wielu osób wysokieo bardzo przystojnego mężczyznę o niezwykle czarnych oczach i orlim nosie. Nieznajomy przedstawił mi si a ja wcale nie kryłem, że zrobiło to na mnie wrażenie! Oto miałem przed sobą pół-Indianina, dyrektora Instytutu Indiańskiego w Buffalo o trudnym nazwisku 9 Ensworth Jaeger. Był to człowiek wykształcony, profesor uniwersytetu.

— Jestem zachwycony pana śpiewem — powiedział Mr. Ensworth Jaeger. — Byłbym ogromnie rad, gdyby zechciał pan udać się ze mną na pogranicze Kanady, gdzie wśród lasów i rzek żyją moi bracia. Będą oni na pewno szczęśliwi, gdy usłyszą śpiewającą białą twarz z dalekiego kraju. Bracia moi kochają śpiew i muzykę. Byłem zachwycony niezwykłą propozycją — wszak wychowałem się na książkach o Indianach. Jakże miałbym odmówić śpiewania przed bohaterami z mojego dzieciństwa.

Nazajutrz wczesnym wieczorem wyruszyliśmy ku granicy kanadyjskiej i potem dalej na zachód. Autostrada była gładka jak stół, pędziliśmy więc z dużą szybkością, zostawiając w tyle oświetlone miasta, motele, luksusowe wille. W miarę upływu godzin sceneri wyraźnie się zmieniała. Powoli zaczęliśmy się zagłębi1^ w prawdziwą puszcę. O brzasku

zatrzymaliśmy I przed dużą tablicą, na której widniał napis: „Rezerw Szczepu Tuscarora. Bładym twarzom wstęp wzbroniy". Mocne!

138

... w boczną drózkę. Słońce było coraz wy-⁰ wabiły głosy tysięcy ptaków. Nagle ujrzałem łaszczynę i niewielkie barwne domki z drze-polanie znajdowało się z trzystu Indian. W mig vU samochód. Wykrzykiwali na naszą cześć, mali tomahawkami, śpiewali, ściskali nam ręce. Zaprowadzono mnie do Domu Braterstwa. Tutaj oczekiwał na „bładą twarz z dalekiego kraju" wódz plemienia ze światą. Wyglądał dostojnie. Na głowie miał pióropusz z orlich piór sięgający do ziemi. Z ramion zwisała kolorowa szata, pięknie haftowana, z różnymi frędzelkami. Przepasany był rzemieniem, miał wąskie skórzane spodnie i plecione mokasyny. Członkowie światy ubrani byli podobnie, tylko ich pióropusze były mniej uroczyście.

Wódz rozpoczął przemowę, mówił indiańskim narzeczem. Sądząc po uśmiechniętych twarzach jego ziomek, musiały to być słowa wzniosłe i serdeczne. Później wprowadzono mnie na niewielką estradę w tymże Domu Braterstwa. Tłum Indian wypełniał szczelnie salkę. Zaśpiewałem piosenkę o Warszawie. Owacja. Oczywiście grzecznościowa, gdyż wątpię, żeby charakter i nastrój melodii odpowiadał upodobaniom indiańskiego ucha...

o odśpiewaniu piosenki na scenkę wszedł wódz ze >ją starszyzną i zaprosił mnie do wspólnego kręgu. siedliśmy wszyscy na podłodze — „po turecku" — to wśród grobowej ciszy palimy fajkę pokoju. Fajka lodziła z rąk do rąk. Starłem się być niezwykle ty, biorąc fajkę do ust. Nie wolno w najmniej-diyim stoPniu uchybić ceremoniałowi. Dostojnicy in-patrzyli na mnie w skupieniu. Wciągnąłem taszczeniem w płuca dym i oddałem fajkę wodzo- Wl- Krąg się zamknął

Ale

-----j*.

na tym jeszcze nie koniec ceremonii. Teraz wódz

139

wyciągnął lewą rękę i skalpelem naciął lekko pai by pokazała się kropla krwi. Z kolei ja uczyni} samo (z wrażenia oblał mnie zimny pot!). Nastąpiła eh la kulminacyjna: złączyliśmy nasze ręce i zawaiT tym samym braterstwo krwi na śmierć i życie, po w czesy.

Potem zaśpiewałem jeszcze parę piosenek. Indian) przyjmowali je serdecznie, ale gdy wykonałem na bj wojskowego marsza, na sali zapanował prawdziwy ml tuzjasm. Tego marsza musiałem śpiewać kilkakrotnie Na zakończenie mojego występu odbyła się jeszcze jedna uroczystość. Wódz plemienia wśród absolutnej ciszy odczytał wyrytą na korze drzewnej następującą sentencję:

— „Nadaję Ci imię »Śpiewający Biały Orzeł«. I niechaj wiedzą wszyscy, że indiańska nazwa »Śpiewający Biały Orzeł« była nadana Mieczysławowi Foggowi 31 Słońca Śnieżnego Księżycyca w Domu Braterstwa Plemienia- Tuscarora".

Ową drewnianą legitymację przywiozłem do Polski, a także podarowany mi piękny pióropusz.

Opuszczałem rezerwat z prawdziwą przykrością Chciałoby się pobyc wśród jego szczerých, przyjaznych mieszkańców. Miałem wielką satysfakcję z udanego występu przed najbardziej egzotyczną widownią w mojej karierze artystycznej.

Ci, których w tym fragmencie wspomnień bardziej zainteresowała indiańska egzotyka niż moje poczynania wokalne, niech się jeszcze dowiedzą, że wspomniany rezerwat to spory

obszar wśród puszczy, rozciągający się na kilkuset hektarach, oddany pod władzę plemienia Tu Indianie mogą bezpiecznie polować, pracować, uczyć się. Biali nie mają na ten teren wstępu bez zezwolenia samego wodza szczepu. Większość miejscowych Indian) zajmuje się rolnictwem.

140

W

rei

ie jest szkoła, do której każdy młody obywatel musi obowiązkowo uczęszczać i uczyć się •In po pięć do sześciu godzin. Lekcje prowadzone 16 ku angielskim, a częściowo także w narzeczu "nia" wcale nie należy do rzadkości fakt, że in-H^ńscy1 chłopcy trafiają stąd do college'ów i na uni-sytety. Wódz opowiadał mi, że plemię Tuscarora Wydało kilku uczonych, profesorów uniwersytetu, lekarzy, prawników, a nawet generała.

Moja amerykańska tura zbliżała się ku końcowi. Miałem przed sobą już tylko kilka występów w USA i potem czekały mnie jeszcze koncerty w Kanadzie. Czułem już dobrze „w kościach” trudy długiego tournée. To była jednak ciężka praca. Bo jakkolwiek otaczano mnie wygodami, wszystko „podtykano pod nos” i nie obchodziła mnie strona organizacyjna, to i tak żyłem niemal w ciągłym napięciu nerwów. Przecież każdy występ to przeżycie (pomimo rutyny) i ogromny wysiłek, aby od początku do końca spektaklu utrzymać słuchaczy w emocji, żeby dobrze wspominali te „dwie godziny Fogga”.

Impresario Cioromski chuchał i dmuchał na mnie, bo poza wszystkim innym byłem dla niego przecież zamrożonym kapitałem. Ciągłe sprawdzał, czy nie mam chrypki, kaszelku lub kataru. Gdy jechaliśmy samo-nodem, uruchomił ręczny inhalator i przykrywał mi n°gi pledem. Wzruszała mnie ta miła troska, ale ma-lem nieraz w duchu, by znowu znaleźć się w War-Vle, gdzie mógłbym mieć kaszel, katar i chrypkę... «awet wszystko naraz!

Ott Kanadzie koncertowałem w Montrealu, Toronto,

le, San Catherine i Quebecu. Wszędzie serdeczne,

przyjęcie. Wszędzie dowody przywiązania do

Csknoty, pamięci. Wszędzie niezliczone pytania

141

o ulice warszawskie, o konkretne domy, o rozmi budowy, o warunki życia.

Po czteromiesięcznym pobycie na zachodniej półt pełen wrażeń odpływałem na „Queen Mary” do Em-Za kilkanaście dni czekały mnie nowe występy n , pierw w Anglii, potem we Francji. Żegnaj, Ameryko! Na jak długo?

W końcu stycznia 1957 r. wylądowałem w Southamp-ton. Burza na Atlantyku spowodowała dwunastogodzin-ne opóźnienie statku. Był moment, kiedy „Queen Mary” — jak mi się zdawało — dość niebezpiecznie przechyliła się na jedną stronę. Wypadłem z koi i potłukłem się, na szczęście dość lekko.

Drogę do Londynu odbywałem samochodem mojego angielskiego impresaria Eugeniusza Nako. Zaczęła się ta podróż od przygody. Oto z mijającej nas ciężarówki spadł i uderzył w przednią szybę jakiś nie zidentyfikowany przedmiot i zarysował ją tak gęstą pajęczyną pęknięć, że szyba stała się całkowicie nieprzejrzytjH Wydłubaliśmy dwa otwory wielkości pięści i Nako szczęśliwie, chociaż z niemałym trudem, doprowadził wóz do Londynu. Na jednym z przedmiejskich skrzyżowań policjant zwrócił nam uwagę, że z szybą w takim stanie jeździć nie wolno. Jakoś udało się nam jednak wywinąć londyńskiemu stróżowi porządku.

Mój przyjazd do Londynu został zapowiedziany przez* organizatorów występów specjalną ulotką („nieco pompatyczną, wzorowaną na amerykańskiej reklamie”, JaI< zauważyło z pewnym przekąsem jedno z miejscowych polonijnych pism, zresztą odnoszące się do moich występów z entuzjazmem).

Zanim „otworzyłem usta” do śpiewania, czekała mnie w Londynie duża oficjalna impreza towarzyska. Był nią

142

bał urządzony na moją cześć w jednym dorocznym hotelu w sercu metropolii na Picadilly.

to eleganckie- ^^ specjalny Komitet Przy.

ZteJFoS Serce człowiekowi rośnie!

ję zebrał mnóstwo gości. Byli wśród nich

!dwojenni przyjaciele, koledzy, znajomi. Spotkałem uczestników Powstania. Powitał mnie bardzo ser- Ref-ren (Feliks Konarski), autor słów do wielu znakomych piosenek.

.-}

Pierwszy mój koncert (a dałem ich w Londynie cztery) odbył się w sali teatralnej ratusza, mieszczącej około tysiąca miejsc. Reakcja publiczności była bardzo gorąca. Zmuszono mnie do wielu bisów. W końcu, zmęczony i uszczęśliwiony, po prostu uciekłem ze sceny.

Jeden z moich koncertów odbył się na rzecz wdów i sierot po akowcach. Widok sali zaskoczył mnie — została ona upodobniona do wnętrza okupacyjnej kawiarni warszawskiej „Swan” na Nowym Świecie. Na stołach paliły się świece. Drugą część recitalu wypełniły piosenki wojskowe i partyzanckie, które wykonywałem w powstańczej kominie. To był bardzo wzruszający koncert.

Z obopólnym wzruszeniem — moim i widowni —

śpiewałem w klubie Stowarzyszenia Lotników Polskich

lelkiej Brytanii, którego prezesem był słynny pol-

^ i Pilot pułkownik Jerzy Bajan. Wśród widzów znaj-

j>wał się dowódca AK Warszawa Śródmieście, puł- nik Radwan Pfeifer, później awansowany do stopnia generała.

batk ^an Pfeifer zaProsił mnie do swego domu na her-7 której uczestniczyło coś około dwunastu męż- rozm S9mi Wojskowi wyższego stopnia. Dziwne, ale rzy wa PrZ6Z dłuższy czas toczyła się wokół ementalskich. Padały pytania, w jakim stopniu zo- 143

stały zniszczone, czy są otoczone należytą oni u obecnie wyglądają. Czułem, że każdy z obecnych o tym, by kiedyś być pochowanym w Wars' w Polsce w ogóle. Potwierdził to później przykła mego Radwana Pfeifera, którego zwłoki zostały wadzone do kraju, zgodnie zapewne z jego wolą w żonę za życia.

Moje tournée po Anglii, Walii i Szkocji trwało dw miesiące. Wszędzie byłem gorąco przyjmowany pr2tt Polaków. Bilety wyprzedawano na długo przed moim występem.

Wszędzie otrzymywałem mnóstwo kwiatów a także upominki. W Londynie ofiarowano mi efektowny zegar na biurko wyobrażający kulę ziemską (aluzk do moich podróży) z następującą wygrawerowaną dedykacją: „Serce w piosence i piosenka w sercu, to nasz Fogg”. Często po koncercie publiczność śpiewała mi Sto lat, a w Bedford sala rozbrzmiewała polskim hymnem narodowym. Były to naprawdę niezapomniane chwile. Tak jak niezapomniany pozostanie list, którym powitali mnie w Anglii uczestnicy Powstania Warszawskiego. Oto jego fragmenty:

„...Drogi i Kochany Śpiewaku Warszawy, naszego ukochanego miasta, miasta naszej młodości, miasta naszej stałej tęsknoty, miasta naszych snów... Witamy Cię, Panie Mieczysławie, najserdeczniej, my, byli żołnierze Armii Krajowej, powstańcy warszawscy. Witają Cię, którzy pamiętają i z rozczuleniem wspominają Ciebie i Twe piosenki, nie milnące w huku walk powstańczych, wykonywane w dekoracjach makabrycznych, ale prawdziwych, których żaden śpiewak żadnego miast nigdy nie miał...”

Piosenki Twoje rozgrzewały mocnych, dodawały otuchy słabnącym i zapewne niejednokrotnie były ostatnim słyszonym dźwiękiem dla tych, którzy życie swoje z ukochanym miastem oddawali...

144

-0X«-III AT 8

polish National Home

MECZYSLAW FOGG

King of Polish Singers

Halina Reichowna (Rieci)

Prima Donna of Polish and Italian Operas Admission 35c, 55c, 85c and \$1.00

The Hartford Times" reklamuje Fogga, „króla polskich piosenkarzy". Rok 1938.

M. Fogg w 1938 roku.

Scena z filmu „Biała trucizna". Na pierwszym planie Stefan Jaracz. Za nim, po jego prawej stronie, siedzi Fogg

w kombinezonie po-F°99 _ „, koncercie tuż

„stańczym

na

po

wojnie

Recital dla polskich dipisow w Villach (Austria). Czerwiec rok 1947.

i^K&vwj

Fogg z dyrektorem InSW Indiańskiego w Buffalo wrothem Jaegerem.

, Kiepurą w No-

W'1' Rok 1958 wyr"

jorku.

Fogg podczas wybuoiow najpiękniejszej Polki Londyn 5b^ rok 1958.

^**'

' V

i

)

j

WBtimEKEt,

Oty ->w ft ffalo

-i MOClintioii

w 11 | e ł s, mretrauM rooc,

ta. MmtIm Ch»MU«r of

feland, will b* la Rjrf»lc to attUrtala Mqr Mli* «m-lf la fhi« araa on WadMaday, Octafcar 31)

aM

U I I I U 9, Mr. Ft>CC'> —Mi MW rtji* ** MMI

•si UirlUad bIUlom of fu* la Pol*nd and thnugaMt tJM> •arU for rirty Tura,

OUTOM, I, HUB 1. SBflTi, Ha/or <sf Uw City of taJYalo, do baraby prooliia Wadnaaday,

October 3B, 19TJ a

!HUCaTJLaf roGC MT> la Un City of Buffaio u | aaatura of a trlbata to a jr.at parfoimlag

artlat o» u» o flMlrł ami.ar.iary of filllaf haarta rttb aoaf, «nu and

"T^t^tbL <'

ekst zarządzenia wydanego >rzez burmistrza miasta Buffalo, a ustanawiającego Dzień Fogga.

Fogg w roku 1967

| a i nam, przenieś nas melodią swych pieśni

1 SpietLpc!o najpiękniejszego i nigdy nie pokona-ta na świecie, a po swym powrocie śpiewa] iście jeszcze długo. Jesteś z Nim już nierównie związany. Śpiewaj na całą Polskę o nas, by- apowstańcach, że całą duszą i sercem jesteśmy

Idszedł dzień rozstania z Anglią. Na dworcu Victo-• zegnała mnie i żonę Irenę (która, stęskniona, przybyła tymczasem do Londynu) grupa kilkudziesięciu !Ób. Pocałunkom z dubeltówki nie było końca. W przeddzień odjazdu pułkownik Jerzy Bajan z Domu Lotnika wręczał małżonce i mnie pierwsze wydane przez Stowarzyszenie Lotników odznaki honorowych członków.

Moja wielomiesięczna rozłąka z krajem nie miała się jednak jeszcze skończyć. Z Anglii udałem się bowiem na występy do Francji, organizowane przez sekcję polską radia francuskiego. Paryski recital w Domu Polskim przy rue Legendre był moim dużym sukcesem (część widowni stanowili Francuzi nie znający języka polskiego), co znalazło potwierdzenie także na łamach polonijnej prasy.

Paryska Syrena z dnia 19 kwietnia 1958 r. w recenzji z występu napisała m. in.:.....Każdy, komu dane było

ichać w ten wieczór Fogga, przyzna, że takiego entuzjazmu Polonia paryska (a także goście francuscy) ni-Dmu nie okazywała. Koncert pozwolił nam wszystkim *a przeżycie rzadkich wzruszeń. Byliśmy świadkami

taTtr f ^ -klaSy aryzmu- Poezja jego piosenek prosta, laJąca właściwie do każdego, wcale nie jest po-wwna, „naskórkowa”, efekciarska, jak tytu

przew?5^011 piosenek Polskich (teksty dlań pisali

e dobrzy poeci) i na Zachodzie; umie ta poe-

Jtworów poruszyć w każdym człowieku strunę

10 - CM

a Palant., h,, , ,

145

jedyną, dobrą i dobrze dźwięczącą. Talent Fogga : ło wytrzymuje porównanie z najlepszymi pieśniar Europy i Ameryki; gdyby język polski był jęZy^ światowym, mógłby nasz artysta łatwo osiągnąć sł ' Binga Crosby'ego czy Charlesa Treneta. W epoce wszechnego ściągania sztuki w dół, przystosowyWa do tanich gustów masowego odbiorcy — aryzm Foo jest niezwykle, szczęśliwym wyjątkiem...

Słowa jego licznych żołnierskich i partyzanckich pi0 senek o ileż lepiej świadczą o polskim tragizmie dziejowym, ale też o polskiej walce, sile, wytrwaniu i woli — niż dziesiątki artykułów i odezów. ...Także humor utworów śpiewanych przez Fogga jest szczerzy, niewymuszony i zdrowy, co stanowi tak rzadkie zjawisko w piosenkach współczesnych..."

Wzruszające chwile przeżyłem w czasie występu w Potigny w Normandii. Po koncercie, kiedy jeszcze stałem w kombinezonie, z powstańczą opaską na ręce, podeszła do mnie grupa Polaków i wręczyła kryształową urnę, prosząc, abym tę ziemię z grobów żołnierzy polskich poległych pod Falaise (garść ziemi pochodziła z cmentarza I Dywizji Pancerniej w Langannerie) zawiózł do kraju i aby urna stanęła wśród grobów warszawskich powstańców...

Po powrocie do kraju wręczyłem urnę z ziemią spod Falaise prezesowi ZBoWiD pułkownikowi Szaniawskiemu. Po krótkiej, ale bardzo wzruszającej „części oficjalnej", w małej salce lokalu ZBoWiD odżyły wspomnienia sprzed czternastu lat. Sześciu uczestników o twy — wśród nich zastępca dowódcy 10 Brygady K* walerii, która wchodziła w skład I Polskiej Dywiz. Pancerniej walczącej pod Falaise, pułkownik Skibinsk i ówczesny korespondent wojenny, a w cywilu zna rysownik, malarz Walentynowicz — opowiada o swych przeżyciach.

146

cnod Falaise została umieszczona na z ziemią spoo-

mentu'zU ^^u' w kraju! Po wielomiesięcznej, A "C f ^wrażeń i wzruszeń turze koncerto-
**cZąCeJ' asie której przebyłem przeszło sześćdziesiąt tfej- w. „łotrów.

tysięcy

kilometrów

10-

Do Sydney... przez Kuluszki

Mój powrót do kraju, po długiej rozłące, przyjął z radością przyjaciele, znajomi i — że użyję tego ni skromnego słowa — wielbiciele! Po dawnemu zaczął napływać wiele listów. Także nasza kochana prasa, która nazwała mnie w czasie tej długiej absencji „drogim nieobecny", uderzyła w powitalne surmy.

W Warszawie czekała mnie miła wiadomość — zająłem pierwsze miejsce w przeprowadzonym przez Polskie Radio konkursie na najpopularniejszego piosenkarza w eterze.

Interesujący był przebieg tego konkursu i układ głosów w dwóch etapach. W ciągu dziesięciu miesięcy 1958 r. radio nadawało w specjalnych audycjach, dwa razy w tygodniu, cykl piosenek z udziałem około stu piosenkarzy, z których trzydzieści procent stanowili nasi wykonawcy. Do drugiego etapu konkursu przeszło piętnastu wykonawców, w tym dziewięciu Polaków, czterech Włochów i dwóch Francuzów. Do finału % kwalifikowało się troje naszych wykonawców; spór wielu tysięcy słuchaczy zdecydowana większość, jak okazało, głosowała na mnie. Dalsze dwa miejsca zajęli moi sympatyczni młodsi rywale — Sława Przybylski i Jerzy Połomski.

Byłem szczęśliwy, że powtórzyłem swój sukces sprzed dwudziestu kilku lat, kiedy — o czym już mówiłem

148

„ zająłem w podobnym konkursie również i^miejsce.

tkową radością i satysfakcją było dla mnie . faktu, że słuchacz radiowy wyraźnie pre-
st^p^enkarzy, śpiewających po polsku. %Uje-ednak nie samym śpiewem człowiek żyje (i kto * } •!) zanim stanąłem po powrocie z wielomie-, ^ur'y znowu na estradzie, wyjechałem na urlop, poczynek był zresztą krótszy, niż mi się to należało. Ómny swego przeznaczenia (Fogg — wieczny tułacz!), ^ruszyłem na występy do miast i miasteczek, do różnych uroczych pipidówek na krańcach Polski.

Nie zdążyłem się jeszcze dobrze rozśpiewać, gdy nadeszła propozycja odbycia tournée po Australii, Nowej Zelandii i Tasmanii. Organizatorem moich występów miał być Mieczysław Kułakowski, właściciel firmy Ca-rinia w Sydney, zajmującej się sprzedażą płyt importowanych z całego świata.

Tak więc w trzy miesiące po powrocie ze Stanów Zjednoczonych, Anglii i Francji wyruszyłem ponownie na długie tournée zagraniczne. Najmniej entuzjazmu dla nowej podróży wykazała moja osiemdziesięcioparo-letnia mama. Widząc przygotowania do wojażu na antypody, zapytała:

— Mięciu, dokąd cię znów niesie?

— Do Australii — odpowiedziałem.

— Daleko to?

— Ano spory kawałek...

le<ly z morskiej podróży przyszedł pierwszy mój

którym donosiłem, że płynę już tydzień, mama

i^a tę wiadomość bez komentarza. Ale kiedy z dal-

tyd ' °respondencji dowiedziała się, że jestem czwarty

z dnia na morzu, uzalała się mojej żonie: Boń . ybym wiedziała, że to tak daleko, nigdy bym 0
AustraUi nie puściła...

Europejski etap wyprawy do Australii z Warszawy (przez Koluszki) do Wiednia, Wenecji. Z tego właśnie portu wyruszyłem na nikt inny nie tynent na pokładzie nowoczesnego włoskiego statku I sażerskiego „Oceania”. Miałem więc w ciągu • a roku przeżyć... trzy wiosny. Pierwszą już przeżyłem w Europie, druga czekała mnie we wrześniu w Australii, a w kilka tygodni później — trzecia w Nowej Zelandii, zaczynająca się tam w listopadzie.

Poczułem się wyjątkowo młodo — wiadomo, że każda wiosna odmładza.

Przeżycia na statku, doznane w czasie cyklonu utwierdziły mnie w przekonaniu, iż dobrze się stało; nie wybrałem zawodu marynarza, chociaż w chłopięcej głowie roily się i takie myśli.

Parowiec trzeszcza w szwach, chodził na boki, to znów zapadał się w próżnię po olbrzymiej fali. Nasłuchiwałem pilnie, czy silnik jeszcze pracuje, czy też trzeba już „wysiadać” na przymusowe spotkanie z rekinami...

Należałem do tych niewielu pasażerów, którzy gdy rozszalała się burza (trwało to dwa dni i dwie noce), odważyli się zejść do jadalni. Dzięki temu zobaczyłem efektowną woltę kelnera z tacą pełną zakąsek — rzuciło nim przez całą szerokość pomieszczenia; to, co pozostało po zakąskach (na śniadanie!), przypominało abstrakcyjną kompozycję. Za chwilę sam stałem się ofiarą żywiołu: zerwał się stalowy pręt, którym moje krzesło było przymocowane do podłogi, i ślizgowym ruchem poleciałem ku ścianie. Szczęśliwie nie uderzyłem w mą głowę. Pokłose cyklonu w postaci złamań i zwicznif rąk i nóg było spore. Nie pozwolono pasażerom wyciecznić z łóżek, aby się lista „połamańców” jeszcze nie zwiększyła. Donoszono więc i mnie do „wyrka” Ja i kleiki.

Cyklon był oczywiście jedynym przykrym wydarzeniem

15Q

tej podróży. Do przyjemniejszych przeżyć należałoby dodać: W tropikach; nadano mi imię „latającej ryby” — wiośląc do moich podróży po świecie z „pio-by” C° Wyszło przy tej okazji na jaw, że impresario senka — pOwiadomił kapitana po wyjściu z Genui, że

3TeS znanego artystę z Polski. w „Oceanii” płynęło kilka młodych Polek z kraju — 3 oich przyszyłych mężów australijskich, tamtejszych Polaków. Sposobiły się do beztroskiego, rajskiego żywo-3 tymczasem konfrontacja z rzeczywistością groziła ^esto rozczarowaniem. O jednym takim przypadku, który przyniósł szczególnie przykry zawód dziewczynie spod Warszawy, opowiem dalej.

Po dwudziestoosmiodniowej podróży znalazłem się w objęciach australijskiego impresaria. Wchodząc do portu w Sydney, przepływalismy pod imponującym mostem Harbour Bridge, wybudowanym w 1932 r. kosztem czterech i pół miliona funtów, największym na świecie łukowym mostem ze stali. Wznoszono go siedem lat. Most posiada osiem torów samochodowych, trakt dla rowerzystów i pieszych na jednym poziomie i ma długości prawie 1 150 m; odległość od lustra wody — wynosi przeszło 50 m.

Sydney stało się moją główną bazą wypadową. Stąd prowadziła droga na koncerty w Australii, stąd odlatywałem do Tasmanii i Nowej Zelandii. Już w trzecim dniu wystąpiłem przed kamerami sydneyjskiej telewizji i w ten sposób do australijskich widzów dotarły Pierwsze piosenki śpiewane po polsku.

wkrótce rozpocząłem tournée po Australii, śpiewając w największych polskich skupiskach — przy tych salach; wszędzie towarzyszyły mi niezmiernie wielka serdeczność i aplauz. Jeden z polonijnych dzienników — „Polska publiczność słuchając Fogga nła się jak po długo oczekiwanym deszczu...”

151

U

Polacy w Australii są na ogół dobrze urządzeni także duchem narodowy, co przejawia się w • /
^^ licznych organizacjach, Domów Polskich i szkół — słem wielu żołnierzy spod Tobruku.
Przyjaźnie z walczącymi tam wówczas Australijczykami i Nrl' zelandczykami zaważyły bez
wątpienia na wyborze^ tego kontynentu jako miejsca stałego osiedlenia s' * wojnie.

W Australii podróżowałem najczęściej samolotem i przy jednej z takich okazji ze
wzruszeniem spoglądałem na ośnieżoną Górę Kościuszki. Zdarzało się, że nr mierzałem
australijskie pustkowia — a później w Tasmanii drogi wiodące wśród puszczy —
samochodem Pewnego razu, właśnie w Tasmanii, nagle z leśnej kniei wyskoczył kangur. Był
trochę mniejszy od człowieka a zachowywał się jak zając, który dostanie się w zasięg
reflektorów. Notabene w jednej z sydneyjskich restauracji jadłem później zupę z ogona
kangura, tutejszy przysmak.

Moje spotkania z egzotyką na tym się nie skończyły. Bardzo sympatyczny jest niedźwiadek
koala, czworonogi symbol Australii (znajduje się pod ochroną). Łagodny, kokietliwy,
najchętniej siedzi na drzewie i zawsze jest jakby trochę „zawiany”, ponieważ odżywia się
pędami eukaliptusa, które mają właściwości odurzające. Opowiadano mi, że dla pary
niedźwiadków koala, która znajduje się w Zoo w San Francisco, co dzień dowożę się
samolotem świeże pędy eukaliptusa.

Zdarzały się także momenty humorystyczne. W hotelu w Brisbane pogryzły mnie moskity.
Widziałem, z nad łóżkiem wisi jakby lampa w muślinowym pokrowcu, ale nie
zastanawiałem się, co to jest, i setnie zme. czony szybko poszedłem spać. W nocy obudziło
mnie straszliwe śwędzenie i palenie. Zrozumiałem wtedy, domniemana lampa kryła w sobie
moskitierę. Spuściłem

192

•uż niewiele pomogło, bo zamknąłem się

* nHiei'razem z moskitami...

razu, gdy siedziałem u znajomych w ogro-
pewneg ^^ cały czas gdzieś w pobliżu śmiał się,
PrZ^ ordynarnie, jakiś pijany facet. Dziwiłem się,
i gospodarze na to nie reagują. Gdy wreszcie za-
m}em co tu się dzieje, odpowiedzieli, że to... ptak —
l":enej nazwie kokaboora — który siedzi na drzewie

• śpiewać inaczej nie umie.

Pierwszy etap występów australijskich wkrótce mia-sobą. Teraz czekały mnie koncerty w
Tasmanii i Nowej Zelandii. Stamtąd właściwie już tylko skok na Antarktydę. Tam jeszcze nie
śpiewałem! A propos tego lodowego kontynentu. W Australii opowiadałem m. in. widzom
taki dowcip:

— Czy wiecie państwo, gdzie jest najelegantsza publiczność? Na Antarktydzie! Pingwiny od
rana chodzą
we frakach...

Wróćmy jednak na gorącą Tasmanię. W stolicy wyspy Hobart wylądowałem w luksusowym
hotelu. Czekał na mnie apartament. W saloniku zobaczyłem kosz ze wspaniałymi,
aromatycznymi jabłkami (podobno nie ma jabłek nad tasmańskie) i ozdobną kartę od dyrekcji
z życzeniami „najmilszego pobytu”. Gdy zobaczyłem, jaka jest cena pokoju, włosy stanęły mi
dęba (część kosztów pobytu pokrywałem z własnej kieszeni). Ze ości zjadłem wszystkie
jabłka i po godzinie poprosiłem o nową porcję, a później o jeszcze jedną. W ten tępy sposób
chciałem zrujnować właścicieli hote-u'Chociaż wątpię, czy z właściwym skutkiem.

tęp w Hobart odnotuję jako kolejny sukces arty-
yczny i... uczuciowy. Publiczność odśpiewała na moją
to lat. Na koncercie akompaniowała mi pani
zt> h 6 Stefano Wasilewska (pianistka i śpiewaczka),

zenia R°sjanka, urodzona w Turcji, wychowa-
153

na w Grecji i Iranie, obywatelka australijska ; laka, od którego nauczyła się doskonale nasze
^ ka z... wileńskim akcentem.

W Launceston, drugim co do wielkości mieś' smanii, podszedł do mnie po występie wysoki
el I ko ubrany mężczyzna o postawie atlety.

— Czy pan mnie pamięta z Powstania? — zap I szybko dodał: — Jestem tym małym
piętnastoletn' szczupłym chłopcem, żołnierzem ze zgrupowania G l' skiego w „architekturze”.
Pamięta pan?

Pamiętałem! Nagle ożyła wizja tego zabiedzonego żołnierzyka, który chodził z pistoletem
maszynowym na podobieństwo znanego później Antka Rozpylacza. Młodziutki powstaniec
trafił do hitlerowskiego obozu, a po wojnie wylądował w Tasmanii. Nie mogłem się nadziwić,
jak ów nieledwie dzieciak rozwinął się i zmężnia! w ciągu tych czterestu lat. Wyjaśnił, że
zawdzięcza to ciężkiej pracy fizycznej, świetnemu tasmańskiemu powietrzu i wielkiemu
apetytowi. Mój rozmówca odłożył w banku spore oszczędności i marzył o sprowadzeniu
sobie żony z Polski.

Przez dwa tygodnie listopada anno 1958 r. śpiewałem w Nowej Zelandii. Na lotnisku w
Aucland powitały mnie chlebem i solą polskie dzieci i chociaż były w strojach krakowskich,
zaśpiewały na moją cześć zwrotkę Góralu, czy ci nie żal...

Te dzieci znały dobrze język polski, między sobi rozmawiały także po polsku. Pamiętam,
że przebywając wiosną 1958 r. we Francji, na polskim Nordzie z dumą patrzyłem na polskie
młodzieżowe zespoły Iw? dowe, produkujące się w polskim tańcu i pieśni. natychmiast po
zejściu ze sceny czy estrady dzl(częta i chłopcy zaczynali rozmawiać ze sobą po Ir cusku.
To samo zjawisko zaobserwowałem Prz€ dziesięć lat później w Danii. W Stanach
Zjednoczoj

184

w

lskiego pochodzenia porozumiewają się z sobą dzieC1 P jęZykach, natomiast Anglia jest tym
krajem,

l__gtwierdziłem to osobiście — dzieci mające
pyłach krew polską najczęściej posługują się języ-

Lm swych ojców. W grupie rodaków witających mnie na lotnisku Aucland znajdował się
komandor Francki, dowódca ^Błyskawicy" w latach wojny. Przegadaliśmy później chyba całą
noc, słuchałem jego wojennych opowieści z apartym tchem. Na ścianie mieszkania na
honorowym miejscu wisiał proporzycyk z okrytego chwałą kontrtorpedowca.

Z Aucland zrobiłem wypad do miasteczka Rotorua, w którym znajdowało się duże skupisko
polskie. Na koncert przybyło także sporo Polinezyjczyków; ludzie to bardzo sympatyczni,
najczęściej raczej otyli, odznaczający się radością życia. Mają smykałkę do zawodów
związanych z techniką i mechaniką, stąd chętnie są widziani jako operatorzy dźwigów,
maszyniści kolejowi, kierowcy samochodowi itp.

W Rotorua i w okolicy oglądałem mnóstwo gejzerów, bulgocących kipiącą wodą. Wielką
osobliwość stanowił skansen pierwotnych mieszkańców Nowej Zelandii. Właśnie w Rotorua
poznałem potomkinię Maorysów, księżniczkę zwaną w języku tubylców „Tęcza”.

Księżniczka, zwyczajem przodków, gotuje ziemniaki w gejzerze.

Dalsza trasa wiodła do Wellingtonu, gdzie żyje spora,
dobrze zorganizowana Polonia z własnym Domem Pol-
im. Koncert spotkał się tu ze szczególnie serdecznym,
ęcz żywiołowym przyjęciem. Temperatura nastrojów
a widowni zbliżona była do wrzątku gejzerów.

r * toumee australijskie przygotowałem dwa pełne

skl' °keJmuJ3ce około czterdziestu pozycji. Po
;zonym koncercie w Wellingtonie, uszczęśliwiony

iss

a)

gdy

entuzjazmem (trudno mi użyć innego słów czności, nieopatrznie powiedziałem ze sceny widzowie domagali się bisów — że mogę zaśpiewać '8W z mojego drugiego repertuaru. Ponieważ druków** programy obejmowały również tamte pozycje, rozl wioną publiczność wykrzykiwała po kolei tytuły w mie dałem dwa pełne recitale — czterdzieści piosenek! Mało tego, gdy lista w programie została wyczerpan wtedy nie mniej rozbawiony od publiczności wyciągną.' Iem jeszcze jakieś nuty i „sprzedałem” dodatkową pJ0. senkę. Tu nastąpiła kulminacja w nastroju widowni Młodzi ludzie wdarli się na scenę i wśród śmiechu i braw zanieśli ofiarę maratonu piosenkarskiego na rękach do sali bankietowej. W Wellingtonie naśpiewa-łem w radiu po polsku i po angielsku dużą, godzinną audycję, której fragmenty były nadawane przez długi czas po moim wyjeździe.

W Nowej Zelandii zastała mnie nowa propozycja impresaria — występy na wyspach Fidżi!

Nie skorzystałem jednak z oferty, jako że moja tęsknota za krajem, pomnożona przez te tysiące mil oddalenia, urosła niepomierne. Tymczasem występy na Fidżi stanowiły nowy, wielki krok na drabinie równoleżników, który obecnie byłby ponad moje siły i wytrzymałość psychiczną. Czekano mnie przecież jeszcze kilka występów w Australii.

Wróciłem do Sydney (gdzie śpiewałem także w telewizyjnym show po angielsku), skąd robiłem wypadki d okolicznych miasteczek, i następnie przez Melbourne (w mieście tym występowałem już wcześniej) i Ade laide dotarłem do Perth, który to szlak był już etapem „odwrotu” z piątego kontynentu.

W Perth spotkałem nieoczekiwanie przedwojennego przyjaciela Aleksandra Jellina, autora mojego stareg szlagieru Fredzio, nagranych zresztą na longplay” "

156

łana piosenka, wydanym w 1970 r. Z pięciolinii „wrzucił się na handel, prowadząc tu jakieś Tellin przeii J -„dsiębiorstwo.

?W tymże Perth zetknąłem się z młodą ładną Polką na na statku. Roztaczała wtedy przede mną wizję P°Zkaiącego ją na piątym kontynencie beztroskiego tlce far niente. płynęła na zaproszenie australijskiego narzeczonego, polaka, o którym mówiła z nieukrywany zachwytem pokazując zdjęcie młodego mężczyzny w mundurze podoficera. Dziewczyna udała się w daleką drogę ze świadomością, że stanie się posiadaczką własnej willi z ogrodem pełnym rajskich owoców.

Potem spotkałem ją znowu na kolacji u znajomych i wtedy opowiedziała mi o swoich perypetiach po zejściu ze statku. W porcie'próżno szukała oczami smukłej, znanej z fotografii młodzieńczej sylwetki. Gdy w pewnej chwili podszedł do dziewczyny starszy, tęga-wy i łysy mężczyzna, pasażerka z Polski była przekonana, że rozmawia z szoferem swego oblubieńca. W rzeczywistości pojawił się naręczony in persona.

Domek okazał się rzeczywiście niebrzydki, samochód wcale wcale, telewizor najnowszej marki. Tyle że wszystko było obciążone ratami, łącznie z wyposażeniem mieszkania. Nic więc dziwnego, że w sprowadzonej kandydatce na żonę australijski Polak widział także partnera do pracy; konkretnie do pracy fizycznej w fa-3ryce (naręczona nie miała żadnego zawodu). Nie iem, ile dziewczyna uroniła łez, ale faktem jest, że współżycie układało się fatalnie. Wkrótce poznała in-D p°łaka, młodszego i mniej surowego, który wy-2» chęć ożenku. „Importer”, który ściągnął pannę a^u> Początkowo nie chciał o tym słyszeć, wreszcie cn awanturach wyraził zgodę, pod warunkiem,

157

Brazylijskie intermezzo

Po powrocie z morza odsapnąłem nieco, nacieszyłem się jako tako najbliższymi i spakowawszy walizki ruszyłem wkrótce ustalonym zwyczajem na śpiewną wędrowkę po Polsce. W porównaniu z niedawnym przemierzaniem piątego kontynentu były te wędrowki dziecinnym spacerkiem — w skali geograficznej. Ale przecież nie zmniejszyły mojego zaangażowania emocjonalnego. Dla mnie, kiedy mogę śpiewać, każda podróż — wyznaję to bez emfazy — jest wielką podróżą. Zawsze i wszędzie staram się śpiewać jak najlepiej — czy to będzie Nowy Jork, czy Piotrków.

Może właśnie temu zawdzięczam część sympatii, jaką cieszę się u widzów. A to z kolei wpływa na popularność, o którą zresztą nigdy nie zabiegam za wszelką cenę, a jest ona przecież miłym atrybutem artystycznej egzystencji.

Różne są oznaki — i znowu użyję nieskromnych słów — mojej popularności. Że wymienię setki listów, drobne upominki (otrzymywane także anonimowo), liczne zaproszenia do prywatnych domów. Niekiedy dowody tej popularności bywają zgoła niecodzienne i oryginalne.

Kiedyś ktoś w małym miasteczku chciał mi ofiarować pianino (nie przyjąłem); innym razem pewnie warszawiak zaprzagnął mi sprezentować stylowy wy-

160
fotel (przyjąłem). Ten fotel stał się potem moim głównym meblem. Tak się złożyło, że ofiarodawcą —
SPR^o7VSZedł za kulisy.

Słynna krakowska restauracja „Wierzynek” wprowadziła do karty „kotlet a la Fogg”. Jak do tego do-
*}o? Kiedyś zjawiłem się u „Wierzyńka” prywatnie Sylwestra. Obecni zgotowali mi owację, domagając J piosenek. Nigdy nie daję się zbyt długo prosić. Zaśpiewałem.

Po występie podszedł kierownik lokalu, który oznajmił, iż każe dla mnie przyrządzić najbardziej wyszukaną a ulubioną potrawę. Poprosiłem o kotlet własnego pomysłu (w wolnych chwilach lubię się parą sztuką kulinarną) z grzanką. Wtedy gospodarz „Wierzyńka” poprosił o umieszczenie tego smakołyku (tak określił danie!) w karcie jako „kotlet a la Fogg”. Gdy wyraziłem zgodę, towarzyszący mi Wiech powiedział:

— Przejdiesz, Mięciu, do historii, podobnie jak admirał Nelson!

Przed wojną jednym z dowodów uznania dla mnie były ogłoszenia w prasie (najczęściej anonimowe). Na przykład takie: „Zamiast kwiatów dla Mieczysława Fogg’a ofiaruję dwadzieścia złotych na fundusz obrony kraju, wdzięczna za wykonanie piosenki w najbliższym Podwieczorku przy Mikrofonie« Maria S...”

Już w pierwszym okresie szczytowego powodzenia ciężko walczyłem z samym sobą, żeby mi się w łowie nie przewróciło. I chyba wyszedłem z tej walki zwycięsko.

Parę lat po wojnie, będąc na występach w Szczecinie, chciałem zamówić pilną rozmowę z Warszawą, lałem tylko pół godziny czasu. Zadzwonivszy do pro .jyntliastowej. przedstawiłem się grzecznie i potem o możliwie szybkie połączenie.

-^od Palanta do belcanta

161

— A jeśli otrzyma pan połączenie w ciągu dziesięciu minut, czy zaśpiewa pan dla mnie piosenkę? — s 1<?C telefonistka.

— Zaśpiewam.

Po siedmiu minutach wzywany warszawski abon był przy aparacie. Gdy skończyłem rozmowę, w ^ chawce rozległ się głos telefonistki:

— Czy pan dotrzyma słowa?

Gdy usłyszała odpowiedź twierdzącą, poprosiła „dwie minuty cierpliwości”, po czym zaczęła wzywać swe koleżanki na całej linii telefonicznej:

— Zosiu, Krysiu, Danusiu! Fogg będzie dla mnie śpiewał, słuchajcie!

Dedykowałem miłej panience z międzymiastowej krótką piosenkę i w ten sposób odbył się mój występ w słuchawce telefonicznej.

W końcu czerwca 1961 r. spakowałem walizki i udałem się pośpiesznym do Brazylii.

Pośpieszny — to jeden z szybkich statków naszej marynarki handlowej, obsługujący linię południowoamerykańską. Mój nazywał się m/s „Żeromski”. Wyjeżdżałem na kontynent, który był ostatnią białą plamą na mapie moich wypraw z piosenką w szeroki świat. Teraz i ten zaliczę!

Wśród dwunastu pasażerów m/s „Żeromskiego” znalazła się wybitna pisarka z NRD, sześćdziesięcioletnia Anna Seghers. Płynęła w towarzystwie męża, profesora uniwersytetu berlińskiego, na dziesięć tygodni do Brazylii, dokąd została zaproszona przez Związek Pisarzy i osobiście przez głośnego pisarza Jorge Amado.

Autorka Siódmego krzyża okazała się bardzo bezpośrednią, pełną energii, uroczą kobietą. Dopytywała się żywo o Polskę i bynajmniej nie czyniła tego przez kurtuazję. Wiedziała zresztą wiele o naszym kraju.

162

Seghers sporo pracowała w czasie podróży, 1 regularnie po kilka godzin. Któregoś wolnego łudnia przyjęła zaproszenie na koncert moich pio-k z płyt- Wiele utworów (najbardziej chyba tanga) ^"ypadło pisarce do gustu, tak przynajmniej mówiła. P Podczas jednego ze spacerów pisarka zdradziła mi, | pracuje nad nowelą historyczną, której akcja rozmywa się w okresie Wielkiej Rewolucji Francuskiej. przy okazji innego spotkania Anna Seghers chwaliła wygody na m/s „Żeromskim”, a przede wszystkim podnosiła serdeczność, z jaką się spotkała ze strony załogi. Nie skąpiono tej serdeczności także innym pasażerom. W ogóle atmosfera na statku była swojska i... demokratyczna. Zaraz to zilustruję przykładem. Na m/s „Żeromskim” przyjął się zwyczaj, że około godziny jedenastej stawało się pod okienkiem kuchni i kucharz raczył każdego chętnego dużą kością, suto obrośniętą mięsem, którą ogryzało się smakowicie na miejscu. Był to nieledwie ceremoniał, a przy fasowaniu kości — i tu właśnie miejsce na pochwałę demokratycznego porządku — panowała równość absolutna. Sam kapitan czy pierwszy lub drugi oficer musiał stać w kolejce, pozwalając się wyprzedzić najzwyczajszemu majtkowi, jeśli ten ustawił się wcześniej. Nie wyróżniano też nikogo wielkością porcji. Przybywającemu na pokładzie statku jawi się Rio e Janeiro w całej swojej krasie. Białe drapacze harmonizują z tłem sinych gór, którym dzięki osobliwemu kształtowaniu nadano nazwę — „śpiącego wielkoluda” (właściwa nazwa — Góry Morskie). Dwie potężne ska-y. tak dobrze znane z widokówek, Corcovado i Głowa ukru, wyrastają jak gdyby z samego miasta.

szczyt Corcovado rysuje się kontur słynnej po-
n aci Chrystusa błogosławiącego zatokę. Z daleka trud-
lerzyć, że figura jest wysokości dwunastu pięter.

u«

163

Później dowiedziałem się jeszcze, iż twórcą olbrz posągu z betonu (zużyto go blisko 1200 ton) był p*?1 z pochodzenia, Paweł Landowski.

Pierwszy recital w Rio dałem w pięknej sali teat nej Stowarzyszenia Dziennikarzy Brazylii. Polsko-brazylijska widownia zgotowała mi dużą n cję. Musiałem wielokrotnie bisować. Było niesłycha •" uroczyście i serdecznie. Wiele kwiatów, łez i przem wień.

Dla słuchaczy, którzy nie znali polskiego języka przygotowano wierszowane teksty piosenek po portu-galsku. Autorką przekładów była brazylijska poetka Nisia Nobrega.

Po piosence Czerwone maki na Monte Cassino wszedł z gratulacjami na estradę Polak, który brał udział w walkach o słynne wzgórze. Podniosło to jeszcze bardziej nastrój na widowni.

W Rio de Janeiro dałem potem jeszcze jeden koncert, który również spotkał się z bardzo gorącym przyjęciem. Za kulisami odwiedziło mnie kilku żołnierzy z Powstania. Na marginesie dodam, że z impresariem brazylijskim Adamem Berwidem współdziałała w organizowaniu koncertów Wanda Ponczek, należąca przed wojną do moich najmłodszych sympatyków. Jako trzynastoletnia dziewczynka przychodziła z rodzicami na każdy mój gościnny koncert w łódzkiej filharmonii. Losy wojenne rzuciły ją w szeroki świat — osiadła ostatecznie w Brazylii.

W Rio oprócz krajobrazu podziwiałem — jako auto-mobilista — kawalerską jazdę tutejszych kierowców. Wyprzedzali się z prawej, z lewej, jak było wygodniej, zajeżdżali „rywalowi” drogę, kluczyli, uprawiali karkołomny kontredans, byle tylko wysunąć się jak najdalej na czoło sznuru wozów na skrzyżowaniu, gdzie o dziwo — czerwone światła jednak honorowano. P

164

była to tylko sprawa pośpiechu rozleniwio-
h' rzecież słońcem mieszkańców tego południowego
nyC entu; gnała ich raczej chęć jakiejś rywalizacji
k° towei, wyścigowego hazardu. Nie ustrzegli się
H tym nawet kierowcy miejskich autobusów.
P ią drogą ciekawe byłoby przestudiować tutejsze
niki wypadków. Cóż, nie starczało czasu. Trzeba
bvlo ruszać na następne koncerty — do Sao Paulo.

Zdażyłem tylko pobieżnie obejrzeć piękne Rio, którego urodę psuł przeraźliwy widok favelas, osławionych regionów nędzy. Spotykane zarówno na peryferiach, jak i w centrum metropolii, kontrastują niemal o miedzę z luksusem prywatnych rezydencji, hoteli i restauracji.

Owe enklawy nędzy roją się od lichych bud lepionych z gliny, wzmacnianych kawałkami blachy, listwami ze starych skrzyń i tym podobnym „budulcem”. Wśród glinianych nor przemykają ludzie o wzbudzającym litość wyglądzie.

Udając się do Sao Paulo, zrezygnowałem z samolotu, żeby z bliska zobaczyć „kawałek Brazylii”. Krajobraz był rzeczywiście piękny, nasycony bujną roślinnością tropikalną; tylko od czasu do czasu przesłaniały go dworce kolejowe. Pociąg, mimo że pospieszny czy nawet ekspresowy, miał szereg postojów, nawet kilku-nastominutowych. Wyjaśniono mi później pół żartem, Pół serio, że maszynista musiał wypić w barku dworcowym kawę z mieszkającymi na szlaku podróży członkami rodziny lub przyjaciółmi. (Brazylijska kawa! Pogada moc potrojnego „szatana”. Dla mnie była nie do wYpicia, musiałem ją rozcieńczać wodą). Wobec wielkiego zainteresowania miejscowej Polonii eitl w Sao Paulo nadprogramowy koncert. Tutejsza g osnia nagrała ze mną wywiad i godzinny recital. zyhjscy radiowcy byli zaskoczeni, że śpiewam tak

105

ładne polskie tanga, piosenki w rytmie fokstrota I samby". Wiedza muzyczna redaktorów z radia Paulo na temat Polski kończyła się na Chopinie i * jomości paru utworów z repertuaru „Mazowsza” n wiasem mówiąc wielkie zasługi w dziele populary? muzyki Chopina w Brazylii ma nasz rodak Aleksand Sienkiewicz, z którym się serdecznie zaprzyjaźniłem Transmisji radiowej mojego recitalu słuchałem w rezydencji znajomych Polaków. W saloniku zebrało się kilkanaście osób. Pewien starszy pan usadowił się na jednym ze stopni krętych schodków prowadzących do górnej kondygnacji dwupoziomowego mieszkania. Słuchając moich piosenek ów rodak jakby mimo woli prześlizgiwał się stopień po stopniu w górę, a potem w dół spirali schodków... Gdy po skończonej audycji zapytano go o powód tego dziwnego zachowania, powiedział nie bez zaskoczenia, że nie zdaje sobie sprawy, by coś takiego robił... Dodał tylko, iż słuchając piosenek z okresu jego własnej

młodości, a następnie tych, które towarzyszyły mu w dniach Powstania — wyłączył się całkowicie z teraźniejszości.

Dla mnie osobiście, jako wykonawcy, reakcja tego słuchacza była jednym z najmocniejszych przeżyć w karierze artystycznej — jego widoku i zachowania chyba nigdy nie zapomnę. Być w Brazylii i nie zobaczyć ślicznych latających kolibrów? Ujrzałem moje ulubione ptaszki na hacjen-dzie, do której zaproszono mnie na weekend. Podziwiałem tam również inne piękne, a nie znane mi okazy. Ptaki są tu jak kwiaty, a kwiaty jak ptaki. Zarządcą olbrzymiej posiadłości (zwiedzałem ją jeepem) był P^olak, Stefan Godlewski. Tam też widziałem po raz pierwszy plantacje kawy z tysiącami krzewów. ' pana Godlewskiego dowiedziałem się, że kawa, największe bogactwo Brazylii, ma rodowód afrykański

166

dobno odkryli ją pasterze abisyńscy, których uwagi uszło, że kozy ogryzające owoce pewnego drzewka U • sie dziwnie ożywione. Pasterze poszli za przykładem S/L kóz i tak kawa — drogą ewolucji — „trafiła pod strzechy” jako napój.

Do Ameryki Południowej, konkretnie do Gujany Francuskiej, przywieźli owe „kozy drzewka” Francuzi a panowania Ludwika XIV. Przeszczepione na grunt południowoamerykański, przyjęły się dobrze. Wtedy Portugalczycy, pozazdrościwszy Francuzom sukcesu, wysłali do Gujany swego awanturniczego kapitana de Palheta, który wykradł francuskiemu gubernatorowi sadzonki i przetransportował do Brazylii.

Po długich poszukiwaniach najstosowniejszej gleby stwierdzono, że krzewy kawowe wspaniale rozwijają się w stanach Rio de Janeiro, Espirito Santo, a szczególnie w stanie Sao Paulo. W tym ostatnim oprócz klimatu sprzyjała im słynna czerwona ziemia.

Opowieść brazylijskiego rodaka była wielce interesująca, toteż zrewanżowałem się ujawnieniem „sekretu”, jak się bierze... wysokie C.

Jak mnie przy innej okazji „oświecono”, miasto i stan Sao Paulo (dwukrotnie większy od Czechosłowacji) jest rejonem, gdzie trwa produkcyjna gorączka w wielu dziedzinach przemysłu. W efekcie połowa brazylijskiego eksportu stąd właśnie wędruje w świat.

Mieszkańcy stanu Sao Paulo powtarzają dobitnie: „Sao Paulo jest lokomotywą, która ciągnie 24 wagony”. To znaczy 24 pozostałe stany Brazylii.

' Sao Paulo przeżyłem chwilę szczególnego wzruszenia na cmentarzu, przy grobie mojego okupacyjnego t, otnPaniatora z kawiarni „Swan” na Nowym Świecie,

>eusza Millera. W mieście tym mieszka jego żona

a*ma z dworna synami, rzed wyjazdem do Kurytyby, która była następ-

167

nym etapem na szlaku brazylijskiego tournée wadżono mnie w Sao Paulo do instytutu nauk zajmującego się m. in. wytwarzaniem szczepionek przeciw ukąszeniu żmij, pająków i wszelkiego jadowi. tego robactwa. Tam właśnie widziałem koralową żmii wyglądającą jak piękny naszyjnik, a tymczasem ten „naszyjnik” wypuszcza tak silny jad, że wkrótce po ukąszeniu — mogiła! Najbardziej odrażające były pa_ jaki (niektóre wielkości kurczaka), a wśród nich nai-ohydniejszy na świecie, słynna „czarna wdowa”. Jedno ukąszenie ofiary i obrzydliwy włochaty pająk rzeczywiście niemal natychmiast „wdowieje”.

Podczas mojego pobytu w Brazylii dzienniki donosiły pod wielkimi tytułami o fackie ukąszenia przez „czarną wdowę” jednego z dwu chłopców, którzy dopłynawszy do jakiejś nie zamieszkaney wysepki, opalali się na wąskim piaszczystym brzegu. Chłopca zdążono przetransportować do szpitala, ale czy go zdołano uratować — nie wiem. Wysepkę natychmiast wypalono napalmem, bo trudno było poszukiwać „czarnej wdowy” w piasku.

W Kurytybie z wielkim wzruszeniem śpiewałem dla starej Polonii, tej z epoki Pana Balcera...

Znano i w tych stronach moje stare piosenki, a nawet te nowsze, z płyt krążących tu od kilkunastu lat. W Kurytybie, jak gdyby stolicy tej najstarszej Polonii, Polacy zajmowali

szereg ważnych stanowisk rządowych i municypalnych. Wrosła już nieźle w tutejszy grunt emigracja wojenna i powojenna. Polakom powodzi się w Brazylii na ogół dobrze, ale muszą na ten dobrobyt dość ciężko pracować.

Po Kurytybie zawitałem do Ponta Grossa, w stanie Parana. Miasteczko jest nieduże, ale mieszka tam wielu Polaków. I znowu gorąca owacja na widowni, koszf kwiatów, przemówienia. W Ponta Grossa serdecznie

168

m

'ciła mnie rodzina pana Julio Lago, który jest byłym „Czycielem, jeszcze z okresu starej emigracji. Opo-

- dali mi wiele o ciężkiej pracy nauczyciela w małych osadach polskich w dżungli (Notabene wielokrotnie w czasie wyprawy brazylijskiej ciągnęło mnie do aniałej tropikalnej dżungli, ale nie odważyłem się oostawić tam nogi — ze strachu przede wszystkim przed „czarną wdową”).

W dzielnicach miast i miasteczek brazylijskich zamieszkałych przez biedotę widywałem osobliwy obrazek: przed domkiem, lub raczej budą skleconą z drzewa, kładziono wieczorem czarnego zabitego koguta, dwie zapalone świece i figurkę diabła ulepionego z gliny. (Nędza nędzą, ale akcesoria tego obrzędu wymagały niejakich kosztów). Kto się napatoczył na ten cały metafizyczny kram, czym prędzej umykał, żeby to jego „nie dogoniły” złe czary. Nie będę ukrywał, że i ja przechodziłem na drugą stronę i przyśpieszałem

kroku.

Zdradzę przy okazji, że jestem bardzo przesądny. Gdy na przykład zobaczę czarnego kota, okręcam się trzy razy w lewą stronę dokoła własnej osi i następnie spluwam dyskretnie za siebie. Wierzę, że ten manewr uwolnił mnie od wielu niepowodzeń, których zwiastunem może być czarny kot...

Od Sao Paulo podróżowałem w asyście impresaria samochodem. W drodze do Kurytyby (wspaniała szosa biegnąca pośród pinii i pampasów serpentynami, ja-ch nigdzie przedtem nie widziałem) spotkała nas >rzygoda, taka sama, jaką miałem z impresariem anielskim po przybyciu do Wielkiej Brytanii w drodze powrotnej z USA.

toż kamyk spod kół wyprzedzającej nas ciężarówki rzył w przednią szybę samochodu, która momen-le Poryła się tysiącem drobnych pęknięć. Zatrzy-

169

maliśmy wóz nie opodał przepaści... Mając jeszcze w pamięci angielski eksperyment, wybiłem yT ZyW° dwa małe otwory i tak dotarliśmy do niewi n?*1* miasteczka ze stacją obsługi Volkswagena (iechai §° wozem właśnie tej marki). Mechanicy „wsiedli” ! mówiąc, że pod wpływem pędu powietrza szyba m *? się rozprysnąć i ostre drobinki pokaleczyłyby ° twarze.

Pech chciał, że stacja nie posiadała już potrzebnej szyby, jako że w ciągu ostatniej doby ileś tam wozów miało podobną awarię. Po wyjęciu uszkodzonej szyby mechanik poradził nam, żeby zamknąć szczelnie okna i tak jechać dalej. Popatrzyliśmy na niego jak na wariata. A jednak miał rację: nawet przy szybkości stu kilometrów na godzinę nie odczuwaliśmy najmniej szego powiewu! Na wszelki wypadek przekazuję to epokowe odkrycie naszym rodzimym kierowcom.

Ośmiotygodniowy pobyt na kontynencie południowoamerykańskim zbliżał się do końca. Jeszcze tylko koncert pożegnalny w Sao Paulo — i adieu, Brazylio! Rozstanie nastąpiło w Santos, największym porcie kawowym na świecie, skąd nasz m/s „Żeromski” znowu wychodził do Gdyni z pełnym „brzuchem” ziarna. Stojąc na pokładzie nuciłem melodyjną piosenkę brazylijską Cidade Maravilosa, którą wykonywałem w Brazylii, jak mi się zdaje, z powodzeniem.

Przywoziłem do kraju wspomnienie wzruszeń, moc wrażeń i... liczne, nader pochlebne recenzje z prasy polonijnej i brazylijskiej (m. in. w Correio do Manhd, Estado do Parana, Correio do Parana).

Urodziłem się, by śpiewać...

I znowu — szczęśliwy! — oddychałem warszawskim powietrzem, polskim powietrzem. Ale i tym razem zbyt długo nie próżnowałem po powrocie z długiego zagranicznego tournée. W kraju czekały już na mnie nowe terminy występów.

W tym okresie śpiewałem z żeńskim zespołem muzycznym, co stanowiło interesujące novum. O rok wcześniej wpadłem na pomysł zorganizowania żeńskiego kwintetu akompaniującego.

Jeżdżąc w poprzednich latach po Polsce, musiałem występować dość często z przypadkowymi zespołami orkiestrowymi. Wtedy właśnie pomyślałem o stworzeniu własnej grupy muzycznej, co dawało mi większą niezależność. Wspomniana żeńska grupa instrumentalna nazywała się „Klipsy”, a wkrótce doszedł do nich żeński zespół wokalny „Karaty”. Razem dziewięć dziewcząt. Wojażowaliśmy przez pewien czas po kraju z programem Fogg and rock.

W maju 1962 r., w czasie indywidualnych koncertów na ziemi lubuskiej, w hotelu w Zielonej Górze zadzwonił zamiejscowy telefon. Gdy wróciłem ze spaceru, Portier powiadomił mnie, że dzwonił jakiś doktor z Łodzi. Doktor? Czułem się zdrow jak ryba. Cała Prawa wyjaśniła się, gdy ponownie zgłosiła się Łódź. >Jtoz nie dzwonił żaden doktor, lecz dyrektor (oj, ci m

portierzy!) łódzkiej „Estrady”, która szukała mnie Po całej Polsce.

Za dwa dni miałem stanąć w Belwederze, wśród de korowanych artystów i działaczy kultury. Odwołałem więc koncert i pojechałem do Warszawy.

Aleksander Zawadzki, zawieszając mi na szyi Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, życzył stu lat i dalszego krzewienia polskiej piosenki na całym świecie.

Przez przeszło półtora roku odbywałem tour de Fogg po całym kraju. Pierwszy po powrocie z Brazylii wyjazd na występy zagraniczne prowadził, jakby dla kontrastu, do chłodnawej Finlandii. Pracowity, uroczy, czysty kraj. W Helsinkach na wielkim placu przed pałacem codziennie „rozbija namioty” wspaniale zaopatrzone zieleniak (kupowałem tam nawet tasmańskie jabłka!). Koło południa stragany zwijają interes, teraz przyjeżdżają samochody z przedsiębiorstwa oczyszczania miasta i pucują plac na medal. W efekcie jest tak czysto, że można się położyć na bruku we fraku.

W Finlandii śpiewałem przeboje polskie i światowe, stare pieśni murzyńskie, a także utwory fińskie. Te ostatnie z kartki, gdyż nie byłem w stanie dostatecznie dobrze opanować tekstu w tym arcytrudnym języku — nawet przy moich niemałych zdolnościach lingwistycznych.

Ciekawe, że fińskim słuchaczom, a najbardziej chyba młodzieży, szczególnie przypadły do gustu nasze stare tanga, jak Co nam zostało z tych lat czy Wczoraj szczęście było blisko. To była duża niespodzianka!

Do zgoła oryginalnych należały moje koncerty dla fińskich farmerów (właśnie farmerów, gdyż nie są to rolnicy ani wsie w naszym pojęciu), uprawiających rozległe arealy ziemi.

Ogłoszenia o występie rozwieszano na przydrożnych drzewach w promieniu kilku-
173

dziesięciu kilometrów. W dniu koncertu odświętnie ubrani farmerzy zajeżdżali samochodami światowych marek przed salę taneczno-widowiskową. Sale takie, pięknym parkiecie, budowane są wspólnym wysiłkiem, najczęściej pośród malowniczego lasu lub nad brzegiem licznych jezior. Wykonawcę słucha się lub ogląda stojąc. W bufecie okalającym salę najmocniejszym trunkiem jest coca cola. Nawiasem mówiąc moim ulubionym napojem w Finlandii było pyszne tamtejsze mleko, po trzech miesiącach wracałem do Warszawy z mleczną nadwagą prawie czterech kilogramów.

W kraju tysiąca jezior występowałem przeszło sto razy, docierając z polską piosenką aż do Laponii — pod Biegunem Północnym. Kiedy śpiewałem w Tasmanii i Nowej Zelandii, znalazłem się pod Biegunem Południowym. W drugim przypadku na pewno słyszały mnie pingwiny. A swoją drogą imponująca to klamra geo--graficzna dla artysty, który wędrując z piosenką po Polsce i świecie, ani się obejrzał, jak połowę życia spędził z walizką w ręku. Moje istnienie — wyznaję to bez żadnego patosu — determinuje piosenka. Pracy artystycznej podporządkowałem właściwie wszystko, w pewnym sensie także życie rodzinne. Ta moja wieczna absencja w domu! Zawsze starannie odmierzałem czas między występami- Nie był zwykle zbyt długi. Nie lubię się lenić.

Także po powrocie z Finlandii niedługo popasałem w domu. Od 1960 r. każdego miesiąca przez dwa tygodnie, i dłużej, wożąc z piosenką po kraju. Mniej więcej raz na dwa lata przyjeżdżam ponownie do tego samego miasta czy miasteczka. Częściej — moim zdaniem — nie należy tego czynić. Właśnie raz na dwa

173

lata publiczność przełknie tego samego artystę warunkiem oczywiście, że przyjedzie z nowym progra mem. Podporządkowuję się ściśle temu kanonowi, dążąc jednocześnie do tego, by włączyć do repertuaru również te najnowsze i nowoczesnie aranżowane pi0_ senki. Żeby nie mówili, że Fogg się zestarzał, że pachnie już naftaliną.

W ostatnim dziesięcioleciu mniej więcej co dwa lata zmieniałem program. Nazywały się więc moje recitale: Z piosenką przez świat, Fogg and rock, Dwadzieścia pięć lat piosenki, Leć, piosenko, Czas szybko mija, A tu już czterdzieści lat.

Przeważający procent mojej widowni to ludzie starszego pokolenia i w wieku średnim. Ci zdecydowanie preferują piosenki z myszką, przypominające im lata młodości.

Przyjemny dla mnie był, zaobserwowany pod koniec lat sześćdziesiątych, fakt, że trzydzieści do czterdziestu procent widowni stanowi młodzież, nosząca stempelek — beatowej. Młodzi ci chłopcy i dziewczęta zdają się świetnie bawić na moim występie, a po recitalu często przychodzą za kulisy z komplementami.

Pytam samego siebie: czy to nie jest jakaś pomyłka? Wszak big beat to jedna szufladka, a Fogg — druga. Młodzi twierdzą, że mój styl śpiewania i charakter piosenek, ich nastrój jest świetną odtrutką na beat, który w nadmiarze jest dla młodych słuchaczy „nie konsumpcyjny”. Poza tym interesuję tych młodych jako ktoś akceptowany przez rodziców, którzy często mówią „o jakimś Foggu”. Młodzi przychodzą na mój recital z ciekawości, dla dokonania konfrontacji. I wtedy okazuje się, że śpiewam piosenki im nie znane, w dodatku „jakiś inne”. Nic dziwnego, że nie znane: gdy zaczynałem je śpiewać, gdy stawały się szlagierami — jch, „beatow-

174

c(\$w", nie było na świecie. A poza tym podobno świat staje się znowu sentymentalny... Objechałem i objeżdżam Polskę z piosenką wzdłuż i wszerz. Odwiedzałem miasta, miasteczka, a nawet wioski i pegeery. Nie bronię się przed występem nigdzie, jeśli tylko istnieją jakie takie warunki do produkowania się. Nie są mi obce salki powiatowych świetlic, domów kultury i tłoczne pomieszczenia klubo--kawiarni.

Największą bodaj bolączką na tzw. prowincji są rozstrojone instrumenty. Spotykałem nierzadko, w tzw. zapadłych miasteczkach, nawet Bechsteiny i Steinwaye, wydające żałosne tony. Pytałem w takich przypadkach: — Ile zapłaciliście za rozstrojenie fortepianu? — Była to aluzja do czasów, kiedy w USA specjalnie rozstrajano instrumenty dla osiągnięcia charlestonowego brzmienia. W latach dwudziestych grano na takich pianinach w różnych tinglach. W filmie W osiemdziesiąt dni dookoła świata Frank Sinatra popisywał się na takim właśnie instrumencie. Dobrze, gdy to jest zabawa, gorzej, gdy to ma być praca.

Więcej, znacznie więcej niż połowa instrumentów w domach kultury, to instrumenty rozstrojone. Nierzadko też zdarza się, że fortepian ma dwie nogi, namiastką zaś trzeciej jest

krzesło i parę cegieł, wyrównujących różnicę. Od czasu do czasu trafia się instrument pozbawiony pedałów i wtedy ton brzmi bez końca. Stoisz, człowieku, na estradzie i z trudem hamujesz śmiech...

Cóż, w końcu oduczyłem się narzekania na rozstrojone fortepiany i pianina, godzę się, chcąc nie chcąc, z ich istnieniem jako jedną z przygód wojażującego artysty. Wspomniałem już o publiczności. Dodam, że mieszańcy mniejszych miast i miasteczek, które nazywamy

175

potocznie prowincją, zdradzają jako odbiorcy — ^

pewne dzięki telewizji i radiu — niemały stopień wyrobienia. Nie można im byle czego pokazywać, gdyż wtedy uważają się za oszukanych. Odcinają się zresztą często od tandetnych imprez, których niestety wiele jeździ jeszcze po kraju.

Osobiście zawsze staram się rozładowywać kompleksy prowincji, chcę udowodnić, że dla publiczności gdzieś w małym lubelskim miasteczku mam taki sam szacunek, jakim darzę widownię w Warszawie. Nigdy nie obniżam pułapu wykonawczego i ubrany jestem w ten sam smoking, w którym występuję w Londynie czy Nowym Jorku. Publiczność wyczuwa właściwą wobec niej postawę natychmiast i kwituje to odpowiednią reakcją. Ktoś już dawno powiedział, że nie ma złej publiczności, jest tylko zły artysta. W dodatku często lekceważący tę publiczność również swoim wyglądem: nieczystą koszulą, wymiętym garniturem lub kostiumem, niedbale ogoloną twarzą.

Po powrocie z Finlandii występowałem przez osiem miesięcy w kraju, po czym udałem się na czwarte już w mojej karierze artystycznej tournée po Stanach Zjednoczonych. Na trasie zawitałem także do Kanady.

Odnowiłem więc znajomość z publicznością polonijną na szlaku moich występów przed i po wojnie. Tym razem jednak miesięczne tournée przebiegało w tempie nadzwyczaj szybkim. Amerykę oglądałem właściwie tylko z okien samochodu. Cóż, nie był to dla mnie ład nie znany, odkryłem go blisko trzydzieści lat temu.

Impresariem, który mnie zaangażował do Ameryki, był mgr Jan Wojewódka. On to właśnie stworzył w 1957 r. pomost dla polskich artystów z kraju i w latach sześćdziesiątych sprowadził za ocean plejadę gwiazd naszej estrady i sceny. Godzi się podkreślić, że Wojewódka organizował pierwsze w Ameryce im-

176

prezy dla polskiej publiczności zaraz po wojnie. Była to niejako pionierska działalność, gdyż Wojewódka jeź-^jj — z polskimi artystami mieszkającymi w USA i w Anglii — na daleką północ Kanady, gdzie w kopalniach złota (miasteczka Noranda, Kirkland Lake i Waldorf) pracowali liczni Polacy.

Nawiasem mówiąc Jan Wojewódka sam kiedyś produkował się na estradzie w chórze rewelersów Wesoła Czwórka Lotników (jako tenor). Z zawodu jest dyrygentem; studia muzyczne, rozpoczęte przed wojną w Polsce, ukończył w Ameryce. Jako dyrygent prowadził w Chicago szereg przedstawień operowych, prezentując m. in. wiele dzieł Moniuszki. Wykształcenie muzyczne Wojewódki i niegdysiejsze występy na estradzie przydają mu dodatkowych przymiotów jako impresariowi, a jego słabość do piosenki sprawiła, że z pionierskim uporem lansował na gruncie polonijnym ten rodzaj rodzimej twórczości, a przy tej okazji czołowych wykonawców z kraju.

Okres siedmiu miesięcy prześpiewanych w kraju oddzielił powrót z Ameryki od nowej wyprawy zagranicznej, tym razem do Związku Radzieckiego. Długi szlak występów, wiodący m. in. poprzez Wilno, Rygę, Leningrad, Moskwę, Tbilisi, Baku i Taszkient, rozpoczynał się w Brześciu. Prócz mnie w programie, będącym skrótem historii polskiej piosenki, występowali Krystyna Konarska, Sława Przybylska i Tadeusz Woźniakowski oraz duet taneczno-wokalny z Warszawskiej Operetki: Stanisława Kowalczyk i Zdzisław Słowiński. Polska piosenka jest w Związku Radzieckim dobrze znana z płyt i radia. Toteż publiczność gorąco przyjmowała

znane nasze szlagiery wykonywane na żywo. Powróciło wspomnienie przedwojennych występów z Chó-

— Od palanta do belcanta

177

rem Dana i znowu mogłem stwierdzić, jak muzykalna wrażliwa i żywo reagująca potrafi być publiczność w kraju za miedzą.

Śpiewałem po polsku i po rosyjsku: w tym drugim języku m. in. Oczy czarne i piosenkę „autobiograficzną” — Starszy pan, I am sorry (tytuł rosyjski — Už w latach nie podchodził, prastitie).

Z aplauzem przyjmowane były nasze tanga. Podczas przedwojennych występów w Związku Radzieckim wy-lansowałem — chyba nie przesadzam, używając tego określenia — styl śpiewania tanga, polegający na „pożenieniu” polskiej liryki z argentyńskim rytmem.

Radzieccy dziennikarze ukuli wtedy nawet termin — polsko je tango.

W Związku Radzieckim krążyło niemało moich płyt, najwięcej właśnie z tangami. W parę lat później pewien polski poeta, którego losy wojny rzuciły w dalekie regiony ZSRR, opowiadał mi, że był kiedyś podejmowany w jakimś rosyjskim domu skromną wojenną kolacją. I wtedy puszczono mu płytę. Były to tanga w moim wykonaniu, które nagrałem w Moskwie w latach trzydziestych. Ów poeta podobno płakał jak bóbr.

Wracając do tournée anno 1966: w Wilnie przeżyłem wzruszającą chwilę, gdy po koncercie publiczność, czekająca przed filharmonią na moje wyjście, powitała mnie oklaskami i odśpiewaniem Sto lat.

Naszym wożaczom do Kowna, Rygi i Leningradu towarzyszył siarczysty, blisko trzydziestostopniowy mróz, zamieniony potem na cudowne ciepło Taszkientu. Po występie w tym mieście poznałem rodowitą warszawiankę (gdzie nas nie ma!), która w czasie wojny wyszła za Uzbeka. Ciekawe, że młodzież uzbecka była „w kursie” nowoczesnej muzyki i wcale żywiołowo na nią reagowała.

178

I znowu powrót do kraju i znowu rychłe wojaże vv Polskę”. Ten rytm pracy pragnę zachować tak długo, póki wypadnie mi śpiewać.

Z satysfakcją stwierdzam, że moja działalność artystyczna doczekała się w ostatnich latach nowych nagród i odznaczeń. I tak otrzymałem złotą odznakę SFOS (1964), „Złotego Kormorana” na Festiwalu Zespołów Estradowych w Olsztynie (1968 r.), nagrodę radiową za „wybitnie wartościowe nagrania dla Polskiego Radia” (1968 r.), Złotą Odznakę Honorową za zasługi dla Warszawy (1969 r.).

Od paru lat występuję z nowym zespołem wokalnie--muzycznym, składającym się z pięciu młodych uroczych dziewcząt, które na przekór tym przymiotom przyjęły nazwę „Baby Jagi”.

Wszystkie są absolwentkami wyższych uczelni muzycznych. Skompletowanie zespołu nastęczało wielkie trudności. Kandydatek szukałem przez dłuższy czas w wyższych i średnich szkołach muzycznych. Wreszcie udało mi się stworzyć zespół z dziewcząt pochodzących z pięciu różnych miast. Grają na fortepianie, perkusji, trąbce i gitarze elektrycznej. Dziewczęta grają, a poza tym — do czego je namówiłem — śpiewają.

Wszystkie panie są bardzo utanecznione, ja zresztą także, co podnosi walory wykonawcze naszego zespołu. Jego współzałożycielką i świetną organizatorką naszych występów w kraju i zagranicą jest od lat Zofia Szyngiel.

Kiedyś po występie przyszedł za kulisy pewien pisarz, mój serdeczny przyjaciel, i powiedział: — Słuchaj, Mietek, teraz jeszcze tańczysz z pannami, w porządku. Ale co zrobisz za dziesięć lat?

Co zrobię? Wymienię je na młodsze! — odpowiedziałem.

Chrzest zagraniczny zespołu „Baby Jagi” — z moim

12*

udziałem — odbył się w 1969 r. w Kopenhadze i Oden-see. Wystąpiłem także w roli konferansjera, a moje zapowiedzi tłumaczone były na duński błyskawicznie (i podobno precyzyjnie) przez zasiedziałą w Danii rodaczkę. Publiczność przyjmowała nas bardzo serdecznie. Fragmenty koncertu nadała duńska telewizja.

Pomyślnym akcentem w moim życiorysie anno 1970 były sukcesy odnoszone na estradach kraju w jubileuszowym programie A to już czterdzieści lat według scenariusza Krzysztofa T. Toeplitza i w reżyserii Jerzego Gruzy. Z okazji jubileuszowego spektaklu w Warszawie otrzymałem od „Polskich Nagrań” złotą płytę.

po raz piąty za Atlantyk

Rok 1970 miałem zamknąć wozem do Stanów Zjednoczonych i Kanady — na zaproszenie Jana Woje-wódki — z programem 50 lat polskiej piosenki.

Moja piąta podróż na amerykański kontynent, a więc po raz dziesiąty wypadnie mi przemierzyć Atlantyk. „Stefanem Batorym” płynęło się znakomicie. Wiele godzin spędziłem w sali projekcyjnej szczególnie dobrze bawiąc się razem z międzynarodową dzieciarnią na seansach polskich filmów lalkowych i kreskówkach... Były one dobrą wizytówką naszej sztuki filmowej.

Tak się składało, że ilekroć przemierzałem Atlantyk, także na statkach innych bander, spotykał mnie zaszczyt siedzenia przy stole „pierwszego po Bogu”. Tym razem zostałem zaproszony do stołu kapitana Juliusza Chrapkiewicza.

O delicjach kuchni na „Stefanie Batorym” (i jego poprzedniku „Batorym”) można by napisać oddzielnie małą rozprawkę. Ja ograniczę się jedynie do słów zachwytu dla płonących... lodów serwowanych na balu kapitańskim. Sposób, w jaki je podawano, robił wrażenie nawet na zimnych (nomen omen), zblazowanych Anglikach. Otóż wnoszono Bloki lodu o wysokości jakichś trzydziestu centymetrów, w których były wydrążone dwa otwory: jeden na płonący spirytus, drugi na pyszne lody o kilku smakach. Gdy przynoszono na tacach ten migoczący płomieniem deser, w jadalni rozlegały się brawa i okrzyki zachwytu.

181

Syte lenistwo na „Stefanie Batorym” nie przeszkodziło mi jednak w tym, by się błyskawicznie zmobilizować — gdy zaszła tego potrzeba — do śpiewania i... mówienia. W takiej właśnie podwójnej roli wystąpiłem na zaimprovizowanym koncercie dla członków załogi — zbowidowców, których pływa na „Stefanie Batorym” kilkudziesięciu. W repertuarze koncertu znalazły się głównie piosenki, które wykonywałem w czasie Powstania, przeplatane moimi wspomnieniami o tamtych tragicznych dniach.

Ledwie późnym popołudniem dotknąłem stopą kontynentu amerykańskiego w Montrealu (po serdecznym powitaniu przez impresaria Jana Wojewódkę), już trzeba było się szykować do dalszej drogi. Nazajutrz rano czekał nas tysiąckilometrowy skok do Nowego Jorku. Drogę tę odbyliśmy wygodnym autokarem jadącym z przeciętną szybkością 120 km/godz.

Wchodziłem tym razem w skład grupy estradowej, którą tworzyli: Maria Koterbska, Helena Majdaniec, Ewa Miodyńska, Rena Rolska, Mieczysław Friedel, Marian Jonkajtys (reżyser widowiska), Stanisława Kowalczyk, Zdzisław Słowiński, Andrzej Stockinger, Tadeusz Wiśniewski (tancerz i choreograf), Wiktor Zatwarski, L. Złotnicki i W. Furman. Towarzyszył nam trzyosobowy zespół instrumentalny Czesława Majewskiego.

Widowisko noszące tytuł 50 lat polskiej piosenki było przeglądem polskich piosenek — oczywiście w dużym skrócie — na przestrzeni pół wieku, od Tanga Milonga po utwory beatowe. Miałem tylko dwa wyjścia w programie, w czasie których śpiewałem wiązanke starych przebojów (cztery utwory), jedną piosenkę powstańczą i trzy współczesne.

Prapremiera naszego widowiska odbyła się w małym mieście Trenton koło Nowego Jorku. Program z miejsca podbił publiczność. Powodzenie nie odstępowało nas

182

zresztą także we wszystkich innych miastach USA i Kanady, a było ich na trasie tournée jeszcze dwadzieścia. Wystąpiliśmy także w Waszyngtonie, gdzie dotychczas nie produkowała się żadna polska grupa aktorska. Impresario Wojewódka promieniał. Odwdzięczał się nam nie tylko promiennym uśmiechem, ale także dobrymi hotelami, w których nas lokował. Dodatkową satysfakcją były dla nas piękne, nowoczesne sale, w których występowaliśmy, najczęściej aule i audytoria widowiskowe w budynkach szkół i uczelni. Rzadziej występowaliśmy w skromnych, chociaż schludnych salkach parafialnych bądź w ciasnych salach imprezowych polskich domów kultury. Sala w Milwaukee koło Chicago, jedna z dwu, jaką posiada tamtejszy Music Center, była najpiękniejszą i najnowocześniejszą z tych, w jakich przyszło mi tym razem występować w Stanach Zjednoczonych. Nasz program ściągnął pięćsetosobowy komplet widzów. Nawiasem mówiąc w wielkiej sali symfonicznej na dwa i pół tysiąca miejsc koncertował przed nami z wielkim powodzeniem Konstanty Kulka.

Po pięciu latach byłem znowu w Stanach Zjednoczonych. I znowu mogłem się przekonać, że w tym czasie nie zostałem zapomniany. Przeciwnie, w ciągu tych pięciu lat — jak ktoś powiedział — „zaostrzył się w Polonii apetyt na Fogga...” Nie był to chyba tylko czczy komplement, skoro na każdym kroku spotykały mnie wzruszające dowody wielkiej estymy, życzliwości i entuzjazmu.

W Buffalo miałem się stać bohaterem wyjątkowej uroczystości. Miasto, gęsto zaludnione przez Amerykanów polskiego pochodzenia, upamiętniło mi się szczególnie już z pobytu w 1957 roku, kiedy to otrzymałem grubo pozłacany klucz do jego symbolicznych bram.

Tym

razem władze miejskie zgotowały mi z inicja-
183

tyw radnego polskiego pochodzenia, Augustyna Frań-czyka, uroczystość. W drugiej części przedstawienia, gdy tylko konferansjer zapowiedział mój numer, na sali zapłonęły wszystkie światła. Blisko dwa tysiące osób na widowni wstało z miejsc. Na scenę weszła pani Starościak, Amerykanka polskiego pochodzenia, która reprezentowała burmistrza, gdyż ten musiał wyjechać służbowo na parę dni do stolicy Stanu Nowy Jork, Albany.

Po krótkim przemówieniu w języku polskim pani Starościak wręczyła mi szczerozłoty klucz od miasta (wielkości naszego yale), a następnie odczytała po angielsku uroczysty adres burmistrza Franka A. Sedity, opatrzone sporą pieczęcią. Proklamacja ojca, miasta Buffalo zawierała ni mniej, ni więcej tylko uchwałę, na mocy której dzień 28 października, dzień mojego występu, został ustanowiony „Dniem Fogga”. Z wrażenia aż mnie zamurowało! Nie mogłem się obronić przed łzami. Moje wzruszenie podzielała cała widownia, manifestując swój entuzjazm na stojąco. Przytoczę tekst proklamacji:

Zważywszy, że MIECZYŚLAW FOGG, polski Maurice Chevalier, przybędzie do Buffalo we środę 28 października, by dać j rozrywkę wielu Amerykanom polskiego po- 1 chodzenia,

zważywszy, że śpiewane w romantycznym stylu piosenki Fogga przez pięćdziesiąt * lat bawiły i wzruszały miliony jego miłośników! w Polsce i na całym świecie — postanawiam, ja, FRANK A. SEDITA, burmistrz miasta-Buffalo, ogłosić dzień środę 28 października': 1970 roku

* Jest to oczywista omyłka: w czasie amerykańskich występów Fogga w końcu 1970 r. minęły 42 lata jego kariery piosenkarskiej- | (przyp. mój — Rog.)

184

DNIEM MIECZYŚLAWA FOGGA w mieście Buffalo, co jest wyrazem uznania i hołdu dla wspaniałego artysty z okazji pięćdziesiątej rocznicy wykonywania przez niego piosenek wypełniających serca melodią, ciepłem i miłością.

(—) Frank A. Sedita Burmistrz Buffalo

Na zakończenie uroczystości sala zgutowała mi dodatkową owację zakończoną chóralnym odśpiewaniem Sto lat. Stojąc na estradzie wciąż nie mogłem opanować wzruszenia. Najbardziej radosne było dla mnie to, że posiadałem klucz do serc tych ludzi, amerykańskich rodaków.

Ale bywało w Ameryce także inaczej... Gdy w 1957 roku przyjechałem po raz pierwszy po wojnie do Stanów, zdarzył się taki koncert, do którego mój impresario Wojciech Cioromski dołożył parę tysięcy dolarów. W stutysięcznym mieście Rochester na sali były... trzy osoby plus człowiek, który kasował bilety. W pewnej chwili, na parę minut przed zapowiedzianą godziną występu, Cioromski powiedział: „Mięciu, nie gramy! Zaproszę ich wszystkich czworo do restauracji — na wódkę. I tak nic już mnie tu nie uratuje...” Obruszyłem się na tę propozycję: „Co oni zawinili, że inni nie raczyli przyjść? Zapłacili za bilety i mają prawo do normalnego pełnego przedstawienia. Fogg wystąpi nawet dla jednego widza!”

I wystąpiłem — z pełnym programem. Cztery razy s[^] przebieierałem. Pomyślcie: dla czterech osób. Jestem

rzekony, że gdybym w następnych latach wystą-Pil w Rochester, miałbym pełną salę.

185

Syt zaszczytów i chwały (co też tam w zaświatach pomyślał Pułaski o „konkurencyjnym” Fogg Day?)> śpieszyłem wraz z resztą kolegów do kolejnych miast na trasie tournée. W Chicago czekały mnie też mocne wzruszenia; tam znowu doszło na parę chwil do zamienienia się rolami z publicznością, kiedy blisko dwa i pół tysiąca osób — wszyscy razem i każdy z osobna — zaśpiewało mi Sto lat, a ktoś nawet podwyższył stawkę w refrenie, intonując Dwieście lat...

Przy moim krótkim wzroku zauważyłem, iż panie wyciągały białe chusteczki. I gdy znowu wzruszenie chwyciło za gardło, pomyślałem w owej chwili, że warto było poświęcić blisko pół wieku pracy, aby teraz zbierać owoce uznania — o tyle tysięcy kilometrów od rodzinnej Warszawy.

Okazją do gorącej owacji na moją cześć stało się wystąpienie impresaria Jana Wojewódki, który wręczając mi na scenie złoty mikrofon na złotym statywie, wygłosił krótkie, ale serdeczne przemówienie.

W Chicago w wielkiej i nowoczesnej sali koncertowej Audytorium zespół nasz dał trzy przedstawienia — wszystkie z kompletem widzów.

I znowu rankiem wsiedliśmy w nasz szybkobieżny autobus, podążając do następnego miasta na trasie występów. Zaiste trzeba było mieć końską kondycję ! Nie zapominajcie, iż po przedstawieniach nie szło się od razu grzecznie lulu... Na to by nie pozwolili gościnni rodacy. Uroczystych zaproszeń do domów polskich, tych prywatnych i tych parafialnych, było bez liku.

Nie obeszło się w takich razach bez kieliszka „Wyborowej” i bez polskich dań — bigosów, schabów, zrazów z kaszą. Na stołach często widywałem importowane obrusy i obrusiki z kochanej Cepelii (na ścianach także makatki i kilimy) — symboliczny dowód przynależności do macierzystego kraju.

186

Rodacy amerykańscy są bardzo gościnni, gotowi zaspokoić niemal każdy kaprys przybysza z Polski. Gdy któregoś wieczoru po przedstawieniu znalazłem się w pewnym domu przy stole suto zastawionym delicjami polskiej kuchni i nieopatrznie napomknąłem, że zamiast tych schabów i podgarlanek zjadłbym wreszcie parę muszli i żabich udek, reakcja pana domu była natychmiastowa.

Pałac się jeszcze ze wstydu wsiałem do samochodu z kompletem gospodarzy, którzy zawieźli mnie do paru egzotycznych lokali. Tego wieczoru odnowiłem na talerzu znajomość z młodymi pędami bambusa, żeberkami wieprzowymi opiekanyymi w lukrze, żabimi udkami,

muszlami i jakimiś drobnoustrojami w sosie pomidorowym (jadłem je z zamkniętymi oczami), przypominającymi robaczki. Z jaką radością wracałem następnego dnia do swojskiego schabu i gołonki!

Spotkania z rodakami nasuwały niejedną refleksję. Konfrontując je z wrażeniami odniesionymi przed pięciu i więcej laty stwierdzałem, że Amerykanie polskiego pochodzenia nabrali jakby większej pewności siebie, poczucia własnej wartości. Może to dlatego — pomyślałem — że zaczynają piastować ważne funkcje stanowe i federalne. Nie mówiąc o tym, że demokratyczny senator, kandydat na prezydenta Edmund Muskie jest synem polskich emigrantów. W USA żyje również ponad stu milionerów polskiego pochodzenia. Obecne i dorastające pokolenie Amerykanów polskiego pochodzenia ma w swoich szeregach coraz więcej ludzi wykształconych. Ale to już sprawa dla socjologa.

Podróż autokarem trwała dalej. Może byłoby ciekawe rozejrzeć się po naszym autobusie w chwilę po wyruszeniu rankiem na trasę. Początkowo pojazd wypełniał głośny gwar.

Odżywały różne wspomnienia z poprzedniego wieczoru. Stopniowo, stopniowo autobus

187

uciszał się, później słychać było już tylko lekkie chrapanie. I zwykle jedynie „najmłodszy” członek zespołu niejaki Fogg, rozglądał się po umykającej, jakże często ciekawej scenerii. W ten sposób dobijaliśmy do następnego miasta. I znowu dwie godziny odpoczynku, znowu występ i mały bukietek lub proszona kolacja. Rano, jak zawsze, pobudka i dalej w...

Amerykę! I znowu ów gwar w autokarze i później relaksowe chrapanie. I niech ktoś powie, że — występując za oceanem — nie chłoniliśmy z okien autokaru cudów Nowego Świata.

W Nowym Jorku wystąpiliśmy w centrum metropolii, w sali widowiskowej jednej z uczelni. Oklaskiwał nas z zapalem komplet z górą 1500 widzów.

Po nowojorskim występie, polonijny dziennik Nowy Świat poświęcił mi utrzymany w nader ciepłym tonie artykuł okolicznościowy, który chciałbym przytoczyć niemal w całości.

„W Nowym Jorku — pisał wspomniany dziennik — mieliśmy dwa niezbyt odległe od siebie w czasie przeżycia artystyczne. Wywiad i koncert telewizyjny Mauri-ce'a Chevaliera, pieśniarza Paryża, i występ pieśniarza Warszawy Mieczysława Fogga.

Comparaison n'est pas raison — jak mówi francuskie przysłowie, nie zawsze porównanie można zastosować, w tym wypadku jednak jakoś samo narzuca się ze względu na długą karierę artystyczną i wielką popularność obydwu artystów. Są jednak między nimi także niemałe różnice. Chevalier jest znacznie starszy, dzięki filmowi zdobył sławę światową. Sława Mieczysława Fogga ogranicza się właściwie do Polski i Polonii. Obaj artyści reprezentują też odrębny styl wykonywania piosenki.

Bliscy są sobie natomiast przez mistrzowskie opanowanie techniki piosenkarskiej, rzeczy niezmiernie tru-

188

dney; gdyż piosenka — przynajmniej starego typu — jest jakby małym dramatem (lub komedią) w pigułce. Jak dramat, ma swą ekspozycję, punkt szczytowy i finał. Kunszt prawie nie znany wielu śpiewakom młodszego pokolenia. Ci dwaj „starsi panowie” mają znakomite wyczucie frazy i szacunek dla słowa. Obydwu cechuje ogromna żywotność i temperament.

Obydwaj mają dyspozycje niezmiernie ważne dla artysty estradowego: bije z nich wewnętrzne ciepło, mają ujmujący wdzięk i bezpośredniość, a więc i wielką łatwość nawiązywania kontaktu z widownią.

Fogg zawsze górował nad Chevalierem pięknym barytonowym głosem o szlachetnej barwie. W zaraniu (w swej kariery śpiewaczej myślał o operze, pociągnęła go jednak estrada i nadsценка literacka.

1^

W czasie Powstania dawał chwile rozrywki i zapo- ^*\\ mnienia rannym żołnierzom leżącym w zaimprovizowanych szpitalach. Zasłużył też sobie na Krzyż Walecznych. Po wojnie zaś,

jeszcze w ciepłych gruzach zburzonej i spalonej stolicy, rozrzewniał słuchaczy do łez piosenką o swej „kochanej Warszawie”. Nowojorska publiczność polonijna zgotowała wielką owację Fog-) gowi, który pieśni patriotyczne śpiewał w swym „mun- \ durze” z czasów Powstania...”

Impresario Wojewódka powiedział mi, że na sali w Nowym Jorku (podobnie jak to było w czasie naszych występów w innych miastach amerykańskich) niemały r\^-^ procent widzów stanowili wnukowie i prawnukowie polskich emigrantów, a więc przedstawiciele trzeciego i czwartego pokolenia. Coraz częściej szukają oni kon- C / taktów z polską kulturą, nauką i sportem, ciekawi swych związków z krajem przodków. Planują wyjazdy do Polski. Wśród wielu miłych gości, którzy w Nowym Jorku przyszli do mnie za kulisy z gratulacjami, znajdowała

189

się pewna starsza rodaczka, która przyniosła mi dziwnie pachnący bukiet. Co za zbieg okoliczności! Mniei więcej przed ćwierć wiekiem obdarowano mnie — było to bodaj w Koninie — wiązką, która wydawała podobną woń... Wtedy początkowo nie zwróciłem uwagi, wśród innych kwiatów, na ten osobliwy prezent. Dopiero gdy jadłem później kolację w pokoju hotelowym, nagle uderzył mnie dziwny intensywny zapach. Podeszedłem do kwiatów stojących w wazonach na parapecie okna i — obok goździków i róż — znalazłem bukiet z... zasuszonych kwiatów i ziół. Był tam majeranek, mięta, skrzyp i Bóg wie co jeszcze.

I teraz w Nowym Jorku historia powtórzyła się! Niewiarygodne. Może ofiarodawcy po obu stronach Atlantyku chcieli dać ziołowemu bukietowi symboliczną niejako wymowę...

W Nowym Jorku podziwiałem najnowszą architekturę olbrzymich domów przypominających kształtem niemal piramidy. Jakże szybko buduje się te kolosy. Na wiosnę zaczynają stawiać czterdziestopiętrowy budynek, a jesienią jest już gotowy w surowym stanie.

Nieraz przyglądałem się stylowi pracy na amerykańskich budowach, podziwiając świetną organizację, tempo i precyzję. Widziałem, na przykład, jak na stosunkowo wąskiej ulicy nowojorskiej, powiedzmy o szerokości ul. Wilczej w Warszawie (przy pełnym ruchu samochodowym!), szatańsko precyzyjny dźwig, umieszczony na potężnej ciężarówce, unosił ogromne, ciężkie prefabrykaty na dwudzieste piętro. Montowanie tych elementów przypominało beztrudne układanie klocków.

Podczas nowojorskich spacerów (za dnia, bo wieczorem chodzenie ulicami Manhattanu, nawet w rejonie Broadwayu, stało się niebezpieczne) zaniósł mnie na 47 Ulicę, w pobliżu American Avenue. W pewnej chwili moją uwagę zwróciła wielka wystawa eleganckiego

190

sklepu z — jak pomyślałem — sztuczną biżuterią. Nie wydawało mi się, żeby tak wiele eksponatów — dosłownie pierścień przy pierścieniu, większość ze szkiełkami, bransolety i breloki, najróżniejsze łańcuszki i puzderka — mogły być z prawdziwego kruszcu. Dlatego zabawny w swej przesadzie zdawał się być napis, który odczytałem nad witryną: „Szyba nie do rozbicia!”

I tylko przez przypadek wyszło na jaw, jak bardzo byłem w błędzie. Gdy tak wodziłem wzrokiem, po wymyślnych w formie „jablonexach”, poczułem na sobie czyjeś spojrzenie. Po chwili przyglądający mi się starszy mężczyzna o charakterystycznym nosie podeszedł rażno do mnie i zabawnie zaciągając, niemal krzyknął radośnie:

—• Coś takiego! To przecież pan Fogg!

Starszy pan „z nosem” pamiętał mnie jeszcze z Warszawy, gdzie przed wojną pracował w branży jubilerskiej. Wczoraj był na programie 50 lat polskiej piosenki. Ogromnie ucieszył się z tego spotkania, z rozrzewnieniem wypytywał o Warszawę, o dzielnicę, w której spędził swoje dzieciństwo.

Przy okazji dowiedziałem się, że mój rozmówca zatrudniony był jako sprzedawca w owym sklepie z „ja-blonexami”. Ale — hm... — to nie były żadne sztuczne świecidełka...

Nowojorski warszawiak zdradził mi, że wartość szczerozłotego i brylantowego „towaru”, połyskującego za witrą z „szybą nie do rozbicia”, sięgała dziesięciu milionów dolarów! Jeden z pierścieni z brylantem wielkości paznokcia u dużego palca (podobny ofiarował w swoim czasie Elizabeth Taylor — Richard Burton) kosztował — bagatela! — czterysta tysięcy dolarów.

I tym razem „stało w gwiazdach” moje spotkanie z Pawłem Prokopieniem. Znakomity baryton śpiewał w tym czasie w Nowym Jorku i... kelnerował. Pracował

191

mianowicie w jednym z lepszych lokali w dzielnicy nowojorskiej bohemy Greenwich Village. Restauracja ta prosperowała na podobnej zasadzie co słynna „Asti” (opisywana już na innym miejscu), przykład koegzystencji sztuki kulinarnej z wokalną.

Również w lokalu w Greenwich Village, gdzie Pro-kopieni z wdziękiem serwował trunki i zakąski, jako kelnerzy i kelnerki pracowali, podobnie jak on, zawodowi śpiewacy oper i musicali, tyle że czasowo bezrobotni i niechybnie czekający w tym uczęszczanym lokalu na przygodnego impresaria (nawet szatniarka była tu zawodową śpiewaczką). Podobnie jak w „Asti”, kelnerzy i kelnerki odkładali w pewnej chwili tace, odwiązywali białe fartuchy i — ku przyjemności biesiadników — produkowali się solo bądź w duetach lub tercetach.

„Prokopieszka” uraczył mnie z właściwą mu serdecznością pysznymi zakąskami i świetnymi drinkami, a w „części artystycznej” — wiązaną rosyjskich romansów we własnym wykonaniu. Później kontemplowałem przy świecach serię lekko podniszczonych zdjęć pokazujących Pawła na scenach i estradach różnych krajów. Nie obeszło się oczywiście bez obejrzenia słynnej fotografii Prokopieniego z prywatnej audyencji u papieża (to zdjęcie artysta przechowuje i obnosi niemal jak relikwie), o której złośliwi twierdzą, że jest zrzęcznie zrobionym fotomontażem.

Greenwich Village roi się od ekstrawaganckich hip-piesów, chociaż w Waszyngtonie, gdzie zaprowadzono mnie do dzielnicy tych apostołów frustracji i nihilizmu, wyglądali oni bodaj jeszcze bardziej wymyślnie. Zapamiętałem młodzieńca w pomarańczowej tunice, z ogoloną głową, z której zwisał w tyle jedynie sznurek włosów. Inny „model” prowokował moje poczucie estetyki, dla kontrastu, olbrzymią czupryną tapirowanych

192

włosów, wyglądających jak bermysca. Kilka razy zdarzyło mi się spojrzeć w tępe, jakby zamglone oczy hip-piesów. Czyżby skutki lunchu z dodatkiem narkotyków? W Greenwich Village, podobnie jak przez cały niemal okres trwania tournée po Ameryce, nadstawiałem ucha w lokalach, słuchałem radia i telewizji, chcąc wy badać, jaka moda panuje aktualnie w muzyce rozrywkowej i piosence. I co się okazało? Dominowała tzw. sweet music, beatu prawie w ogóle nie grano. Z przyjemnością słuchałem wielu przedwojennych szlagierów, będących znowu en vogue; to trochę tak jak u nas („en Fogg” — jak ktoś sparafrazował). Amerykańskie tournée miało się ku końcowi. Przed powrotnym etapem do Montrealu urządziliśmy w zespole małe whisky-party. Kilka butelek „szkockiej” zakupiliśmy za pieniądze uzbierane od... spóźnialskich. Zaraz wyjaśnię: rozpoczynając wielką podróż po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie uchwaliliśmy, że każdy z członków zespołu, który spóźni się do odjeżdżającego autokaru, płaci karę w wysokości dziesięciu centów za każdą minutę. Mieliśmy nieraz dużą zabawę, kiedy wszyscy już usadowili się w autobusie i teraz czekało się tylko na „ofiara”. Trwaliśmy w napięciu, sadystycznie zaciskając kciuki, by maruder zjawił się choćby kilkanaście sekund po czasie. Szczerze i głośno mu tego życzyliśmy. Pech chciał, że ja właśnie, który uchodzę za wzór punktualności, otworzyłem listę spóźnialskich. Z winy zegarka. Mój wkład, zresztą jednorazowy, wyniósł trzydzieści centów...

W Montrealu czekało nas ponownie spotkanie ze „Stefanem Batorym”. W relaksowym nastroju dopłynąłem do Gdyni. Czy była to moja ostatnia podróż za Atlantyk?

Od palanta do belcanta

193

*

Czy długo jeszcze będę śpiewał? Takie pytanie, zresztą wypowiedziane z wielką życzliwością, słyszę dość często. Widzę też, jak „czai się” ono na ustach tych, którzy nie mają odwagi indagować o to wprost.

Cóż, będę śpiewał póki starczy głosu i sił. A chyba starczy jeszcze na jakiś czas. Mój amerykański impre-sario Cioromski powiedział przed kilku laty: „Stary Fogg nie rdzewieje”. Jerzy Waldorff, używając mi od czasu do czasu na różnych łamach swego pióra, woła nie od dziś, że:

„...Grozi nam, proszę państwa, drugi Solski! Solski — piosenki”.

Przy innej okazji Jerzy Waldorff napisał:

„...Nie widzę logicznego powodu, aby drogi Miecio nie miał żyć i śpiewać wiecznie. Przewiduję zatem, że w swym uroczystym fraku i przy orderach zjawi się na Sądzie Ostatecznym. Ujrawszy Przedwiecznego, wystraszy się jednak nieco i zawoła:

— Mój Boże!

Na co Pan uśmiechnie się i odpowie:

— Mój Foże! Zaśpiewaj najpierw coś dla aniołów, a dopiero potem cię osądzę.

I Miecio będzie śpiewał, a zachwycone anioły będą mu za to długo biły w skrzydła!...”

Zanim dopełni się piękna Waldorffowa wizja, chciałbym — wyznam to szczerze — usłyszeć jeszcze trochę braw na tym padole.

Wciąż jeszcze czuję się młodo, a że nie jest to tylko pobożne życzenie, przytoczę jako ilustrację zdarzenie, które miało miejsce niedawno, bo w czterdziestym pierwszym roku mojej piosenkarskiej kariery. Oto pewnego dnia, śpiesząc się jak zwykle, wybiegłem niemal od fryzjera w warszawskim hotelu Bristol i nie-

194

chcący wpadłem na jakąś elegancką panią po sześćdziesiątce. Nieznajoma, zrazu nieco oburzona impetem chwackiego przechodnia, poznawszy mnie, rozpostarła ramiona i zawołała z uśmiechem: „Fogg! Mój chłopcze kochany!” Autentyczne.

Niektórzy moją tak długą obecność na estradzie oceniają w kategoriach fenomenu. „Fogg to wybryk natury” — powiadają. Pod koniec 1969 r. otrzymałem od pewnego lekarza list, który radził mi... ofiarować struny głosowe akademii medycznej jako biologiczny unikat!

A mnie się wydaje, że możliwość śpiewania jeszcze w siedemdziesiątym roku życia dała mi — oprócz solidnego wykształcenia śpiewaczego — po prostu praca. Codzienna praca nad sobą. I w tym miejscu chciałbym się posłużyć powiedzeniem przypisywanym Ignacemu Paderewskiemu, że artystą może być ten, kto ma pięć procent talentu, pięć procent szczęścia i kogo stać na dziewięćdziesiąt procent pracy.

Sukcesy mogą trwać długo, kiedy artysta podejmie wysiłek stałego doskonalenia umiejętności. Moja głowa siwa, a ja ciągle jeszcze uczę się, ćwiczę... I ciągle czuję się w pełni sił twórczych.

Chciałbym więc moje wspomnienia spisane na tych kartkach zakończyć słowami, które często kieruję z estrady do publiczności:

!— Oświadczam państwu, że byłem młody, jestem młody i tak długo będę młody, jak długo państwo będziecie sobie tego życzyć...

Nr inw. *J.....L/~

SPIS RZECZY

ŚPIEWAKIEM CZY KASJEREM KOLEJOWYM... . 5

NIEŁATWE POCZĄTKI..... 25

NA ORBICIE SUKCESU.....	38
W CIENIU WOJNY.....	74
W CAFE FOGG	
I PÓŹNIEJSZE WYPRAWY „W POLSKĘ”.....	107
PONOWNIE W AMERYCE.....	128
DO SYDNEY PRZEZ... KOLUSZKI.....	148
BRAZYLIJSKIE INTERMEZZO.....	160
URODZIŁEM SIĘ, BY SPIEWAC.....	171
PO RAZ PIĄTY PRZEZ ATLANTYK.....	181
W^W	